PPS KONTRA ROSJANIE
Zamachy bombowe sprawiły, że na zaborców padł blady strach

POLSKI DZIKI ZACHÓD
Jak osadnicy walczyli po wojnie o przetrwanie swoich rodzin

NOWY WSPANIAŁY ŻYD
Syjoniści starali się stworzyć w Izraelu zupełnie nowego Żyda wojownika

NR 12(142)/2024 GRUDZIEŃ 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Zaborcy na celowniku

POLSCY TERRORYŚCI

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031
ISSN 2299-9515
9 772299 951509 12

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 3de77bed4d

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumeratapras y@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 29 listopada 1934 r.

Podchorążowie w historycznych mundurach na warcie przed Belwederem w rocznicę nocy listopadowej



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

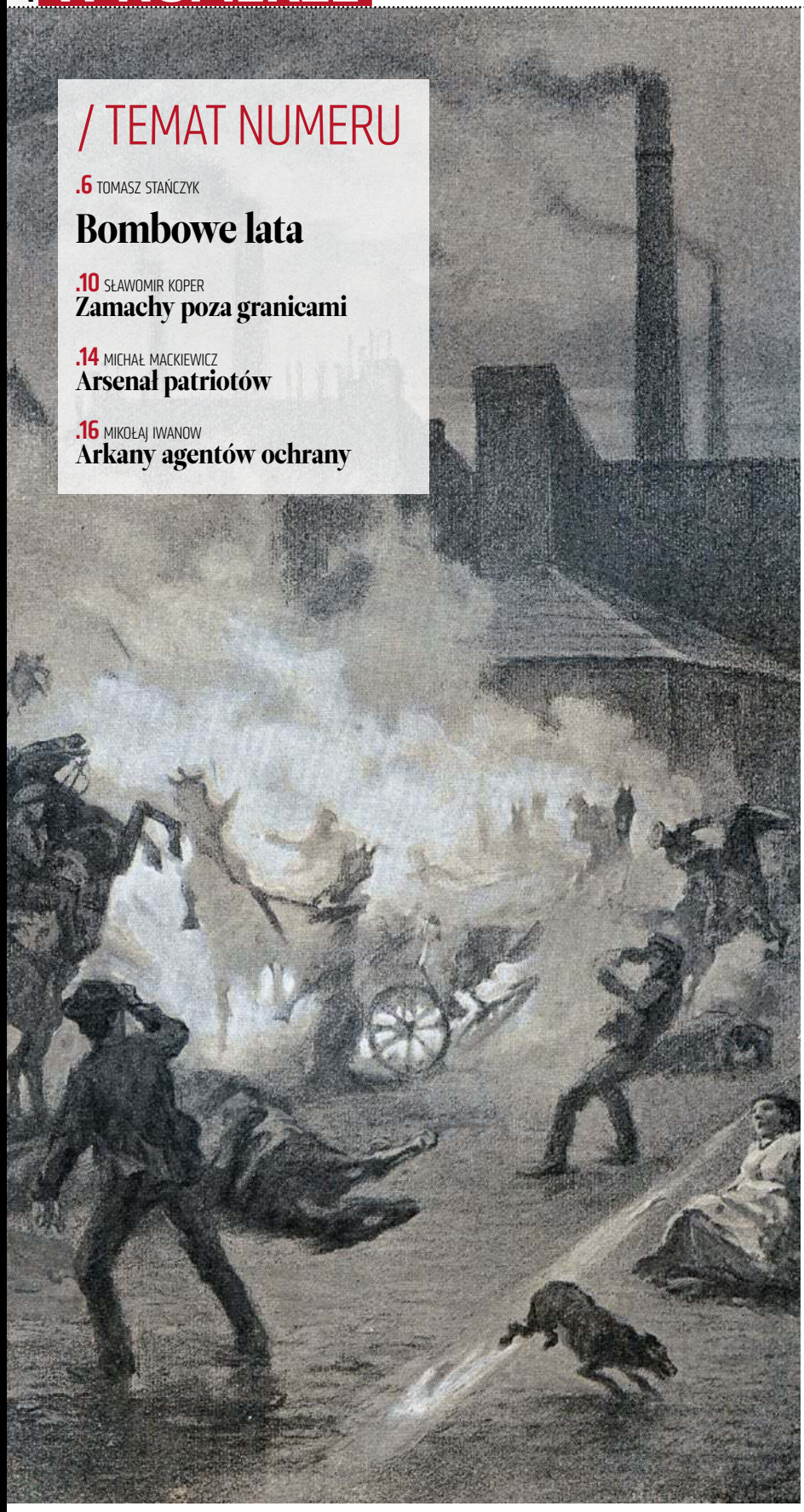
Terror dla niepodległości

W wybuchu bomby było coś niesłychanie groźnego i zarazem niesłychanie wzniosłego [...]. W potężnym wybuchu bomby brzmiała rozpacz ujarzmionego narodu i nadzieja, że »jeszcze nie zginęła« – stwierdzał Stanisław Andrzej Radek (1886–1946) ps. Osa, członek Organizacji Bojowej PPS.

Dziś, gdy terroryści i bomby kojarzą się głównie z dżihadem, islamistami i zamachami na niewinnych cywilów, wielu młodych Polaków może się zżymać, słysząc, że na początku XX w. nasi rodacy sami używali metod terrorystycznych w walce ze znienawidzonym caratem. Nie sposób jednak porównywać obu rodzajów terroryzmu, nie łączy ich właściwie nic poza nazwą. Choć już wtedy Józef Piłsudski rozumiał, że lepiej unikać słowa „terroryzm" i zamiast tego powinno się mówić o „aktach rewolucyjnych".

Polscy lewicowcy nie brali na celownik przypadkowych ludzi – atakowali przedstawicieli aparatu zaborczego państwa. Bomby leciały pod nogi policjantów, urzędników wyższego szczebla, oficerów (w tym generałów). W szczycie kampanii terrorystycznej lub (jak chciałby tego Piłsudski) rewolucyjnej ataków było tak dużo, że na funkcjonariuszy carskiego reżimu nad Wisłą padł autentyczny blady strach. Co ciekawe, bomby rzucali nie tylko młodzi, zapalczywi bojownicy z PPS, lecz także dziewczyny, które chciały i socjalizmu, i wolnej Polski. Po raz pierwszy od powstania styczniowego Polacy z zaboru rosyjskiego zaczęli wówczas na większą skalę walczyć z carską władzą. To wtedy, u zarania XX w., w przygotowywaniu tych akcji brali udział przyszli czołowi przedstawiciele elity politycznej II RP. W huku i ogniu bomb rzucanych w zaborców wykuwało się pokolenie, które przywróciło Polsce niepodległość. ©℗

eprasa.pl 3de77bed4d



/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ STAŃCZYK
Bombowe lata

.10 SŁAWOMIR KOPER
Zamachy poza granicami

.14 MICHAŁ MACKIEWICZ
Arsenał patriotów

.16 MIKOŁAJ IWANOW
Arkany agentów ochrany

/ CZASY I LUDZIE



.20 PIOTR KITRASIEWICZ
Koncesjonowana Melpomena

.24 JAKUB OSTROMĘCKI
Aryjski wilk i żydowski szczur

.28 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Terror w Buenos Aires

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Dyplomata wśród literatów

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Koszmar Biafry

.40 MARCO PATRICELLI
Włosi a Polska niepodległa

.44 LESZEK LUBICKI
Bolesław Ocalony

.48 ŁUKASZ CZARNECKI
Legenda Shaolin

.54 MAREK A. KOPROWSKI
Polski Dziki Zachód

.58 ADAM HLEBOWICZ
Ocalone z kresowej Atlantydy



.62 PIOTR SEMKA
Reagan, dolary i rakiety

eprasa.pl 3de77bed4d



/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Mędrzec z Huculszczyzny

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Smutek przyznanych nagród

.73 PIOTR SEMKA
Koreańskie blizny

/ BATALIE I WODZOWIE



.74 PIOTR WŁOCZYK
Jazda, ku przygodzie!

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Na zachód!



/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Nowy Wspaniały Żyd

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Cierń w oku Stalina

REKLAMA



eprasa.pl 3de77bed4d



Zamach na gen. Andrieja Markgrafskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

1904–1909 / W ogniu walki o niepodległość i socjalizm

Bombowe lata



Tomasz Stańczyk

Generałowie, oficerowie żandarmerii, policmajstrzy, stójkowi, strażnicy więzienni i konfidenci. Każdy z nich musiał się obawiać o swoje życie. Bojówki PPS polowały też zawzięcie na znienawidzonego przez Polaków generała-gubernatora

Gdy w 1892 r. w Paryżu obradował zjednoczeniowy zjazd polskich socjalistów, dyskutowano gorąco o kwestii terroru, a jednym z uczestników był Aleksander Dębski, który doznał ciężkich obrażeń podczas prób z bombą mającą uśmiercić cesarza Wilhelma II. Dębski należał do partii Proletariat, powiązanej z rosyjską rewolucyjną Narodną Wolą, która była organizacją terrorystyczną i miała na koncie zabójstwo cara Aleksandra II. Polscy socjaliści, którzy spotkali się w celu powołania jednej organizacji – Polskiej Partii Socjalistycznej – musieli zdecydować, czy terror ma być metodą walki czy też nie. Stanisław Mendelson uważał, że zabicie szkodliwej osoby może być czasami niezbędne. Wyraził przy tym opinię: „Masy lubią zamachy". Feliks Perl stwierdził wprost: „W walce z rządem partia niekiedy musi uciekać się do terroru". Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej, był przeciw. Jego zdaniem partia nie powinna prowadzić działalności terrorystycznej, z wyjątkiem czasu bezpośrednio poprzedzającego wybuch rewolucji. Ostatecznie w programie paryskim PPS nie zawarto żadnej wzmianki o terrorze.

Po wybuchu wojny Rosji z Japonią (1904) nad Wisłą rozpoczęły się protesty przeciw mobilizacji Polaków do armii. Jednak demonstracje organizowane przez PPS były brutalnie rozbijane przez rosyjskie wojsko i policję. Powstał więc pomysł stworzenia kół samoobrony. Jednak jej członkowie, uzbrojeni w kamienie, tęgie kije i okute laski, byli bezradni wobec szabel i karabinów. Jesienią 1904 r., po jednej z rozgromionych demonstracji na Lesznie w Warszawie (kilkudziesięciu uczestników zostało rannych), robotnicy oświadczyli kierownictwu PPS, że nie będą więcej manifestować bezbronni. Wymusili więc stworzenie grupy uzbrojonych członków partii.

Refleks Nolkena

Demonstracja antymobilizacyjna PPS na placu Grzybowskim w Warszawie 13 listopada 1904 r. miała już inny

eprasa.pl 3de77bed4d

przebieg niż poprzednie. Gdy rosyjscy policjanci z szablami w rękach próbowali wydrzeć z rąk Stefana Okrzei czerwony sztandar z napisem: „PPS. Precz z wojną i caratem! Niech żyje wolny polski lud!", zostali zasypani gradem kul. Doszło do strzelaniny. Zajścia na Grzybowie to wielki przełom – pierwszy raz od powstania styczniowego Polacy strzelali do zaborcy, a ten poczuł strach. Historyk Adam Próchnik tak to skomentował: „Była to pierwsza bitwa o nową, niepodległą i ludową Polskę". Program PPS przewidywał bowiem walkę zarówno o socjalizm, jak i o niepodległość.

W początkach 1905 r. zostały zorganizowane dwie „piątki" bojowe. Na czele jednej z nich stanął Okrzeja. Powstała jednocześnie Organizacja Spiskowo-Bojowa, której kierownikami zostali Aleksander Prystor i Walery Sławek – przyszli premierzy w II Rzeczypospolitej. Od razu znaleźli się pod presją. „Z szeregów szły żądania do sprzątnięcia tego czy owego" – wspominał Sławek. Zaczęto od nauki strzelania z pistoletów i rewolwerów, wkrótce rozpoczęto, nie bez trudności, chałupniczą produkcję bomb. Na bomby nalegali bojowcy, mówiąc, że jeśli robota ma być dobrze wykonana, to muszą nimi dysponować. Stanisław Andrzej Radek tak o tym pisał: „W wybuchu bomby było coś niesłychanie groźnego i zarazem niesłychanie wzniosłego […]. W potężnym wybuchu bomby brzmiała rozpacz ujarzmionego narodu i nadzieja, że »jeszcze nie zginęła«".

Piłsudski w wykładzie o historii Organizacji Bojowej PPS mówił, że wszyscy w partii doskonale rozumieli, iż terrorem nie osiągnie się zwycięstwa, jednak masy widziały w nim jedyną metodę przeciwstawienia się władzy. I właśnie owe masy robotnicze domagały się użycia terroru, w odpowiedzi na brutalne i krwawe rozprawy z demonstracjami oraz katowanie więźniów politycznych. Kierownictwo PPS poddało się tym żądaniom. Piłsudski stwierdzał, że po Grzybowie zorganizowała się bojówka „o celach terrorystycznych", choć w wydanym później statucie Organizacji Bojowej PPS mowa była o „aktach rewolucyjnych".

26 marca 1905 r. 19-letni Stefan Okrzeja wszedł do cyrkułu przy ulicy Wileńskiej na warszawskiej Pradze i rzucił bombę w policjantów, raniąc



Stefan Okrzeja
FOT. DOMENA PUBLICZNA

trzech z nich, ale ofiarami było także dwóch przebywających tam robotników. Oszołomiony wybuchem, rzucił się do ucieczki, lecz wpadł w ręce policji. Zamach na cyrkuł nie był jednak celem samym w sobie – bojowcy wiedzieli, że oberpolicmajster warszawski Karl Nolken udawał się na miejsca zamachów... I nie pomylili się, sądząc, że pojedzie również na Pragę. Na trasie przejazdu przy Nowym Zjeździe czekał na niego bojowiec Wincenty Halske i rzucił bombę do powozu. Nolken miał refleks, odbił ją, bomba wprawdzie eksplodowała, ale tylko go zraniła. Halske uciekł, a drugi z bojowców, Franciszek Pydyn, schwytany przez policjanta, strzelił do funkcjonariusza, zabijając go.

Policyjne zbiry

Po tym zdarzeniu Centralny Komitet Robotniczy wydał odezwę: „Miara cierpliwości przebrała się. Okrucieństwa rządu doprowadziły masę ludową do tego, że sam widok policjanta wywołuje żądzę zabicia go. W walce o wolność i sprawiedliwość społeczną polski lud pracujący spotyka się z takimi wyrafinowanymi katuszami, z takim zwierzęcym znęcaniem się nad nim, że dłużej czekać nie chce i żąda odwetu. Na nas, jako na przedstawicieli tego walczącego proletariatu, spada obowiązek mściciela. I oto pierwszy krok zrobiony, sprawiedliwości staje się zadość.

Za znęcanie się nad bezbronnymi manifestantami na ulicy i w cyrkułach rozpoczęliśmy karać zbirów policyjnych. Za śmierć i rany wielu naszych towarzyszy, za strzały na Lesznie, Grzybowie i podczas strajku powszechnego, za prowokację antysemicką został wciągnięty w zasadzkę i ukarany urzędowy sprawca tych zbrodni – Nolken. Żal nam, że ucierpieli przy tym ludzie niewinni, ale uniknąć tego nie można […]. Ze względu na cel tej strasznej walki niech nam wybaczą ci ludzie, niech cierpienia ich staną się ofiarą na ołtarzu wolności, jak cierpienia tych, którzy, niszcząc złą gadzinę, sami przy tym padają".

Tadeusz Dzierzbicki, inżynier pracujący przy wytwarzaniu bomb, zgłosił się do dokonania zamachu na warszawskiego generała-gubernatora Konstantina Maksymowicza. Miał osobisty powód, gdyż podczas jednej z demonstracji zginął



Zamach na podkomisarza Konstantinowa
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 3de77bed4d

od rosyjskiej kuli jego brat. 20 maja 1905 r. Dzierzbicki czekał z bombą na generała-gubernatora w cukierni przy ulicy Miodowej. Maksymowicz miał tamtędy przejeżdżać w drodze z Zamku do soboru przy ulicy Długiej. Jednak w szeregach bojówki byli zdrajcy: Dawid Ajzenlist i Moszek Szwarc. Gdy powiadomieni przez nich policjanci próbowali zbliżyć się do Dzierzbickiego i obezwładnić go, bojowiec rzucił bombę na ziemię. Rozerwała jego oraz dwóch policjantów. Eksplozja na Miodowej sterroryzowała Maksymowicza. Ze strachu przed kolejną próbą zabicia go uciekł do twierdzy w Zegrzu, a następnie w Modlinie. Został skompromitowany i za tchórzostwo wkrótce odwołano go ze stanowiska.

W czerwcu 1905 r. na Radzie Partyjnej PPS ujawniły się zasadnicze różnice w sprawie bojówki. Tak zwani młodzi chcieli, by prowadziła ona działania natychmiastowe i ciągłe, a decydować miały o nich lokalne struktury PPS. Józef Piłsudski uważał, że należy budować scentralizowaną „siłę wojskowo-powstańczą", stałą kadrę, która pociągnie w odpowiednim momencie zrewolucjonizowany lud do wystąpienia przeciw wojsku rosyjskiemu. Ten kierunek nie zyskał aprobaty większości. Ostatecznie jednak partia postawiła Piłsudskiego w październiku 1905 r. na czele Wydziału Spiskowo-Bojowego i zgodziła się na stworzenie specjalnych grup bojowych, ale też zobowiązała go do prowadzenia bieżących „akcji rewolucyjnych". Piłsudski wspominał, że stan umysłów pchał do natychmiastowej walki. Wbrew swoim przekonaniom musiał jednak ulegać presji ze strony bojowców rwących się do działania, choć stwierdzał: „Byłem przeciwnikiem terroru personalnego i nigdy żadnego zamachu nie organizowałem". Wiosną 1906 r. nasiliła się akcja zamachowa. W maju bomba rzucona przez Barucha Szulmana w brutalnego, znęcającego się nad aresztowanymi podkomisarza Konstantinowa rozerwała go na strzępy. Szulman podczas ucieczki został śmiertelnie ranny.



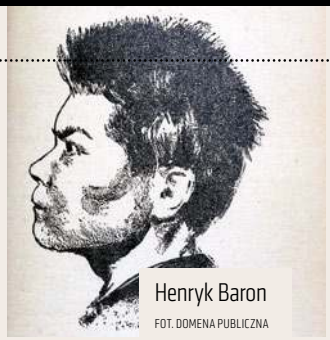
Gieorgij Skałon
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Krwawy sierpień

Najbardziej spektakularną akcją wymierzoną w carskich funkcjonariuszy w 1906 r. był zamach na gen. Andrieja Markgrafskiego, Ten żandarm intelektualista pisał artykuły o sprawie polskiej, znał nasz język i nastroje społeczne, a przyczyniła się do tego znajomość z dramatopisarką Gabrielą Zapolską. Jako pomocnik Gieorgija Skałona do spraw policyjnych i szef żandarmerii był jego prawą ręką i to on – jak pisał historyk Adam Próchnik – był duszą bezwzględnej polityki prowadzonej przez generała-gubernatora.

Jan Cynarski, członek PPS, gdy mieszkał w Otwocku, gdzie swoją willę miał Markgrafski, powziął myśl zorganizowania zamachu na generała i przekazał ją Organizacji Bojowej. Na dowódcę akcji został wyznaczony Tomasz Arciszewski, jeden z kierowników warszawskiej bojówki, przyszły premier rządu RP na emigracji. 2 sierpnia 1906 r. powóz jadący ze stacji w Otwocku do domu generała został zaatakowany przez bojowców. Markgrafski zginął, jednak śmierć poniósł w strzelaninie także jego kilkuletni syn.

Kulminacyjnym momentem terrorystycznej działalności Organizacji Bojowej PPS była krwawa środa 15 sierpnia 1906 r. – masowa akcja, na którą bardzo niechętnie zgodził się Piłsudski. Trafnie przewidywał, że po krwawej środzie nastąpią zdecydowane represje, a bojówka nie będzie w stanie odpowiedzieć na nie krwawym czwartkiem. Bojowcy uderzyli jednocześnie w kilkunastu miastach, zabijając ok. 70 funkcjonariuszy zaborczej władzy, a także policyjnych konfidentów. Jan Kwapiński, członek bojówki, pisał we wspomnieniach, że był to odwet za wprowadzoną przez Skałona „metodę katowania aresztowanych bojowców" – partia nie mogła patrzeć na to obojętnie.



Henryk Baron
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nie bez wpływu na decyzję o masowym uderzeniu była śmierć 150–200 uczestników robotniczego zrywu w Łodzi w czerwcu 1906 r. W Warszawie w krwawą środę odznaczył się Henryk Baron, który dokonał zamachu na jednego z rewirowych, brał udział w zaatakowaniu patrolu wojskowo-policyjnego, zabijając jednego funkcjonariusza, rzucił też bombę do cyrkułu na Pradze. Efektem krwawej środy było odejście ze służby wielu policjantów obawiających się o swoje życie. Według Próchnika aż połowa etatów w policji pozostawała nieobsadzona.

Po krwawej środzie PPS wydała komunikat: „Twarda ręka rewolucji musiała podruzgotać okrutnie wiele carskich żywych narzędzi tortury i mordu. Kula rewolucjonisty zaświstała groźnie, ostrzegawczo i karząc w powietrzu dusznym od ucisku i gwałtu". Jednocześnie partia oświadczała, że ubolewa nad śmiercią przypadkowych osób, ale „rewolucja musi iść niezachwiana i nieustraszona, by zakwitła wolność na krwawych zgliszczach caratu".

Dziewczyny z bombami

Gieorgij Skałon, następca Maksymowicza, miał się na baczności. Nie było wiadomo, kiedy generał-gubernator będzie przejeżdżał przez miasto, a trasa, którą się poruszał, była obstawiona przez wojsko, policję i agentów. I na ten kłopot znalazł się jednak sposób. Bojowiec Michał Trzos, przebrany w mundur rosyjskiego oficera, spoliczkował niemieckiego konsula w Warszawie. Kalkulowano, że Skałon będzie musiał przyjechać z przeprosinami do siedziby konsulatu. 18 sierpnia 1906 r. na trasie przejazdu, w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Natolińskiej, czekały z bombami członkinie bojówki: 20-letnia Wanda Krahelska i nastoletnie Zofia Owczarkówna i Albertyna Helbertówna. Dwie

eprasa.pl 3de77bed4d

bomby rzucone z balkonu eksplodowały – jedna przy powozie, druga już za nim – jednak dwie nie wybuchły. Skałon uszedł cało, jeśli nie liczyć przerwanej błony bębenkowej ucha. Owczarkówna została ujęta, a o udowodnieniu jej winy zadecydowała prowokacja prokuratury. Wysłano do niej człowieka udającego pomocnika adwokata Stanisława Patka, głośnego obrońcy w sprawach politycznych. Nie miała przed nim tajemnic. Owczarkówna została skazana na śmierć, Patek udał się do Skałona z prośbą o ułaskawienie. Generał-gubernator, świadomy, że stracenie kobiety, niemające precedensu, może wywołać nieobliczalne skutki także dla niego, powiedział adwokatowi: „Bądź pan spokojny, ja tej baby nie powieszę".

Gdy jesienią 1906 r. nastąpił rozłam w PPS, Józef Mirecki „Montwiłł", jeden z najważniejszych bojowców, opowiedział się za Piłsudskim i jego grupą oraz został członkiem Wydziału Bojowego PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Mirecki dowodził w nocy z 6 na 7 lipca 1907 r. zamachem pod Łapami na pociąg wiozący żołnierzy pułku wołyńskiego, wsławionego brutalnością podczas rozpędzania demonstracji w Warszawie. Mina podłożona na torach nie eksplodowała. Lokomotywa miała bowiem przyczepiony pług do odgarniania śniegu (choć było to lato), który zerwał przewody elektryczne podłączone do ładunku wybuchowego. Bojowcy ostrzelali więc tylko wagony, raniąc jednego żołnierza.

W 1907 r. – według „Robotnika", pisma PPS – z rąk bojówki zginęło 124 funkcjonariuszy zaborczej władzy i bardzo wielu prowokatorów, agentów w szeregach partii i bojówki. A także „bandytów i szpiegów" zarazem, co świadczyło, że w bojówce występowały demoralizacja i staczanie się niektórych jej członków w bandytyzm. Dużym sukcesem Organizacji Bojowej było zastrzelenie w styczniu 1907 r. Wiktora Grüna, wyjątkowo szkodliwego, przebiegłego kierownika referatu politycznego w warszawskim urzędzie śledczym. Perfidny Grün, dążąc do wykazania się sukcesem, miał namówić dwóch bandytów do przyznania się do zabójstwa Markgrafskiego za darowanie im życia. Słowa jednak nie dotrzymał.

Organizacja Bojowa nie zrezygnowała z próby zabicia generała-gubernatora Skałona. Zastosowano znaną metodę wywabiania ofiary. Mieczysław Mańkowski i Faustyna Morzycka – nauczycielka, pierwowzór bohaterki opowiadania „Siłaczka" Żeromskiego – postanowili dokonać zamachu na gen. Lwa Uthoffa, pomocnika Skałona do spraw policyjnych. Liczono, że na pogrzeb Uthoffa będzie musiał przybyć generał-gubernator i wówczas bojowcy go zabiją. 10 października 1909 r. Morzycka rzuciła z balkonu bombę na samochód Uthoffa. Według jednej z wersji generał pozostał w domu, według drugiej wysiadł z auta na chwilę przed wybuchem, co uchroniło go przed śmiercią. W wyniku eksplozji bomby zabitych i poranionych zostało kilka postronnych osób. Morzycka wpadła w depresję i po kilku miesiącach popełniła samobójstwo, nękana wyrzutami sumienia z powodu śmierci niewinnych ludzi.

Śmierć dla zdrajców

Terror bojówki PPS wymierzony był także w konfidentów. Mieczysław Sankowski wydał ochranie swoją „piątkę", a jeden z jej członków, Antoni Dyrcz, załamał się w śledztwie i także został agentem. Po jakimś czasie Dyrcz i Sankowski poinformowali Tomasza Arciszewskiego, że zaprzestaną agenturalnej działalności, jeśli dostaną pieniądze na urządzenie się za granicą. Arciszewski zgodził się, jednak tylko po to, by zwabić ich do restauracji na placu Wareckim w Warszawie, gdzie 20 października 1907 r. zostali zastrzeleni. Akcją dowodził Wacław Biernacki „Kostek" (późniejszy komendant więzienia w Brześciu, w którym w 1930 r. osadzono na rozkaz Piłsudskiego polityków opozycji).

Agentem ochrany był instruktor bojowy Edmund Tarantowicz, odznaczający się odwagą i ofiarnością uczestnik wielu akcji. Po aresztowaniu, na skutek tortur, wsypał wielu współtowarzyszy. Tarantowicz miał w pewnym momencie pożałować swojej konfidenckiej działalności, niewykluczone, że szczerze. Zgłosił się do kierownictwa partii i wyznał swoje grzechy. Pozornie mu przebaczono, wyprawiając go do Ameryki. W podróży do Włoch, skąd miał popłynąć za ocean, towarzyszyli mu bojowcy Kazimierz Pużak



Józef Montwiłł-Mirecki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

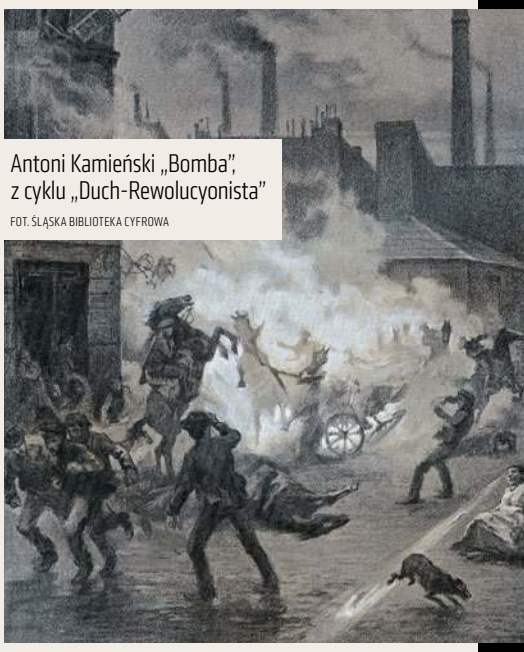
(jeden z przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, zamordowany w komunistycznym polskim więzieniu) i Henryk Minkiewicz (przyszły generał WP, ofiara zbrodni katyńskiej). W rzymskim hotelu dosypali Tarantowiczowi cyjanek potasu do szklanki. Zdążył tylko powiedzieć: „Oj, ta woda coś niedobra…".

Historyk Jerzy Pająk podawał, że przez szeregi Organizacji Bojowej PPS do rozłamu przewinęło się ok. 4,3 tys. ludzi, bardzo wielu z nich wpadło w ręce rosyjskiej policji. Na bojowców wydano 280 wyroków, jednak część z nich została zamieniona na katorgę. Wśród powieszonych w Cytadeli Warszawskiej byli m.in. Stefan Okrzeja, Henryk Baron i Józef Mirecki.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Kwapiński J., ***„Organizacja bojowa, katorga, rewolucja rosyjska. Z moich wspomnień 1904–1919"***; *Pająk J.*, ***„Organizacje bojowe partii politycznych w Królestwie Polskim 1904–1911"***; *Próchnik A.*, ***„Idee i ludzie. Z dziejów ruchu rewolucyjnego w Polsce"***; *Próchnik A.*, ***„W trzydziestą rocznicę »Krwawej Środy«"***; *Radek S.A.*, ***„Rewolucja w Warszawie 1904–1909"***.



Antoni Kamieński „Bomba", z cyklu „Duch-Rewolucyonista"

FOT. ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

eprasa.pl 3de77bed4d



Zamach na cara Aleksandra II
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wieki XIX i XX / Bomby i rewolwery

Zamachy poza granicami



Sławomir Koper

Terroryści polskiego pochodzenia nie ograniczali swojej działalności tylko do dawnych ziem Rzeczypospolitej. Ich ofiarami padli m.in. car Rosji i prezydent USA

Podobno pewna Cyganka przepowiedziała carowi Aleksandrowi II, że przeżyje bez szwanku sześć zamachów, natomiast zginie podczas siódmego. Nie wiadomo, ile było w tym prawdy, ale faktycznie liczba się zgadzała. Od kwietnia 1879 r. próby uśmiercenia monarchy stały się niemal normalnym zjawiskiem w życiu Rosji, a w Petersburgu opowiadano nawet dowcip, że pewien mieszczanin, słysząc dzwony bijące radośnie w cerkwiach, zapytał z niedowierzaniem: „Czy zamachowcy znów chybili?”. Na imperatora polowali członkowie organizacji rewolucyjnej Narodnaja Wola (Wola Ludu), dążący do obalenia samodzierżawia w Rosji. Przejawiali przy tym ogromną inwencję: wysadzono w powietrze pociąg, którym Aleksander miał podróżować z Krymu (monarcha pojechał innym składem), czy carską jadalnię w Pałacu Zimowym (ładunek okazał się zbyt słaby).

Ciekawy był skład osobowy Komitetu Wykonawczego Woli Ludu. Syn zubożałych ziemian, Aleksander Michałow, a obok potomek chłopskiej rodziny – niedoszły prawnik Andrzej Żelabow. Genialny inżynier, syn popa Mikołaj Kibalczycz i zamożny potomek szlachty Aleksander Barannikow. Ogromną rolę w działalności Komitetu odgrywały kobiety: szlachcianka Wiera Figner mająca za sobą studia w Szwajcarii i Zofia Pierowska, córka generała-gubernatora Petersburga!

Hryniewiecki z bombą

Przyszły zabójca cara pochodził z zaściankowej szlachty z Podlasia. Uczył się w Bielsku Podlaskim, maturę uzyskał w szkole realnej w Białymstoku. Dzięki korepetycjom zgromadził środki na studia w Petersburgu, a przy okazji zetknął się też z ideami socjalistycznymi i zerwał z katolicyzmem.

Studia na wydziale mechanicznym Instytutu Technologicznego niebawem przerwał, gdyż nielegalna działalność wciągnęła go bez reszty. Niewiele wiadomo o jego poglądach narodowych – najważniejsze było dla niego obalenie

eprasa.pl 3de77bed4d



Konstantin Makowski „Aleksander II na łożu śmierci”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

caratu. Czy jednak widział wolność Polski w związku z Rosją, tego nigdy się nie dowiemy.

Pod koniec sierpnia 1880 r. nie powiodła się próba wysadzenia mostu Kamiennego w Petersburgu, przez który codziennie przejeżdżała cesarska kareta. Wobec tego, że w ciągu tygodnia trasy carskich przejazdów podlegały nieregularnym zmianom, kolejny zamach zaplanowano na niedzielę. W południe władca był zawsze obecny na uroczystej paradzie gwardii, po czym jedną z dwóch stałych dróg wracał do pałacu. Trasa prowadziła przez ulicę Małą Sadową lub wzdłuż Kanału Katarzyny (obecnie Kanał Gribojedowa). Na Małej Sadowej panował zbyt duży ruch, by zaatakować za pomocą ręcznych bomb, zatem w rachubę wchodziły tam tylko podkop i detonacja miny. Natomiast w drugim przypadku orszak carski znacznie zwalniał przed wjazdem na most nad kanałem, co umożliwiało przeprowadzenie zamachu.

Przygotowań do ataku na cara nie zatrzymały nawet aresztowania wśród spiskowców. Zatrzymano Barannikowa i Żelabowa, co było ciężkim ciosem dla organizacji, a jeszcze większym dla Zofii Pierowskiej. Od lat była bowiem związana z Żelabowem i uważała go za mężczyznę swojego życia.

Rano w niedzielę 13 marca 1881 r. Pierowska zabrała ze sobą dwie gotowe bomby. Gdy ukończono pracę nad kolejnymi dwoma, wziął je Kibalczycz, by dostarczyć je do innego konspiracyjnego mieszkania. W tym czasie Hryniewiecki żegnał się z życiem, pisząc swój testament polityczny. Był wyznaczony do rzucenia bomby i wiedział, że zamachu raczej nie przeżyje. Całkowicie zgadzał się ze swoim losem i szedł na śmierć „w absolutnym spokoju ducha”. Zgodnie z planem monarcha miał paść ofiarą eksplozji miny, gdyby jednak przeżył, wówczas do akcji mieli wkroczyć miotacze i dokończyć dzieła. Natomiast gdyby imperator nie jechał przez Małą Sadową, wówczas Hryniewiecki z towarzyszami mieli udać się nad Kanał Katarzyny i tam dokonać zamachu.

Aleksander II po paradzie nakazał powrót do Pałacu Zimowego drogą wzdłuż kanału. Pozycje zajęło jednak tylko trzech miotaczy, gdyż jeden z nich, robotnik Timofiej Michajłow, nie wytrzymał napięcia i wrócił do domu. Nie ocaliło to jednak Aleksandra II. Car jechał w karecie eskortowanej przez siedmiu Kozaków, za którą podążały dwie pary sań z policją. Kawalkada poruszała się w szybkim tempie, ale musiała zwolnić, skręcając w kierunku mostu. Na to czekali miotacze i gdy kareta znalazła się w pobliżu Mikołaja Rysakowa, rzucił on bombę pod kopyta carskich koni. Eksplozja odrzuciła zamachowca, który jednak się podniósł i zaczął uciekać. Jeden z przechodniów rzucił wtedy pod jego nogi jakiś przedmiot; Rysakow przewrócił się i został ujęty. Za chwilę doprowadzono go przed oblicze Aleksandra II. Carowi nic się nie stało (bomba wybuchła za karetą), zginął natomiast jeden z Kozaków z eskorty, a inny został poważnie ranny. Śmiertelnie ranni zostali natomiast przypadkowi świadkowie dramatu: kilkunastoletni chłopak i przechodząca ulicą kobieta.

Aleksander II wysiadł z uszkodzonej karety i podszedł do zamachowca. Nie zwracał uwagi na prośby otoczenia, by natychmiast odjechał z miejsca wybuchu. Zapytał Rysakowa o nazwisko, a potem z niewiadomych przyczyn zwlekał, jakby wyzywał los. Zapragnął jeszcze obejrzeć miejsce wybuchu, a gdy szedł w tamtą stronę, znalazł się w pobliżu Hryniewieckiego. Ten nagle podniósł obie ręce do góry i z całej siły rzucił pod nogi imperatora zawiniątko wielkości „pudełka landrynek”. Ułamek sekundy później doszło do eksplozji. Hryniewiecki przeszedł do historii nie tylko jako zabójca cara, lecz także jako pierwszy polski zamachowiec samobójca...

Aleksandra II w pośpiechu położono na saniach, którymi jechała jego eskorta, i przewieziono do Pałacu Zimowego, gdzie władca dokonał żywota godzinę później. Zabójca przeżył go tylko o sześć godzin – zmarł wieczorem w jednym z petersburskich szpitali.

Koniec Woli

Aresztowany podczas zamachu Rysakow nie wytrzymał śledztwa i zdradził posiadane informacje. Dwa dni później zatrzymano Michałowa, następnie policjanci dotarli do mieszkania Hryniewieckiego, ale nie udało im się ustalić jego tożsamości. Polak posługiwał się bowiem fałszywymi dokumentami, a wśród współtowarzyszy z Narodnej Woli znany był tylko pod pseudonimem Kociak... Pozostali liderzy też niebawem znaleźli się pod kluczem. Śledztwo nie trwało długo, ponieważ podczas przesłuchań używano prądu i narkotyków. Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy i składali obszerne wyjaśnienia, traktując je jako element propagandy rewolucyjnej.

Dużym zaskoczeniem było natomiast zachowanie



Mikołaj Kibalczyc, Zofia Pierowska i Andrzej Żelabow na ławie oskarżonych FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3de77bed4d



Egzekucja sprawców zamachu na Aleksandra II
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Kibalczycza. Oczekując w celi na proces, a potem na egzekucję, zajął się swoim porzuconym projektem – planem budowy silnika rakietowego. Zwrócił się nawet z prośbą do policji, by przekazać jego plany uczonym, ale spotkał się z odmową. Notatki i rysunki Kibalczycza jednak nie zniknęły i wiele lat później trafiły w ręce Konstantego Ciołkowskiego. Wielki uczony był zaskoczony projektami terrorysty i żałował, że nie poświęcił się on jednak w całości nauce…

Zamachowcy stanęli przed sądem 11 kwietnia. Zostali skazani na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonano cztery dni później i była to ostatnia publiczna egzekucja w carskiej Rosji. Cała piątka (Żelabow, Pierowska, Kibalczycz, Rysakow i Michajłow) umierała z godnością, nie przeszkadzały im tabliczki z napisem „carobójca" zawieszone na szyjach. Na szafocie Pierowska zdążyła jeszcze ucałować Żelabowa.

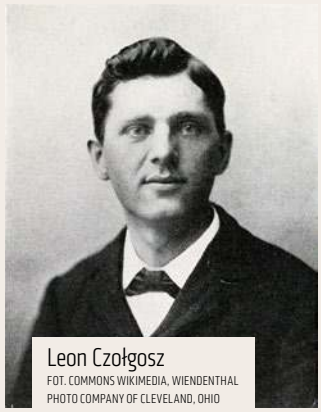
Policja długo nie mogła ustalić tożsamości Hryniewieckiego, chociaż jego głowę, zakonserwowaną w słoju ze spirytusem, wystawiono w holu petersburskiej komendy. Ostatecznie pomogła odezwa Narodnej Woli, informująca, że zabójca cara był Polakiem. W efekcie jego rodzina dostała dozór policyjny i zakaz opuszczania majątku.

Z członków Komitetu Wykonawczego Narodnej Woli przeżyła tylko Wiera Figner. Zbiegła zaraz po zamachu, aresztowano ją dopiero dwa lata później. Została skazana na śmierć, potem ją ułaskawiono, ostatecznie spędziła ponad 20 lat w ciężkich więzieniach i na zesłaniu. Doczekała amnestii w związku z rewolucją 1905 r. i wyjechała na Zachód. Powróciła podczas pierwszej wojny światowej i po przewrocie bolszewickim miała okazję na własne oczy zobaczyć, jak wygląda zwycięstwo „rewolucji socjalistycznej" w praktyce. Jak na terrorystkę żyła wyjątkowo długo – zmarła w 1942 r. w wieku 90 lat.

Anarchiści w akcji

6 września 1901 r. potomek polskich emigrantów, 28-letni anarchista Leon Czołgosz, postrzelił w Buffalo w stanie Nowy Jork prezydenta USA Wiliama McKinleya. Zamachowca zatrzymano na miejscu, a ochrona prezydenta z trudem ocaliła napastnika przed linczem. Nastroje jeszcze bardziej się zradykalizowały, gdy dziewięć dni później McKinley zmarł. Na niemal całym obszarze Stanów Zjednoczonych zatrzymywano zwolenników anarchizmu, ponieważ całkiem poważnie obawiano się rozgałęzionego spisku przeciwko USA. Ogólna histeria doprowadziła do tego, że do aresztu trafiali nawet ludzie, którzy zbyt mało energicznie potępiali Czołgosza. Przypominano, że we wrześniu 1898 r. w Genewie włoski anarchista Luigi Lucheni zadźgał pilnikiem austriacką cesarzową Elżbietę (słynną Sisi), a dwa lata później jego rodak, także anarchista, Gaetano Bresci, zastrzelił króla Italii Humberta I.

Leon Frank Czołgosz urodził się w Detroit w 1873 r. Jego rodzice pochodzili z zaboru rosyjskiego, wyemigrowali do USA w latach 60. XIX stulecia. Leon miał pięciu braci i dwie siostry, na świat przyszedł jako czwarte dziecko rodziny. Ojciec przyszłego zamachowca pracował jako robotnik i nigdy nie nauczył się dobrze mówić po angielsku. Być może dlatego rodzina przeniosła się z Detroit do Nantrony niedaleko Pittsburgha w Pensylwanii. Mieszkało tam wielu emigrantów z Polski, co zapewne miało wpływ na decyzję Pawła Czołgosza.



Leon Czołgosz
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WIENDENTHAL PHOTO COMPANY OF CLEVELAND, OHIO

Leon dobrze poznał angielski w szkole, jednak ze względów ekonomicznych szybko zakończył edukację. W wieku 16 lat rozpoczął pracę w fabryce butelek, następnie cała rodzina, poszukując lepszych warunków życia, przeniosła się do Cleveland w Ohio. Tam Leon wraz z dwoma braćmi dostali pracę w stalowni, gdzie zarabiali po 4 dol. dziennie. Była to całkiem dobra stawka (dziś byłoby to ok. 90 dol.), znacznie wyższa niż przy produkcji butelek, gdzie Czołgoszowi wypłacano dniówkę w wysokości 1 dol. Gdy jednak stawki obniżono, rozpoczął się strajk i Leon stracił pracę. Ostatecznie zatrudnił się pod fałszywym nazwiskiem i w tym czasie zradykalizował swój światopogląd. Niebawem znalazł się pod wpływem środowisk anarchistycznych. Zwolennicy tej ideologii dążyli do obalenia istniejących struktur, głosząc, że panujące stosunki są przyczyną rozwarstwienia społecznego i niesprawiedliwości ekonomicznej. Anarchiści dążyli do

eprasa.pl 3de77bed4d

siłowych zmian, a zabójstwa polityczne uważali za w pełni uzasadnione. Nic zatem dziwnego, że wzbudzali prawdziwą trwogę wśród elit tamtej epoki.

Czołgosz zachowywał się jak skrajny fanatyk. Porzucił pracę i skoncentrował się na działalności politycznej. Podróżował po polskich skupiskach robotniczych rozsianych po całej Ameryce, gdzie agitował za anarchizmem. Wielkie wrażenie wywarło na nim zabójstwo króla Włoch, a szczególnie wyznanie zamachowca, że „musiał wziąć sprawy w swoje ręce".

Zdecydował się pójść w ślady włoskiego zabójcy i zamordować urzędującego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie miał problemów z ustaleniem, gdzie przywódca USA będzie przebywał, prasa bowiem szeroko informowała o planach prezydenta. Dlatego 31 lipca 1901 r. przyjechał do Buffalo, gdzie wynajął tani pokój i kupił rewolwer. Wiedział, że McKinley 5 i 6 września będzie obecny na odbywającej się w mieście Wystawie Panamerykańskiej, a znając jego upodobanie do witania się z niemal każdym, zakładał, że nie będzie miał problemów ze zbliżeniem się do ofiary. Przy czym nie obawiał się ochrony prezydenta, ponieważ wiedział, że nie sprawiał wrażenia groźnego człowieka.

„Twarz miał spokojną – opisywał Czołgosza jeden z funkcjonariuszy z obstawy McKinleya. – Nie wyglądał na człowieka, który niesprowokowany pokusi się o zamach na życie drugiego człowieka. Gdyby były jakieś powody do podejrzeń, na pewno powstrzymalibyśmy go. Ale nie było powodów. Był on ostatnim człowiekiem na świecie, którego w tłumie ludzi uznalibyśmy za niebezpiecznego".

Płonąca ręka

William McKinley, prawnik z zawodu, był pierwszym nowoczesnym amerykańskim prezydentem. Korzystał z telefonu, używał samochodu i lubił bezpośrednie kontakty z wyborcami. Podczas spotkań chętnie podawał rękę każdemu, kto chciał się z nim przywitać (podobno potrafił uścisnąć ponad 2,5 tys. rąk dziennie), a do tego miał znakomitą pamięć do twarzy i nazwisk.

Po zakończeniu pierwszej kadencji został w marcu 1901 r. zaprzysiężony na kolejną i wyruszył w podróż po Stanach Zjednoczonych. Jej ukoronowaniem miała być wizyta na Wystawie Panamerykańskiej w Buffalo, gdzie planował dwudniowy pobyt. Prezydenta ochraniało kilkanaście osób, ale biorąc pod uwagę zwyczaje McKinleya, ich działania nie mogły być skuteczne. Po wejściu polityka na salę od razu ustawiła się ogromna kolejka ludzi chcących się z nim przywitać. W kolejce stanął też Czołgosz, a gdy trzymane przez niego zawiniątko zwróciło uwagę jednego z ochroniarzy, wyjaśnił, że przed chwilą skaleczył się w dłoń i owinął ranę chusteczką.

McKinley witał się ze wszystkimi, a kiedy Czołgosz dotarł do niego, sprawiał wrażenie, jakby również chciał uścisnąć dłoń prezydenta. Wyciągnął do niego lewą rękę, ale jednocześnie palcami prawej nacisnął spust rewolweru zawiniętego w chusteczkę. Dwa pociski trafiły prezydenta w brzuch i pierś, a chusteczka zapaliła się po strzałach. Prezydent upadł, a na zamachowca rzuciła się ochrona. Czołgosz nie stawiał oporu. Leżący McKinley zdążył jeszcze wyszeptać, by zamachowcowi nie zrobiono krzywdy. Prośba była jak najbardziej uzasadniona, gdyż do obezwładnionego Czołgosza dopadł jeden z kelnerów i chciał mu poderżnąć gardło. W powstałym tumulcie podnosiły się krzyki z żądaniem przeprowadzenia natychmiastowego linczu.

Zamachowiec powiedział tylko, że „wykonał swój obowiązek", a potem już uparcie milczał. Podczas przesłuchania przyznał jedynie, że jest anarchistą i że nikt mu nie pomagał. Prezydent zmarł dziewięć dni później, a los Czołgosza był przesądzony, gdyż psychiatrzy uznali go za w pełni poczytalnego w chwili dokonania zbrodni. Przy okazji zauważono także, że jest „typowym produktem anarchizmu", co jeszcze bardziej pogrążało zamachowca w oczach opinii publicznej.



Leon Czołgosz strzela do prezydenta Williama McKinleya

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, T. DART WALKER

Proces rozpoczął się 23 września w Buffalo. Na wstępie obrońca z urzędu przeprosił zebranych za to, że musi działać na rzecz mordercy – sędzia i prokurator przyjęli oświadczenie z pełnym zrozumieniem. Rozprawa wzbudziła ogromne zainteresowanie; obecni byli dziennikarze z niemal wszystkich stanów USA. Przy okazji znacznie wzmocniono ochronę sali sądowej, obawiano się bowiem prób samosądu. Inna sprawa, że postępowanie przebiegało w błyskawicznym tempie i już następnego dnia oskarżony został skazany na karę śmierci. Zamachowiec przyjął wyrok ze stoickim spokojem.

Leon Czołgosz został stracony na krześle elektrycznym rano 29 października 1901 r. w więzieniu w Auburn w stanie Nowy Jork. Zwłok nie wydano rodzinie. Umieszczono je w trumnie zalanej kwasem siarkowym, który rozpuścił ciało zabójcy. Szczątki pochowano w nieznanym miejscu, ponieważ obawiano się, że grób zamachowca stanie się miejscem pielgrzymek anarchistów. Natomiast mózg Czołgosza poddano badaniom medycznym. Nie stwierdzono jednak, by szczególnie różnił się od organu przeciętnego człowieka.

Warto też wspomnieć, że Polakami z pochodzenia byli dwaj najsłynniejsi bomberzy w dziejach USA: George Metesky i Ted Kaczynski. Przy poszukiwaniach pierwszego z nich po raz pierwszy zastosowano z powodzeniem profilowanie przestępców (1957), co zapoczątkowało światową karierę tej dziedziny kryminalistyki. Ale to już materiał na inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Finger W., ***„Trwały ślad"***, *Warszawa 1962; Górski R.*, ***„Polscy zamachowcy. Droga do wolności"***, *Kraków 2008; Kucharzewski J.*, ***„Od białego caratu do czerwonego", t. 5,*** *Warszawa 2000; Pastusiak L.*, ***„Zamachy na prezydentów USA"***, *Warszawa 2010; Radziński E.*, ***„Aleksander II. Ostatni wielki car"***, *Warszawa 2005;* ***„The trial land execution of Leon Czolgosz", http://web.archive.org/web/20141111223817/http://www.buffalohistoryworks.com:80/panamex/assassination/executon.htm*** *(tłum. G. Koper).*

eprasa.pl 3de77bed4d



Aleksandrer II, ofiara zamachu bombowego rewolucjonistów
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Arsenał patriotów



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Działania PPS podjęte w celu uzyskania środków walki jako żywo przypominają zabiegi podejmowane przez polskie organizacje w latach 1863–1864. Bardzo pomocne było w tym kontekście tradycyjne w Rosji łapownictwo

W ostatnich dekadach XIX w. i na początku kolejnego stulecia Imperium Rosyjskim wstrząsnęły zdarzenia, których podłożem była fizyczna walka z caratem i szeroko rozumianym państwowym aparatem opresji. Terror stanowił zasadniczy środek walki przeciwko samodzierżawiu, ukuto nawet termin „terror systematyczny", który realizować miały grupy bojowników uzbrojonych w bomby. Polacy odegrali tu rolę niebagatelną, z uwagi na nienawiść do zaborcy i bogate doświadczenie wyniesione z wieloletnich zmagań. W latach 80. sławę zdobyli Ignacy Hryniewiecki i Józef Łukaszewicz – członkowie rewolucyjnej organizacji Narodnaja Wola. Pierwszy z nich cisnął w 1881 r. w cara Aleksandra II ładunkiem wybuchowym wypełnionym nitrogliceryną. Skutecznie. Drugi przygotował inną bombę, którą zamierzano zgładzić jego syna i następcę – Aleksandra III.

Wybuchowa książka

Łukaszewicz, student wydziału przyrodniczego petersburskiego uniwersytetu, znał gruntownie chemię i pirotechnikę, a ponieważ legalne pozyskanie nitrogliceryny oraz pioruniana rtęci było niemożliwe, zmuszony był je wyprodukować. Niezbędny był też kwas azotowy, który również przygotowywał we własnym zakresie. Obliczono, że do sporządzenia trzech bomb potrzeba będzie przynajmniej 13 funtów dynamitu.

W pracach laboratoryjnych pomagali Łukaszewiczowi także inni członkowie grupy – tzw. Frakcji Rewolucyjnej – którzy m.in. przygotowali miedziane kapsle wypełnione strychniną. Trucizna miała dać pewność, że nawet w przypadku lekkiego zranienia w wyniku wybuchu car i tak nie przeżyje zamachu. Łukaszewicz zaprojektował bomby, wzorując się w pewnym stopniu na tych użytych w zamachu z 1881 r.; wprowadził jednak kilka innowacji dotyczących przede wszystkim zapalnika. Zapalnik systemu Kibalczycza, także członka Narodnej Woli, był bardzo czuły, a przez to niebezpieczny. Jednym z jego zasadniczych elementów była szklana rurka, w której wnętrzu umieszczano ołowiany ciężarek. Podczas wstrząsu rozbijał on rurkę wypełnioną stężonym kwasem siarkowym, a ten z kolei trafiał na mieszaninę chloranu potasowego i cukru, powodując zapłon. Ogień przedostawał się za pomocą lontu do pioruniana rtęci, którego wybuch powodował detonację dynamitu. Przypadkowy wstrząs mógł doprowadzić do nieoczekiwanej eksplozji. Łukaszewicz zastosował zapalnik z zaworem; rurka podzielona była na dwie części: w jednej znajdowała się mieszanka chloranu potasowego z cukrem, w drugiej kwas siarkowy. Dopóki były rozdzielone, dopóty bomba była dobrze zabezpieczona; aby ją odbezpieczyć, należało pociągnąć za sznurek, który powodował otwarcie zaworu. Odpowiedni rzut bombą doprowadzał do zetknięcia się materiałów i tym samym następował opisany wyżej cykl. Wszystkich rzucających bombami, tzw. mietalszczików, zapoznano z ich budową i działaniem, przeprowadzono także praktyczne ćwiczenia potwierdzające niezawodność konstrukcji zapalnika.

Jedną z bomb konstruktor umieścił w książce – grubym słowniku medycznym Grünberga. Skleiwszy wszystkie obrzeża stronic, całość ścisnął w pra-



Dwa rosyjskie rewolwery: Nagant i Smith Wesson, niemiecki mauzer C96 (u góry) oraz dwa browningi 1900 (z lewej) FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 3de77bed4d

sie i wysuszył. Potem wyciął wnętrze i pozostawił obrzeża, które dla pewności przykręcił śrubami do tylnej okładki; wewnątrz umieścił tekturowe pudełko na bombę w blaszanej osłonie. Wolną przestrzeń wykorzystano na pojemniczki z trucizną. Co ciekawe, już po udaremnieniu zamachu, do którego doszło w 1887 r., i aresztowaniu uczestników policja nie odkryła prawdziwego przeznaczenia książki. Jeden z zamachowców próbował ją zdetonować w budynku policji, ale źle odbezpieczył zapalnik i bomba nie wybuchła.

Domowa nitrogliceryna

Akty terroru z ostatnich dwóch dekad XIX w. miały charakter raczej improwizowany i zdecydowanie „cywilny". W dobie rewolucji lat 1905–1907 sytuacja była inna, a wzmagającą falę buntu próbowano okiełznać metodami wojskowymi – zarówno w zakresie organizacji, jak i uzbrojenia. Doskonałych wzorców, m.in. w zakresie zdobywania, szmuglowania i magazynowania broni i amunicji, dostarczyło powstanie z lat 1863–1864. Działania PPS podjęte w celu uzyskania środków walki jako żywo przypominają zabiegi podejmowane przez polskie organizacje 40 lat wcześniej. Z początku sięgnięto po domowe „arsenały", a więc noże, kordelasy, szable, dubeltówki. Uzupełnieniem była broń wytwarzana przez robotników w fabrykach: sztylety z pilników, kastety, maczugi nabijane ćwiekami lub okuwane metalem.

Broni palnej było z początku niewiele. Dopiero z czasem arsenały zapełniły się uzbrojeniem kupionym za granicą. Emisariuszy wysyłano do Austrii, Niemiec i Belgii. Fundusze były w zasadzie wystarczające, ale przerzut przez granicę i transport wewnątrz Kongresówki wymagały sprytu i dobrej organizacji. O dziwo, wszystko przebiegło niezwykle sprawnie; środki zebrane wśród robotników („na bomby dla cara") oraz bogatych stronników uzupełnili Japończycy toczący na Dalekim Wschodzie wojnę z Rosją i chętnie wspierający rebelię na zapleczu wroga. Bardzo pomocne okazały się doświadczenia zebrane przy przemycaniu „bibuły", czyli nielegalnych wydawnictw PPS, a carska kontrola, choć w teorii rozbudowana i szczelna, okazała się nieefektywna. Poza tym dużą rolę odegrało tradycyjne w Rosji łapownictwo. Szmuglem broni zajmowały się często kobiety, które zwano „dromaderkami". Akcję przemytu ułatwiała ówczesna moda, z jej gorsetami, płaszczami, długimi spódnicami i pelerynami, choć nie należała ona do łatwych: „Najniebezpieczniejszą i najmniej wygodną kontrabandą był dynamit – wspominała Aleksandra Piłsudska. – Myśl, że ma się na sobie materiał wybuchowy, łączyła się ze świadomością niebezpieczeństwa eksplozji. Jakieś silniejsze potarcie szpilką czy fiszbinem z gorsetu i zabawa skończona. Nie była to myśl przyjemna, jeśli się miało setki kilometrów przed sobą, a dynamit ciasno upakowany, ściskał ciało jak wąż z żelaza, ciążył coraz nieznośniej, zapierał oddech, tak że w końcu muskuły drętwiały i trudno było ruszyć się z miejsca. Dodatkową przykrością były wyziewy dynamitu powodujące torsje".

Walery Sławek, kierujący wraz z Aleksandrem Prystorem Organizacją Spiskowo-Bojową PPS, wspominał inżyniera Tadeusza Dzierzbickiego, „naszego chemika", który skupował w małych ilościach w aptekach kwas solny, siarczany oraz glicerynę. W domu wyprodukował 3 kg nitrogliceryny, a z niej „żelatynę wybuchową". Laboratoria PPS wytwarzały też bomby z karbonitu, materiału wybuchowego stosowanego w kopalniach. „Zapalnik składający się z rurki szklanej z kwasem siarczanym z przymocowanym do niej ciężarkiem wkładało się już po nasypaniu piorunianu rtęci – opisywał konstrukcję Sławek – a w czasie wkładania trzeba było podsypać trochę mieszaniny kalichloricum i cukru. Po zakorkowaniu drewnianym korkiem zapalnik był gotów". Podczas uzbrajania przez Sławka w zapalnik takiej bomby przed akcją na wagon pocztowy stacji w Milanówku, po włożeniu przez niego zapalnika, nastąpiła eksplozja. Na szczęście nie zainicjowała wybuchu całego karbonitu, mimo to Walery Sławek został bardzo ciężko ranny.



BOJOWIEC ZOB PPS Z. BROWNINGIEM. FOT. BN

Niezawodny „bronek"

Gros przemycanej broni stanowiły jednak pistolety. Ikoną bojowca rewolucjonisty stał się M1900 kal. 7,65. Był dziełem genialnego rusznikarza, Amerykanina Johna Mosesa Browninga, który zastosował niesłychanie efektywny mechanizm odrzutu zamka swobodnego (nieryglowanego). W porównaniu ze skomplikowanymi i ryglowanymi przed strzałem pistoletami samopowtarzalnymi z końca XIX w. „bronek" był ucieleśnieniem prostoty i niezawodności. Nabój nie był zbyt silny, ale ponieważ strzelano zazwyczaj na bliskim dystansie, jego skuteczność okazywała się wystarczająca. W magazynku mieściło się siedem nabojów; przyrządy celownicze (muszka i szczerbinka) były stałe. „Tysiącdziewięćsetki" zdecydowanie przeważały w rewolucyjnym arsenale. We wspomnieniach byłych konspiratorów przewija się poza tym mauzer, czyli słynny C96 skonstruowany w wytwórni Mausera przez braci Fidela, Friedricha i Josefa Feederle. Pistolet strzelał silną amunicją 7,63, zasilany był z niewymiennego (ładowanego z łódki, jak karabiny) magazynka na 10 nabojów. Mauzera wyposażono w drewnianą kaburę, która po zamocowaniu w chwycie zamieniała go w poręczny karabinek. Celownik w tej broni był nastawny. Broń była stosunkowo niezawodna, ale jej znaczne gabaryty (blisko 30 cm długości) komplikowały robotę konspiracyjną. Natomiast zaledwie 16-centymetrowy Browning był jakby stworzony dla rewolucjonisty.

Nic dziwnego, że w ramach Organizacji Bojowej PPS opracowano specjalną instrukcję obsługi i sposobów strzelania z tego pistoletu. Na zamieszonych tam zdjęciach poglądowych widać elegancko ubranego dżentelmena składającego się, nieco nonszalancko, do strzału zarówno w pozycji stojącej, jak i klęczącej. Współcześni strzelcy patrzą na to zapewne z politowaniem, ale czasy belle époque wymagały godnej prezencji. Nawet od rewolucjonistów.

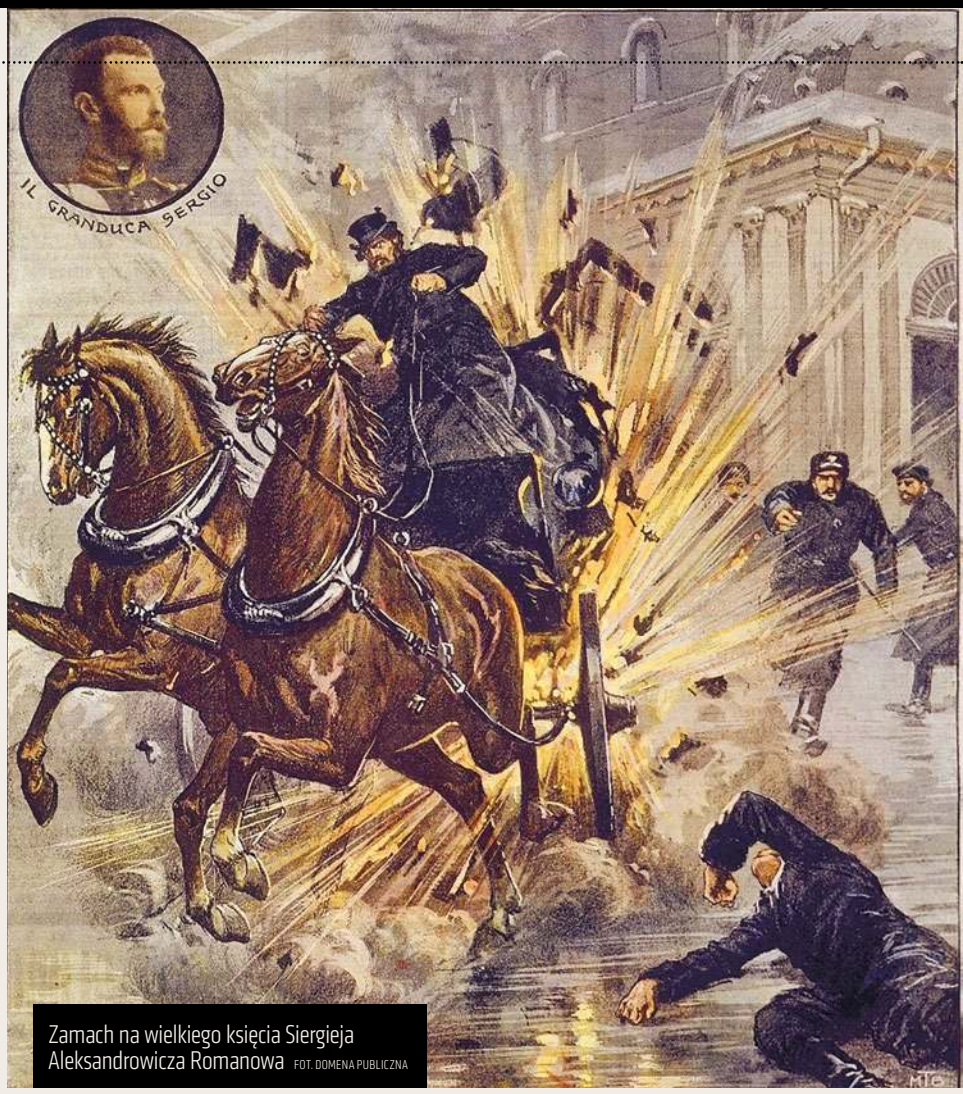
© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d



Mikołaj Iwanow

Stworzona po zamachu na cara tajna policja dokonała wielu udanych prowokacji w środowisku rewolucjonistów. Z jej doświadczeń czerpała potem bolszewicka bezpieka



Zamach na wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza Romanowa FOT. DOMENA PUBLICZNA

1881–1918 / Policja kontroluje rewolucjonistów

Arkany agentów ochrany

Oddział Obrony Porządku i Bezpieczeństwa Państwowego, potocznie nazywany ochraną, pojawił się w strukturach policji Imperium Rosyjskiego w 1881 r. po zabójstwie Aleksandra II przez członków Narodnej Woli. Pierwsze regionalne oddziały ochrany powstały w Moskwie i Warszawie. Jednymi z najważniejszych celów tej instytucji stały się inwigilacja i prowokacje. Ochrana odniosła na tych polach kilka spektakularnych sukcesów.

Unikatowa w historii światowych służb specjalnych działalność inwigilacyjna ochrany miała również swój polski ślad. Jednym z czołowych agentów ochrany w szeregach rosyjskich rewolucjonistów był Jewno Azef, urodzony w 1869 r. na kresach dawnej Rzeczypospolitej, w Łyskowie, niedaleko Grodna, w rodzinie żydowskiej. Do ruchu rewolucyjnego przyłączył się już w wieku 24 lat, po czym zgłosił się do ochrany z propozycją współpracy. Motywem, który nim kierował, były pieniądze. Początkowo jego pensja agenta sięgała 100 rubli miesięcznie. W 1900 r., wraz z przeprowadzką do Moskwy, wypłatę podwyższono mu do 150 rubli, natomiast rok później, w związku z wyjazdem za granicę, gdzie brał udział w tworzeniu Partii Socjalistów-Rewolucjonistów (eserowców), wynosiła ona już 500 rubli. Dla porównania: w tym czasie pensja dyrektora Departamentu Policji, bez dodatku mieszkaniowego, wynosiła ok. 600 rubli miesięcznie. W maju 1903 r., gdy Azef stanął na czele Organizacji Bojowej Partii

eprasa.pl 3de77bed4d

Socjalistów-Rewolucjonistów, dostawał co roku 6 tys. rubli.

Organizator zamachów

Jewno Azef wraz z innym czołowym liderem eserowców Grigorijem Gerszunim (Isaakiem Gerszem) zjednoczył poszczególne organizacje tej partii, stając się jednym z jej przywódców. Wkrótce, w 1903 r., Gerszuni, zdradzony przez Azefa, został aresztowany. Natomiast sam Azef był nadal czołową postacią w partii i stojąc na czele Organizacji Bojowej Socjalistów-Rewolucjonistów, nadzorował przeprowadzanie licznych akcji terrorystycznych. Utworzył Komitet Centralny tej partii, dokooptowując do jego składu potrzebne mu osoby, oraz zreorganizował Organizację Bojową stworzoną przez Gerszuniego, dzięki czemu stała się ona scentralizowana, zdyscyplinowana i łatwa do zarządzania, a przez to również łatwa do kontrolowania przez ochranę.

Azef, przy wsparciu Abrama Gotsa, wnuka najbogatszego rosyjskiego Żyda, króla herbaty Wolfa Wysockiego, aktywnie propagował terror. Równocześnie jako agent policji zapobiegał niektórym aktom terrorystycznym (m.in. zamachowi na ministra spraw wewnętrznych Piotra Durnowę i na samego Mikołaja II).

W latach 1902–1904 Azef podróżował po Rosji, jednocząc rozproszone środowiska rewolucyjne w jedną partię. Zorganizował pierwszy petersburski komitet Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, a jednocześnie przekazał ochranie informacje o pierwszym składzie Komitetu Centralnego kierowanej przez siebie partii, a także niektóre plany rewolucjonistów.

W tym samym czasie zorganizował ponad 30 ataków terrorystycznych, dokonał morderstw prominentnych przedstawicieli carskiego aparatu państwowego, w tym swoich przełożonych: ministra spraw wewnętrznych i szefa korpusu żandarmerii Wiaczesława Plehwego (uważanego za głównego organizatora potwornego pogromu Żydów w Kiszyniowie w 1903 r. i w innych miastach imperium) i generała-gubernatora Moskwy, wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza Romanowa.



Jewno Azef FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Część ataków terrorystycznych Azef przygotowywał w tajemnicy przed policją, dokładając wszelkich starań, aby je skutecznie przeprowadzić. O innych natomiast powiadamiał ochranę, która udaremniała zamachy. Dzięki temu Azef był uważany zarówno przez członków partii, jak i policję za osobę godną zaufania. Za każdym razem, gdy próbowano go zdemaskować, koledzy partyjni argumentowali, że człowiek, który zorganizował tak wiele udanych akcji terrorystycznych, nie może być agentem tajnej policji. Policja natomiast ze zrozumieniem przyjmowała tłumaczenia Azefa, że nie wszystkie ataki jest on w stanie udaremnić.

Burcew demaskuje

Jako niewątpliwe osiągnięcie Azefa uważano zakup większej ilości broni dla robotników za pieniądze japońskiego dyplomaty Akashiego Motojiro i dostarczenie jej do Rosji na statku „John Grafton". Według niektórych źródeł Azef inspirował likwidację innego agenta ochrany wśród rewolucjonistów – Grigorija Gapona. W ten właśnie sposób Azef pozbył się swoistej konkurencji wśród cenionych agentów policji. Podczas rewolucji rosyjskiej w latach 1905–1907 Azef na polecenie policji stał się zwolennikiem rozwiązania Organizacji Bojowej i sabotował jej działania na wszelkie możliwe sposoby. W związku z tym eserowcy zmuszeni byli przejść do siania terroru przy pomocy zdecentralizowanych oddziałów lotnych.

Po porażce pierwszej rewolucji rosyjskiej Azef skupił się na przygotowywaniu zamachu na cara Mikołaja II. Plan był wyjątkowo brawurowy. Terroryści chcieli wysadzić w powietrze carski jacht przy użyciu specjalnie zbudowanego w tym celu okrętu podwodnego. Azef wyciągnął z kasy partyjnej eserowców pieniądze na stworzenie takiej jednostki, a także samolotu, którym uciekliby zamachowcy. Do ataku jednak nie doszło, ponieważ w 1908 r. Azef został zdemaskowany jako prowokator przez znanego rewolucjonistę, dziennikarza Władimira Burcewa, który udokumentował swoje podejrzenia na podstawie rozmów z emerytowanym dyrektorem Departamentu Policji – Aleksiejem Łopuchinem. Gdy Burcew ujawnił rewelacje na temat agentury, Łopuchin został oddany pod sąd i skazany na pięć lat katorgi. Natomiast sąd partyjny eserowców skazał Azefa na śmierć. W obawie o życie uciekł on z Rosji i zamieszkał w Berlinie jako Alexander Neumeier. Ukrywał się przed rewolucjonistami i unikał kontaktów z przedstawicielami władz carskich.

W 1912 r. spotkał się w jednym z francuskich kurortów ze swoim oskarżycielem – Burcewem – i przeprowadził z nim burzliwą rozmowę. Azef próbował udowadniać, że zrobił dla rewolucji znacznie więcej dobrego niż złego. Odrzucał oskarżenie, że był prowokatorem, i domagał się dla siebie sprawiedliwego procesu, ale w końcu przestraszył się perspektywy takiej konfrontacji i znowu zniknął.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Azef stał się bankrutem, ponieważ wszystkie zarobione w policji i u eserowców pieniądze zainwestował w rosyjskie papiery wartościowe. Aby jakoś związać koniec z końcem, otworzył w Berlinie pracownię gorseciarską. W 1915 r. został aresztowany przez policję niemiecką jako niebezpieczny terrorysta. Zwolniono go dopiero w grudniu 1917 r. W więzieniu ciężko zachorował i zmarł w kwietniu następnego roku.

Zaufany Lenina

O ile Jewno Azef uważany jest za króla XX-wiecznych prowokatorów, o tyle drugi agent ochrany, Roman Malinowski, zasługuje na miano wicekróla. Ten urodzony w Warszawie Polak, pochodzący ze zubożałej szlachty kresowej, zrobił

eprasa.pl 3de77bed4d



Miejsce zamachu na Wiaczesława Plehwego w Petersburgu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KARL BULLA

zawrotną karierę w partii Lenina. Był liderem bolszewickiej frakcji w IV Dumie Rosyjskiej i w hierarchii partyjnej zajmował bezsprzecznie drugie miejsce po Leninie. Jednocześnie był jednak płatnym agentem rosyjskiej policji. Jego zarobki w ochranie dorównywały poborom Azefa.

Od tak ogromnych pieniędzy każdemu mogło się zakręcić w głowie. Malinowski i jego rodzina (miał żonę i dwoje dzieci) zaczęli prowadzić szykowne życie. Na kolację wybierał się do luksusowych restauracji, w Dumie pojawiał się w garniturach od najdroższych krawców, podróżował jedynie w wagonach pierwszej klasy. To wszystko nie mogło nie wywoływać podejrzeń ze strony partyjnych towarzyszy. Leninowi z wielu stron donoszono o podejrzanym stylu życia Malinowskiego.

Jednak wódz bolszewików zupełnie nie brał tego pod uwagę. Dla niego najważniejsze było to, że jego towarzysz twardo trzymał się linii partii. Przy czym współpracując z policją, Malinowski był przekonany – tak jak Azef – że działa na korzyść ruchu robotniczego. Pracę agenturalną uważał jako rzecz marginalną, która ułatwia mu działalność partyjną. Niektórzy badacze bolszewizmu przypuszczają, że Lenin wiedział o policyjnych koneksjach swojego towarzysza partyjnego, ale był przekonany, że w ten sposób da się wyprowadzić ochranę w pole.

Malinowski prezentował się w rosyjskim parlamencie jako twardy leninowiec, niektórzy nawet nazywali go „cieniem Lenina", który konsekwentnie realizuje wszystkie wskazówki lidera partii. Ostatecznie doszło do podziału we frakcji socjaldemokratycznej i wyodrębnienia dwóch zwalczających się grup deputowanych: bolszewików i mienszewików.

Policja dzięki Malinowskiemu doskonale wiedziała, co się dzieje w kierownictwie partii, i mogła manipulować polityką w pożądanym dla siebie kierunku.

Malinowskiemu udało się dostarczyć policji archiwum frakcji socjaldemokratów, listę robotników prenumerujących „Prawdę" i inne partyjne wydawnictwa. Co więcej, na podstawie informacji Malinowskiego zostali aresztowani i uwięzieni lub zesłani na Syberię czołowi działacze bolszewiccy: Jakow Swierdłow, Sergo Ordżonikidze, Nikołaj Bucharin. Z powodu donosu Malinowskiego w 1913 r. na zesłanie trafił Józef Stalin.

Malinowski wyróżniał się niezwykle aktywną działalnością partyjną. Z trybuny w Dumie wygłaszał tyrady, w których bronił ideologii bolszewizmu, a jego wystąpienia stawały się coraz bardziej krytyczne wobec mienszewików (tak jak domagał się tego Lenin). W latach 1912–1914 brał udział we wszystkich konferencjach partii. Jego artykuły regularnie pojawiały się w „Prawdzie" i innych wydawnictwach bolszewickich. Leninowi szczególnie odpowiadała ogromna aktywność Malinowskiego w związkach zawodowych.

Podwójna działalność Romana Malinowskiego nie mogła jednak trwać wiecznie. W partii – zarówno wśród bolszewików, jak i mienszewików – coraz głośniejsze były głosy pełne podejrzliwości wobec niego. Niespodziewanie kres podwójnej działalności Malinowskiego położyli nie bolszewicy, nie Lenin, lecz ochrana. Na przełomie lat 1913 i 1914 zmieniło się kierownictwo Departamentu Policji, a nowy szef policji, Władimir Dżunkowskij, zdecydował się przeprowadzić gruntowną reformę. Przyjęto ustawę zabraniającą werbowania



Iwan Kalajew FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Jegor Sozonow FOT. COMMONS WIKIMEDIA

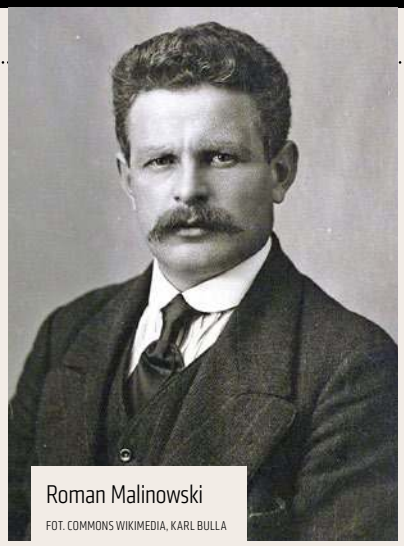
eprasa.pl 3de77bed4d

agentów wśród zawodowych żołnierzy, urzędników państwowych i deputowanych Dumy. Malinowskiemu zaproponowano rezygnację z roli tajnego agenta. Otrzymał szczodrą „odprawę" – 6 tys. rubli – a także obietnicę, że wszystkie kompromitujące go dokumenty zostaną zniszczone. Agent znalazł się w sytuacji bez wyjścia i 5 maja 1914 r. został zmuszony do złożenia na ręce przewodniczącego Dumy rezygnacji z mandatu deputowanego. Kilka dni później dwóch funkcjonariuszy ochrany odeskortowało Malinowskiego do granicy Rosji. Wydawało się, że były już agent na zawsze opuści kraj i zniknie podobnie jak Azef. Ale Malinowski nie byłby sobą, gdyby zgodził się zrezygnować z polityki. Pojechał do Lenina, przebywającego w Poroninie, będąc pewny, że uda mu się przekonać lidera partii do swojej wersji.

Śledztwo bolszewików

Malinowski podczas rozmowy z Leninem wystąpił z wnioskiem do kierownictwa partii o utworzenie specjalnej komisji śledczej w celu zbadania jego działalności partyjnej i okoliczności odejścia z Dumy. Komisja w składzie: Włodzimierz Lenin, Jakub Hanecki i Georgij Zinowjew w ciągu prawie dwóch miesięcy zbadała wszystkie szczegóły partyjnej kariery Malinowskiego i przesłuchała wielu działaczy. Niektórzy wysłali z Rosji pisemne oświadczenia w sprawie Malinowskiego. W rezultacie oczyszczono go ze wszystkich zarzutów. Lenin napisał: „Nikt z członków komisji nie znalazł absolutnie żadnych dowodów zdrady". Uznano, że Malinowski nie był i nie jest prowokatorem. Zwrócono się również do Władimira Burcewa, który wykrył zdradę Azefa i był uważany wśród rewolucjonistów za wybitnego specjalistę od demaskowania prowokatorów. Napisał on do Komisji: „Nie dopuszczam nawet do siebie myśli, że oskarżenia wobec Malinowskiego mogłyby mieć jakiekolwiek podstawy".

Na początku pierwszej wojny światowej Roman Malinowski wrócił do Rosji, został zmobilizowany i trafił na front. Gdy pojawiły się pogłoski o jego śmierci,



Roman Malinowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KARL BULLA

nekrolog w partyjnej gazecie „Socjaldemokrata" został podpisany przez Lenina i Zinowjewa. Pisano w nim, że Malinowski „w sensie politycznym był człowiekiem sumiennym, którego wrogowie próbowali oskarżać o niechlubne czyny".

Malinowski jednak nie zginął, lecz trafił do niewoli niemieckiej. W obozie jenieckim zachowywał się tak, jakby próbował odkupić swe winy. Prowadził ogromną pracę oświatową wśród żołnierzy, występował z odczytami na temat aktualnej polityki bolszewików, tłumaczył podstawowe dogmaty marksizmu, obarczał carat winą za krwawą wojnę.

Jednak Malinowskiemu nie udało się rozpocząć nowego życia. Po rewolucji lutowej (1917) Rząd Tymczasowy stworzył specjalną komisję śledczą do spraw zbadania bezprawnych działań Departamentu Policji. Wyszła wówczas na jaw agenturalna działalność Malinowskiego, jednak do końca łudził się on, że jego zasługi dla partii wyraźnie przeważają nad winami i uda mu się kolejny raz obronić swe dobre imię. Skąd wzięła się u niego taka naiwność? Czy była to wiara we wszechwładzę Lenina, z którym wiązały Malinowskiego przyjacielskie stosunki?

W 1918 r. Malinowski wrócił do Rosji. W Petersburgu sam zgłosił się do sekretarza miejskiej organizacji partii bolszewickiej, oświadczając, że oddaje się w ręce rewolucyjnego wymiaru sprawiedliwości z nadzieją, że uda mu się uzyskać przebaczenie za swe czyny. Pomylił się. Głównie dlatego, że liczył na pomoc Lenina. Wódz bolszewików był już wówczas wyłączony z działalności po ciężkim zranieniu w wyniku zamachu i nie był w stanie nic zrobić dla swego protegowanego.

Malinowskiego aresztowano i wysłano do Moskwy. 5 listopada 1918 r. odbył się krótki proces sądowy. Jako świadkowie wystąpili więzieni przez bolszewików byli kierownicy Departamentu Policji, którzy potwierdzili to, co wcześniej zeznali przed komisją śledczą Rządu Tymczasowego. W tej sytuacji wyrok mógł być tylko jeden – kara śmierci, którą zresztą wykonano jeszcze tego samego dnia. Według niektórych świadectw, gdy Lenin dowiedział się o egzekucji Malinowskiego, był wściekły na swych towarzyszy partyjnych. Czyżby to on sam skierował Malinowskiego do ochrany?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Roman Malinowski (w centrum) wśród członków frakcji socjaldemokratycznej w IV Dumie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3de77bed4d



1939–1944 / Teatry w okupowanej Warszawie

Koncesjonowana Melpomena

Scena finałowa rewii „Serwus Dymsza" w Teatrzyku Nowości FOT. NAC



Piotr Kitrasiewicz

Zgodnie z nakazem Niemców poziom przedstawień musiał być bardzo niski, prostacki i wulgarny, przesycony skojarzeniami seksualnymi oraz zachętą do picia trunków

Tylko świnie siedzą w kinie, co bogatsze, to w teatrze" – głosił slogan Polskiego Państwa Podziemnego, potępiający korzystanie z rozrywek dozwolonych przez okupanta. I chociaż głupkowatość przedstawień w teatrzykach rewiowych rzucała się w oczy, to ludzie garnęli się do przybytków Melpomeny, zwłaszcza ci, którzy wyrobili sobie nawyk regularnego chodzenia do teatru w czasach przedwojennych. Magnesem byli również znani aktorzy występujący – z entuzjazmem, jak Adolf Dymsza, lub bez entuzjazmu, jak Kazimierz Junosza-Stępowski – dla okupacyjnej publiczności.

Wybuch wojny przerwał działalność polskich teatrów na ziemiach włączonych do Generalnego Gubernatorstwa, ale wcześniej w pierwszych dniach września 1939 r. w Warszawie zdążyły odbyć się premiery trzech sztuk, 2 września Teatr Letni wystawił farsę Johanna Nestroya „Serce w rozterce czyli Ślusarz widmo". Przedstawienie, w reżyserii nie byle kogo, bo samego Leona Schillera, zaprezentowano również kolejnego dnia przy minimalnej frekwencji ze strony publiczności. Kilka dni później teatr spłonął trafiony bombą. Również 2 września Teatr Nowy wystąpił z premierą satyrycznej komedii politycznej Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej „Baba-Dziwo" w reżyserii Stanisławy Wysockiej i z nią w roli tytułowej. Także szumnie zapowiadana rewia „Pakty i fakty" Mariana Hemara, Juliana Tuwima i Andrzeja Własta, wyreżyserowana przez Kazimierza Krukowskiego, wzbogaciła króciutki okres życia teatralnego wojennej, ale jeszcze wolnej Warszawy, wchodząc na afisz teatru Ali Baba.

„Graliśmy nowy program dwa razy dziennie przez trzy dni września. Sala świeciła pustkami. Była zapełniona najwyżej w jednej czwartej. Publiczność reagowała słabo, pogrążona jakby w otępieniu, w apatii. Śpiewałem piosenkę w mundurze żołnierza stojącego na warcie pod Belwederem. Ta piosenka, mająca także niejako wymowę symbolu, zamknęła jakiś rozdział w mojej karierze. I w moim życiu" – wspominał w wydanych w 1971 r. wspomnieniach „Od palanta do belcanta" Mieczysław Fogg.

Ostatnim przedstawieniem teatralnym Warszawy 1939 r. była wystawiona 5 września francuska komedia „Ostrożnie, świeżo malowane" René Fauchois w Teatrze Małym w reżyserii Edmunda Wiercińskiego.

Wkrótce, po zainstalowaniu się w Krakowie cywilnego „rządu" Hansa Franka i utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa, wszystkie sceny przeznaczone dla ludności polskiej zostały objęte bezwzględnym zakazem pracy artystycznej. Był to wynik dyrektyw przesyłanych z Berlina, inspirowanych przez samego Hitlera. Zgodnie z nimi Polakom nie przysługiwało korzystanie z rozrywek takich, jakie oferowały kina i teatry. Po kilku miesiącach zweryfikowano te

eprasa.pl 3de77bed4d

wytyczne, uznając, że lepiej będzie, jeśli Polacy będą chodzić do kin i teatrów, zamiast kombinować przeciwko „narodowi panów". Ale w grę mogły wchodzić wyłącznie spektakle czysto rozrywkowe, i to na jak najniższym poziomie.

Niemcy w Teatrze Polskim

W Warszawie Niemcy przejęli Teatr Polski, najbardziej reprezentatywną placówkę sceniczną stolicy. Pozostawili na stanowisku dyrektora i założyciela, Arnolda Szyfmana, obiecując, że będzie mógł wznowić działalność artystyczną po wykonaniu gruntownego remontu. Odbywał się przez zimę i wiosnę, z udziałem aktorów i personelu technicznego, którzy dosłownie palili się, żeby wrócić do pracy. Kiedy gmach przy ul. Karasia doprowadzono do stanu używalności, Niemcy odebrali go Szyfmanowi, a jego samego aresztowali, tworząc Theater der Stadt Warschau/Teatr Miasta Warszawy, lecz polska nazwa była poniżej niemieckiej i skrojona mniejszą czcionką. Teatr stał się placówką niemiecką, w której odbywały się przedstawienia o charakterze oficjalnym oraz rozrywkowym, wykonywane przez artystów niemieckich. Wymogi propagandowe, mające na uwadze odwiedzających Warszawę gości zagranicznych, skłoniły jednak okupanta do odstąpienia części pomieszczeń aktorom polskim. Utworzono z nich zespół mogący wystawiać przedstawienia w języku polskim dwa, a niekiedy trzy razy w tygodniu. Natomiast orkiestra, balet, dekoratorzy i personel techniczny były wspólne dla obu grup.

Pierwszym przedstawieniem dla ludności polskiej była austriacka operetka „Sztygar" Karla Zellera, która weszła na afisz 12 października. O ile zespół niemiecki wystawiał czasem także dramaty, o tyle Polakom pozostawiono wyłącznie operetki (m.in. Franza Lehara jak „Kraina uśmiechu" czy „Hrabia Luxemburg"), a ich jakość widowiskowa stała na niższym poziomie od inscenizacji przedwojennych. Co ciekawe, aktorzy niemieccy uważali, że polskie przedstawienia są lepsze od ich własnych, a powszechna opinia o okupacyjnej scenie przy Karasia wysoko oceniała stronę baletową wystawianych produkcji. Baletmistrzem był Jan Ciepliński, ceniony choreograf; dyrygentem Adam Dołżycki (przed rozpoczęciem przedstawień miał zwyczaj w obraźliwy sposób pokrzykiwać na polską publiczność, przeciwstawiając ją niemieckiej „kulturze"), a jednym z reżyserów Jerzy Leszczyński, wybitny aktor teatralny i filmowy. Wśród aktorek znalazły się gwiazdy lekkiego repertuaru sprzed 1 września 1939 r., m.in. Lucyna Szczepańska, Lucyna Messal i Barbara Kostrzewska.



Igo Sym FOT. NAC

Polacy chętnie uczęszczali na spektakle w Teatrze Miasta Warszawy, nie tyle ze względu na ich jakość artystyczną, ile na dobrze zaopatrzony teatralny bufet, zwłaszcza w artykuły niedostępne w sklepach. Był on względnie tani, a bilet do teatru kosztował 3–4 zł, co wielu osobom się kalkulowało i przychodziły one wcześniej, żeby najeść się do syta. Siadały potem na widowni i głośno dawały upust swojemu przejedzeniu, co denerwowało Dołżyckiego i stawało się dla niego okazją do zamanifestowania swojego uznania i szacunku dla Herrenvolku.

Likwidacja Igo Syma

Funkcję dyrektora placówki powierzyli Niemcy potomkowi polsko-austriackiej rodziny, Igo Symowi, urodzonemu w Innsbrucku w roku 1896. Ten aktor teatralny i filmowy, występujący w filmach polskich, niemieckich i austriackich, wiódł życie celebryty, zdobywając sympatię publiczności występami w stołecznych rewiach. Uzdolniony tanecznie i muzycznie (znakomicie opanował m.in. grę na pile i nauczył tej niełatwej sztuki Marlenę Dietrich) często występował u boku Hanki Ordonówny, z którą spotkał się również na planie filmowym w „Szpiegu w masce". W tym melodramacie Ordonówna zaśpiewała swoje największe przeboje, jak „Na pierwszy znak" czy „Miłość ci wszystko wybaczy".

Już przed wybuchem wojny szeptano w środowisku teatralno-filmowym, że Igo Sym jest niemieckim agentem, ale dopiero, kiedy Niemcy powierzyli mu nadzór nad Theater der Stadt Warschau oraz dali koncesje na prowadzenie teatru Komedia i kina Helgoland Nur für Deutsche, śledztwo podjął kontrwywiad



Maria Malicka, Roman Niewiarowicz i Adolf Dymsza w spektaklu teatru Komedia „Kochanek to ja" FOT. NAC

eprasa.pl 3de77bed4d



Scena ze spektaklu „Słońce i chmury" teatru Niebieski Motyl FOT. NAC

Związku Walki Zbrojnej. Toczące się długo postępowanie wykazało, że plotki nie były bezpodstawne. Z czasem, kiedy okazało się, że Herr Igo szkodzi sprawie polskiej, poprzez nakłanianie aktorów do występów w koncesjonowanych przez okupanta teatrach (jedną z tych osób była Ordonówna, która odmówiła Symowi, a wkrótce została aresztowana) oraz werbowanie Polaków do zagrania odrażających ról w antypolskim filmie „Heimkehr", ZWZ podjął decyzję o likwidacji renegata. Igo Sym został zastrzelony 7 marca 1941 r. w swoim mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej, kilka godzin przed wyjazdem na stały pobyt do Wiednia.

Na jego zabójstwo Niemcy zareagowali brutalnymi represjami. Rozstrzelano kilkudziesięciu zakładników i dokonano aresztowań w środowisku teatralnym. Do obozów koncentracyjnych trafili na pewien czas m.in. Leon Schiller, Stefan Jaracz i Józef Węgrzyn, a za Dobiesławem Damięckim i jego żoną Ireną Górską rozesłano listy gończe z wysoką nagrodą. Mający krewkie usposobienie, Damięcki trafił pod lupę gestapo po tym, jak kilkakrotnie wygrażał Igo Symowi w teatralnym bufecie.

– Niech pani wpłynie na męża, żeby przestał. W przeciwnym razie możecie oboje mieć nieprzyjemności – ostrzegał Sym Górską.

Podwójna rola Niewiarowicza

Aktorska para nie miała jednak nic wspólnego ze śmiercią Syma, ale musiała ukrywać się do końca okupacji. Natomiast przy likwidacji kolaboranta aktywnie współpracował Roman Niewiarowicz, główny reżyser teatru Komedia, w którym Sym, jako koncesjonowany właściciel, często przebywał. Niewiarowicz zdobył sławę w ostatnich latach przedwojennych jako autor kameralnych utworów dramaturgicznych, a niektóre – jak farsa „I co z takim robić?" – zdobyły sobie znaczny rozgłos, i to za granicami Polski. Sztukę tę, ze względu na jej pomysłową, zabawną intrygę rozgrywającą się w relacji męsko-damskiej, wystawiło kilkanaście scen w Niemczech, a także trafiła na afisz Teatru Wolnego Miasta Gdańska, jako jedyny utwór polskiego pisarza w historii tej niemieckojęzycznej placówki.

Niewiarowicz był wytrawnym graczem, udającym dobrego kolegę Syma, z którym utrzymywał kontakty towarzyskie. Rotmistrz rezerwy Wojska Polskiego w konspiracji pełnił funkcję oficera wywiadu. Miał dostęp nie tylko do Syma, lecz także do niemieckich urzędników do spraw propagandy, bo razem z nim załatwiał sprawy związane z prowadzeniem Komedii. Zarówno Sym, jak i Niemcy mu ufali. Wpadł w ręce gestapo 1 maja 1943 r. po donosie żony Kazimierza Junoszy-Stępowskiego, Jadwigi z domu Galewskiej, konfidentki i narkomanki. Była niespełnioną aktorką o artystycznym pseudonimie Jaga Juno, ale brak talentu i również nałóg morfiniczny nie pozwoliły jej na wypłynięcie na szersze wody, pomimo starań jej ustosunkowanego męża. Junosza-Stępowski występował na deskach Komedii i przyjaźnił się z Niewiarowiczem. Wiedział o jego podwójnej roli, czy może domyślał się tego, i powiedział o tym żonie. A ona, kiedy kolejny raz brakowało pieniędzy na narkotyki, sprzedała informację gestapo.

Niemcy skazali Niewiarowicza na śmierć, a przynajmniej tak mu oznajmili. Czekał przez kilka miesięcy w celi na Pawiaku na postawienie pod ścianą, ale nie zabito go, lecz przewieziono do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Doczekał wyzwolenia i powrócił do kraju. Miał krótkotrwałe kłopoty z komisją weryfikacyjną Związku Artystów Scen Polskich. Zarzucono mu, że przekroczył granice pozorowanej kolaboracji, gdyż pracując w Komedii, wystawiał własne sztuki specjalnie pisane dla tej sceny, czego nie musiał robić, bo pełnił funkcję reżysera, a nie autora. Ostatecznie Niewiarowicz wrócił do pracy w teatrze, a także w filmie, chociaż głównie jako scenarzysta.



Kazimierz Junosza-Stępowski FOT. NAC

Strzały przy Poznańskiej

Teatr Komedia był jedyną jawną placówką teatralną okupowanej Warszawy, która mogła wystawiać sztuki sceniczne. Pozostałymi placówkami były teatrzyki o charakterze rewiowym lub kabaretowym.

Pomimo zakazu podziemia kontrakty z Komedią podpisało kilku znanych aktorów i aktorek, takich jak Adolf Dymsza, Józef Węgrzyn, Stanisława Perzanowska, Maria Malicka i Franciszek Brodniewicz. A także Kazimierz Junosza-Stępowski, który psioczył na wojnę, że odebrała mu możliwość wyrwania się z warszawskiego zaścianka i wypłynięcia na szerokie wody światowego kina. Jak wspominał Jan Ciecierski w książce „Mistrzowie i koledzy" (1978), Junosza głośno i dobitnie krytykował przedwojenne władze Polski za to, że nie poszły na ugodę z Hitlerem i nie zrezygnowały z praw do Gdańska, co pozwoliłoby na „uniknięcie najazdu Germanów". Ale Ciecierski opisał również postawę Stępowskiego w czasie jego pracy w Komedii, która nie była wcale służalcza wobec okupanta.

„Junosza niechętnie wychodził na brawa po zakończeniu sztuki. Podobno mruczał pod nosem: »Każą mi się kłaniać tej hołocie!«. A bywało i tak, że publiczność wzywała go przed kurtynę bezsku-

eprasa.pl 3de77bed4d

tecznie. Mistrz nie chciał się ruszyć ze swej garderoby. Orientował się doskonale, kto w czasie tej krwawej okupacji chodził do teatru".

Junosza zginął tragicznie 5 lipca 1943 r., od postrzału z broni żołnierza Polskiego Państwa Podziemnego. Wykonawcy wyroku, wydanego przez konspiracyjny sąd, przyszli do mieszkania przy Poznańskiej, żeby zabić Jadwigę Junosza-Stępowską za donosy do gestapo. Kiedy wymierzyli w nią pistolety, a jeden odczytywał treść wyroku, z głębi mieszkania wybiegł Stępowski i próbując ratować żonę, rzucił się na egzekutorów. Wówczas padły strzały. Śmiertelnie ranny aktor zmarł kilka godzin później. Kolejną próbę zamachu na Jadwigę Stępowską, tym razem udaną, podjęto niecały rok później, po jej powrocie ze szpitala w Tworkach, gdzie schroniła się jako uzależniona od narkotyków na sezon jesienno-zimowy.

Komedia była jedynym polskim teatrem wystawiającym pełne utwory sceniczne. Przeważały podrzędne komedie i melodramaty, jak „Jutro pogoda" Jamesa A. Hopwooda, „Ożeniłem się z aniołem" Janosa Vaszary'ego, „Trójka hultajska" Johanna Nestroya, „Hiszpańska mucha" Franza Arnolda i Ernesta Bacha. Czasem udawało się wprowadzić do repertuaru wartościowy utwór, np. „Szczęście Frania" Włodzimierza Perzyńskiego czy „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej. Ale próby sięgania po klasykę światową kończyły się niepowodzeniami. Kiedy intendent zwrócił się do niemieckiego wydziału propagandy o zgodę na wystawienie „Skąpca" Moliera, usłyszał od urzędnika stanowcze: „Molier nein!".

Szmirowate przedstawienia

W Warszawie działały liczne teatrzyki i scenki prezentujące składanki rozrywkowe będące miksem gry aktorskiej, piosenki i tańca. W skład programów wchodziły skecze i monologi pisane przez okupacyjnych literatów specjalnie dla nowych produkcji, czasem wykorzystywano fragmenty dawnych wodewilów i komedyjek, sięgano do piosenek przedwojennych, o ile Niemcy ich nie zakazali.



Adolf Dymsza FOT. NAC

A powody do zakazów były liczne, nie tylko patriotyczna czy narodowa (często po prostu ludowa) wymowa utworu, lecz także żydowskie pochodzenie kompozytora lub autora tekstu.

Pierwszym jawnym teatrzykiem o charakterze rewiowym była Kometa, prowadzona za zgodą Niemców przez cenionego tancerza, Stanisława Heinricha. Kometa zainaugurowała działalność w kwietniu 1940 r. rewią „Czar wiosny". 1 maja miał premierę „Niebieski motyl" (w sali dawnego kina Hollywood przy ul. Hożej), oferując widzom program taneczno-muzyczny „Dla Ciebie, Warszawo". Szybko zaczęły powstawać inne scenki i teatrzyki, takie jak Ul, Bohema, Maska, Melodia, Figaro, Nowy Miraż, Stara Mewa, Wesoła Banda. Niektóre miały krótki żywot, inne zmieniały nazwę lub miejsce działalności.

Zgodnie z nakazem okupanta poziom przedstawień musiał być bardzo niski, prostacki i wulgarny, przesycony skojarzeniami seksualnymi oraz zachętą do picia trunków. Nierzadko same tytuły wiele mówiły o ich treści: „Od smoczka do kieliszka", „Cyk, pod rzodkiewkę", „Ząb, zupa, dąb", „Kobietki, ach, kobietki", „Zaloty marcowe", „Wesoły harem", „Co trzeba do baby", „Cacko z dziurką". Szmirowatość tych „spektakli" nie odstraszała jednak publiczności. Przeciwnie, spragnieni rozrywki i ucieczki od okupacyjnej codzienności widzowie szturmowali kasy biletowe, a niekiedy bilety kupowali nawet u „koników".

Teatry jawne w okresie okupacji były dobrym biznesem dla prywatnych przedsiębiorców, bo pomimo konkurencji i restrykcji stosowanych przez podziemie widownie nie świeciły pustkami. Frekwencję napędzały też znane nazwiska: Ina Benita, Antoni Fertner, Władysław Walter i Witold Zacharewicz. Tego ostatniego gestapo aresztowało na skutek donosu, że współpracuje z podziemnymi strukturami przy wyrabianiu fałszywych ausweisów dla Żydów. Ekranowy Zygmunt August z „Barbary Radziwiłłówny" został zamordowany w Auschwitz. Najbardziej aktywnym aktorem okazał się Adolf Dymsza, który na stałe grał w Komedii, ale współpracował też ze scenkami najniższych lotów. A ponieważ lubił pić, i to często, w towarzystwie Niemców, czasem wyznawał, że zarabia czterokrotnie więcej niż przed wojną, bo zapotrzebowanie na jego obecność na scenie i na afiszu było ogromne.

Pechowi kolaboranci

Wszystkie polskie teatry były przedsiębiorstwami prywatnymi, łącznie z Komedią, którą po śmierci Syma przejął Józef Artur Horwath – aktor, który zagrał rolę sekretarza wojewody wołyńskiego w „Heimkehrze". Podobnie jak Stanisław Heinrich był z pochodzenia Niemcem i obaj zginęli z rąk niemieckich w roku 1944. Horwath po tym, jak podczas libacji z gestapowcami wygadał się, że ma żonę Żydówkę (oboje zastrzelono na ruinach getta), a Heinrich wskutek donosu złożonego na niego przez właściciela konkurencyjnego teatrzyku, oskarżającego tancerza m.in. o handel z gettem oraz machlojki związane z niemieckimi tekstyliami, jak również zagarnianie alkoholu i tytoniu przeznaczanego dla pracowników. W przypadku Heinricha relacje są sprzeczne, jedna mówi, że zmarł w Auschwitz; inna – został rozstrzelany na Pawiaku. Jest też trzecia wersja: zginął w powstaniu, ale ciała nie odnaleziono, jak również czwarta: przeżył wojnę i zniknął.

Działalność teatrów, teatrzyków oraz scenek zakończyła się wraz z wybuchem powstania w Warszawie. Ostatnia premiera odbyła się w Wodewilu 29 lipca 1944 r., było to „Wesele Fonsia" Ryszarda Ruszkowskiego w reżyserii Antoniego Fertnera.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d



Ewa Braun, Adolf Hitler i Blondi w Berghofie, 1942 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

XX w. / Zwierzęta III Rzeszy

Aryjski wilk i żydowski szczur



Jakub Ostromęcki

W hitlerowskich Niemczech „miłość" do zwierząt motywowana była ideologią. Naziści połączyli Darwina ze swoim rasizmem

Nie oceniaj człowieka po wyglądzie, bo możesz się pomylić. Oceń go po tym, jak traktuje zwierzęta. To ci powie prawdę o jego duszy". Ten bardzo luźny cytat z Immanuela Kanta, spopularyzowany kilkaset lat po śmierci filozofa przez Paula McCartneya, przeżywa swoją drugą młodość dzięki licznym memom. Internetowi złośliwcy, kpiarze i chochliki szybko zestawili maksymę z czarno-białymi zdjęciami, na których 40-letni mężczyzna w garniturze czule karmi sarenki i bawi się z psem. Miły pan to oczywiście Adolf Hitler, który często deklarował swoją sympatię do czworonogów. Współczesny, hołubiący zwierzęta Europejczyk mógłby poczuć się skrajnie niekomfortowo w towarzystwie niektórych ich miłośników z lat 30.

„Zwierzęta w Trzeciej Rzeszy" Jana Mohnhaupta to na naszym rynku najważniejsza pozycja opisująca postawioną na głowie nazistowską hierarchię, w której zwierzęta traktowane były lepiej niż (niektórzy) ludzie. Führer wesoło drepczący wśród futrzaków to jeden z symboli tego uniwersum. Inny to Buchenwald. Obok obozu koncentracyjnego komendant Karl Koch kazał zbudować zoo dla strażników. Ludzie musieli przecież wypocząć i nacieszyć czymś oczy po ciężkiej pracy. Przebywające tam niedźwiedzie dostawały lepsze jedzenie niż więźniowie. Jeśli któreś zwierzę padło, to winą obciążano więźnia opiekuna, który był natychmiast zabijany. Według niektórych relacji sadystyczny komendant miał również rzucać więźniów zwierzętom na pożarcie. W tym samym czasie w niemieckim magazynie dla hodowców trzody chlewnej ukazuje się instrukcja zakazująca przekarmiania świń w lecie przed załadowaniem ich do wagonów – mogą one bowiem dostać zawału serca. Raz załadowane mają mieć dostęp do świeżego powietrza i tyle miejsca, aby się położyć. Pociągi z wesoło chrumkającymi świniami spotykają się na stacjach ze składami wyładowanymi stłoczonymi i umierającymi ludźmi, którzy skończą zaraz w komorach gazowych. Świnie są potrzebne narodowi i rasie, podludzie nie.

W Rzeszy rzeźnicy nie mogli zabijać zwierząt bez wcześniejszego ogłuszenia. „Złe traktowanie zwierząt wynika z bezdusznej postawy" – głosił z kolei jeden z pierwszych artykułów uchwalonej w 1934 r. niemieckiej ustawy o ochronie zwierząt. Oprócz dręczenia i głodzenia zakazano w niej m.in. skracania uszu i ogona bez znieczulenia, porzucania, mechanicznego tuczu, tresowania psów na dzikich zwierzętach. Ograniczono wiwisekcję i wprowadzono restrykcyjne przepisy transportowe. Za złamanie ustawy groziły do dwóch lat pozbawie-

eprasa.pl 3de77bed4d

nia wolności i grzywna. W tym samym roku uchwalono nowe prawo łowieckie. Zadawanie zwierzynie niepotrzebnego bólu ustawa określiła jako sprzeczne z niemieckim duchem. Wymienione ustawy były nowatorskie w skali całego świata. „Niemcy kochają wszak zwierzęta" – stwierdził Hitler podczas jednej z pogadanek małym gronie.

Zwierzętom było oczywiście wszystko jedno, kto i z jakiego powodu dba o ich dobrostan. Niemniej jednak to nie empatia do czworonogów kierowała nazistowskimi ustawodawcami, ale przewrotna ideologia. Jej podstawowym składnikiem było przeświadczenie, że wartościową istotą jest ten, kto dobrze przysługuje się społeczności. Wszak wśród zwierząt istnieją gatunki pożyteczne, o które dbamy, i szkodliwe, które tępimy. Tak jak u ludzi. Stąd wynikał antysemityzm. Ustawa o uboju zwierząt miała tyleż ulżyć krowom i kurczakom, co uderzyć w religijnych Żydów, którzy stosowali przecież ubój rytualny, gdzie rzeźnik jednym cięciem pozbawia zwierzę życia. Obrońcy nowego prawa grzmieli, że ubój rytualny to dowód na „jawne, brutalne i niezmierne okrucieństwo Żydów".



Karl Koch, komendant Buchenwaldu, w obozowym zoo FOT. NATIONAL ARCHIVES, WASHINGTON

Odrzucone jamniki

Innym fundamentem nazizmu było przekonanie o zgubnym wpływie miejskiej cywilizacji na życie człowieka. W 1932 r. na ekrany kin wszedł baśniowy film „Błękitne światło" Leni Riefenstahl, w którym chciwi wieśniacy i naiwne mieszczuchy starają się sięgnąć po górski skarb strzeżony przez zdziczałą, ale za to kochającą przyrodę wiedźmę i wykorzystać go do swoich przyziemnych i krótkowzrocznych celów. Narodowi socjaliści byli zachwyceni. Film głosił bowiem pogański kult sił natury. Hitler o niemieckiej młodzieży mówił, że „w jej oczach musi być błysk wolnego, wspaniałego drapieżnika", a kwitując swoją politykę wewnętrzną, powiedział: „W ten sposób wykorzeniam tysiące lat udomowienia człowieka". Wtórował mu młody zoolog Konrad Lorenz, który po wojnie zrobił wielką karierę naukową, ale w latach 30. był zaczadzony nazizmem: „Ruch nordycki zawsze intuicyjnie skierowany był przeciwko udomowieniu się człowieka".

W „świątyni" drapieżników tolerowano tylko jednego odszczepieńca. Max von Stephanitz jako pierwszy wyhodował „niemieckiego psa pierwotnego", znanego potem na świecie jako owczarek niemiecki. Doszło do tego jeszcze przed nastaniem ery narodowego socjalizmu. Owczarek miał być psim odpowiednikiem pruskiego żołnierza. „Cudowny w posłusznej wierności swojemu panu, a wobec innych bezwzględnie władcza natura" – zachwycał się swoim tworem hodowca. Bardzo szybko w zapomnienie poszły dog i jamnik, jeszcze na początku XX w. uznawane za typowo niemieckie rasy. Stephanitz był zwolennikiem eugeniki, zamierzał zabijać słabe lub nadliczbowe szczeniaki, aż pod koniec życia doszedł do konkluzji, która bardzo spodobała się włodarzom Rzeszy: „Naszą hodowlę psa pasterskiego możemy dość łatwo porównać ze społeczeństwem ludzkim". Twórcy ustaw norymberskich, wymyślając pojęcie „mieszańca" i wyliczając, ile procent krwi żydowskiej może płynąć w żyłach pełnoprawnego obywatela niemieckiego, inspirowali się pracami Stephanitza na temat owczarka niemieckiego. Narodowi socjaliści nie rodzili i nie wychowywali ludzi – oni ich hodowali, tak jak hoduje się zwierzęta. A dobrze wyhodowany miot musi mieć przecież zapewnioną opiekę, pożywienie, wybieg, świeże powietrze, ruch.

W III Rzeszy zoologii założono ideologiczne chomąto. Okazało się np., że nawet jedwabniki mają bardzo dużo wspólnego z czystością rasy. W 1940 r. symbolem blitzkriegu, oprócz czołgu i sztukasa, stały się wojska powietrznodesantowe i III Rzesza potrzebowała tego cennego włókna do produkcji spadochronów. W nazistowskich Niemczech masowo sadzono więc morwy. To właśnie ich liście stanowią podstawowy pokarm dla gąsienic produkujących nici. Gros larw jedwabnika hodowali uczniowie pod bacznym okiem belfrów. Była to znakomita okazja do podprogowej indoktrynacji młodzieży. Gąsienice przybierały bowiem różne kolory – zupełnie jak rasy u ludzi. Od dziecka Niemiec był uczony, że pod żadnym pozorem nie mogą się one znajdować obok siebie. Gąsienice przybierające określone barwy, zbyt pobudzone, chore lub słabe trzeba było natychmiast zabijać. Ten, kto od małego rozgniata gąsienice niezdolne do produkcji jedwabiu, w dorosłym życiu zaakceptuje zabijanie niepełnosprawnych umysłowo. Kto czujnie odsuwa od siebie różne szczepy gąsienic, po latach ze zrozumieniem będzie patrzył na mury getta.

W propagandzie narodowego socjalizmu nie chodziło o hołubienie zwierząt jako takich. Istniały bowiem gatunki uosabiające ducha aryjskości, jak wilk czy owczarek niemiecki, ale też zwierzęta o cechach „typowo żydowskich" – kundle, w szczególności te skarlałe, będące mieszańcami pudla, mopsa, jamnika czy pinczera, i oczywiście wszelkiej maści robactwo, jak szarańcza i pluskwy. Niemiec karmiony był tymi obrazami od pierwszego przedszkolnego elementarza. W filmie „Wieczny Żyd" Izraelici występują natomiast pod postacią szczura. „Są podstępni, tchórzliwi, okrutni i zwykle występują w dużych stadach. Wśród

eprasa.pl 3de77bed4d



Horand von Grafrath, pierwszy owczarek niemiecki, ok. 1899 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CC-MASTERMIND GERMAN SHEPERD VON STEPHANITZ GEBR 158



Max von Stephanitz z Horandem
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GERMANSHEPHERD SETC.COM

zwierząt reprezentują element podstępnej, podziemnej zagłady, podobnie jak Żydzi wśród ludzi" – przestrzegał złowieszczo głos lektora.

„Trutnie występują nie tylko u pszczół, lecz także u ludzi. Są nimi Żydzi" – mówił do swoich resortowych słuchaczy Himmler. Jedno z najbardziej potwornych przemówień wygłosił w 1943 r.: „Z antysemityzmem jest dokładnie tak jak z odwszawianiem. Nie jest kwestią światopoglądu, że wszy muszą być usuwane. To kwestia czystości […]. Niedługo zostaniemy odwszeni. Zostało nam tylko 20 tys. wszy".

Pęknięcia w doktrynie

Stosunek nazistów do zwierząt był pełen sprzeczności. Narodowi socjaliści nie wiedzieli np., jak poradzić sobie z kotami. Propagandysta Will Vesper nazwał je „Żydami wśród zwierząt", ponieważ nie da się ich wytresować, tak jak psy. Wolno więc było w Rzeszy strzelać do bezpańskich kotów. Inni działacze twierdzili jednak, że kot jest bliski narodowemu socjalizmowi z racji swojej nieokiełznanej natury. Nie przekonali jednak większości. Elita III Rzeszy składała się głównie z psiarzy. Wyjątkiem był Göring, który sycąc swoje żarłoczne ego, trzymał w domu małe lwy, karmiąc je butelką, wożąc na polowania i pokazując dumnie zagranicznym gościom. Gdy kolejne oseski podrastały i stawały się niebezpieczne, wówczas szef Luftwaffe odsyłał je do zoo. Łącznie było ich siedem, a najbardziej znany wabił się Mucki.

Hitler zawzięcie promował wegetarianizm. Przy stole specjalnie obrzydzał gościom mięso, nie szczędząc szczegółów anatomicznych i opisując rzeźnie. Na rosół mówił „trupia herbata", a wegetarianinem zamierzał uczynić nawet jednego ze swoich owczarków.

Propaganda lubowała się w wilczych porównaniach. Wilcze były kwatery ‚Hitlera, wilczy był niedoszły ruch partyzancki Werwolf. „Jak wilk wdzierający się do stada owiec, tak przychodzimy" – mawiał Goebbels o zwycięstwie narodowego socjalizmu nad przeciwnikami. Tyle ideologia. Totemiczne zwierzę systemu nazistowskiego nie mogło jednak liczyć na ochronę w czasie polowań. Dla partyjnych dołów, często wywodzących się z pruskich wieśniaków, było ono zagrożeniem tak samo jak przed wiekami. To właśnie dlatego, wbrew dogmatowi o powrocie „aryjczyków do stanu dzikości", na zwierzęcym tronie wilka zastąpił owczarek niemiecki.



Rzeźba jelenia, pierwotnie znajdująca się w Carinhallu, rezydencji Göringa, obecnie w Berlinie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LOTSE

Poplątane są również dzieje narodowosocjalistycznej świni. Wbrew przypuszczeniom było to zwierzę przez system lubiane – nie z powodu zwyczajów czy wyglądu, ale znaczenia, które miało dla gospodarki. III Rzesza zamierzała bowiem być państwem samowystarczalnym. Potrzebowała ton zwierzęcego tłuszczu i mięsa, którego miały dostarczyć właśnie świnie. Miały być to zwierzęta tanie w eksploatacji i zdrowe. Stąd zamiast paszy narodowosocjalistyczna świnia chrupała odpadki z kuchni, jak w pradawnej Germanii. Każdy Niemiec, nawet mieszczuch, zanosił teraz bioodpady do punktów zbiórki. W ten sposób Niemcy stali się prekursorami w jeszcze jednej dziedzinie – segregacji śmieci.

Propaganda była w kwestii świń bardzo niekonsekwentna. „Podczas gdy świnia domowa daje nam o ludach

eprasa.pl 3de77bed4d

nordyckich czytelną informację, że musiały one być osiadłe, Semici, z ich odrzuceniem wszystkiego, co związane ze świnią, dowodzą jasno swojego nomadyzmu" – twierdził Richard Darré, minister rolnictwa. Ponadto świnia występowała często na propagandowych plakatach w roli symbolu żydostwa. Na jednym z takich dzieł nieżywa maciora z gwiazdą Dawida oraz sierpem i młotem osieraca młode, które mają twarze słynnych pisarzy i naukowców żydowskiego pochodzenia – w ten oto sposób prosiakami zostali Einstein i Mann.



Hermann Göring (pierwszy z lewej) i prezydent Ignacy Mościcki (trzeci z lewej) w Puszczy Białowieskiej, 1937 r. FOT. NAC

„Zieloni masoni"

„Najprzyzwoitsza podczas polowania jest zwierzyna", „Myśliwi to zieloni masoni" – mawiał Hitler, wielki przeciwnik polowań. „Gdyby wiązało się to przynajmniej z jakimś niebezpieczeństwem, jak w czasach, gdy atakowało się zwierzynę dzidą. Ale dzisiaj, gdy każdy z grubym brzuchem może bezpiecznie zastrzelić zwierzę z daleka?" – to była już jawna szpila wbita w nadęte ego Göringa, wielkiego łowczego Rzeszy. Szef Luftwaffe był jednak zbyt ważny dla kanclerza, aby zakazać mu ulubionej pasji, czyli polowań. W Puszczy Romnickiej, dziś na pograniczu Mazur i obwodu kaliningradzkiego, tłusty dygnitarz urządził swoje udzielne księstwo, gdzie polował na jelenie, również w okresie ochronnym, łamiąc prawo Rzeszy. Najokazalszym z nich nadawał nawet imiona, aby później delektować się widokiem ich poroża na ścianie. „Moje biedne jelenie" – wysapał obłudnie pod koniec wojny, gdy do jego myśliwskiego dworu zbliżali się Sowieci. Sława pogromcy jeleni nie wystarczała Göringowi. Wielki Łowczy kazał niemieckim zoologom odtworzyć dawno wymarłego tura. Bydło, które miało stać się zaczynem zrekonstruowanego króla puszczy, zaczęło jednak niszczyć okolicznym chłopom pola i tak eksperyment się zakończył.

Pełni obłudy byli i sami myśliwi. Prawo łowieckie zakazywało stosowania broni śrutowej i zastawiania pułapek, ponieważ środki te powodowały niepotrzebne cierpienie zwierząt. Pozwolono jednak na stosowanie dzidy, która źle użyta, a zdarzało się to często, przedłużała konanie zwierzyny. Pułapki i śrut były bowiem narzędziami chłopów, polujących nie dla przyjemności, ale z chęci poszerzenia pól uprawnych i ochrony inwentarza. Myśliwi niemieccy chcieli natomiast, aby ich hobby pozostało elitarne – stąd pozwolenie na używanie dzid, którymi posługiwali się już łowczy Barbarossy, a może i Henryka Ptasznika.

Jak natomiast traktował psy sam Führer? Jego pierwszym czworonogiem był Foxl – terier, który przybłąkał się do niego w okopach Flandrii. Nieświadomy gefrajter karmił go czekoladą, co mogło dla psa skończyć się źle. Foxl przywiązał się do swojego pana, nie dając się głaskać nikomu poza nim. Po kilku latach jednak zniknął. Hitler był zrozpaczony, podejrzewał pewnego kolejarza o kradzież, ale psa nie odnalazł. Jeszcze po wielu latach złorzeczył temu, kto odebrał mu Foxla. Prawdziwą pasją Hitlera stały się jednak owczarki niemieckie. Po 1922 r. mógł ich mieć nawet ponad 10. Jak pisze Mohnhaupt: „Hitler ceni psy, które nie mają zbyt silnej własnej woli, reagują natychmiast, słuchają i się podporządkowują". Kolejne psy wabiły się prawie bez wyjątku – a jakże – Wolf, a suki Blondi. Najważniejsza była dla niego ostatnia Blondi, którą otrzymał w 1942 r. Suczka jeździła z nim wszędzie, miała też miejsce w limuzynie, a gdy zachorowała, musieli ją operować najlepsi chirurdzy (adiutanci Hitlera na bieżąco informowali go o jej stanie zdrowia). „Ten pies w jego bunkrze może pozwolić sobie na wszystko. Teraz jest mu najbliższy" – zanotował Goebbels w 1942 r.

Hitler chętnie bawił się z psem, jednak najbardziej interesowało go, gdy Blondi na rozkaz wykonywała jarmarczne sztuczki – wyła głosem przypominającym śpiew lub przyjmowała na wpół ludzkie pozy. Potrafiła jednak również wykonywać działania bardziej rozwijające – skakać przez wysokie płoty lub chodzić po wąskiej belce (tresura była raczej na pewno zasługą Fritza Tornowa, opiekuna psów Hitlera). Kanclerz był o Blondi chorobliwie zazdrosny, nie lubił gdy z zaciekawieniem obwąchiwała jego gości, zamiast nad nimi dominować lub być nieufna, zgodnie z koncepcjami Stephanitza. Pewnego razu naczelny lekarz Wehrmachtu Ferdinand Sauerbruch został sam na sam z warczącą suką. Obłaskawił ją jednak tak, że po minucie owczarek podawał mu łapę. Gdy Hitler to zobaczył, nie potrafił się opanować: „Co pan zrobił z moim psem? Zabrał mi pan jedyną istotę, która naprawdę jest mi wierna. Każę zastrzelić psa". Groźby nie spełnił, ale wypowiedź ta, jeśli wierzyć lekarzowi, jest głosem nie prawdziwego miłośnika zwierząt, ale impulsywnego egocentryka, dla którego pies jest sługą, a nie przyjacielem. Suki nie znosiła z kolei zazdrosna Ewa Braun, kopiąc ją nawet ukradkiem pod stołem i delektując się, gdy nieświadomy kanclerz kazał psu być cicho. Blondi doczekała ze swoim panem niemal do końca. Hitler był przekonany, że Sowieci będą psa dręczyć albo w najlepszym wypadku umieszczą go w zoo. Kazał więc Tornowowi otruć zwierzę, co było jednocześnie testem tego, czy przeznaczona dla człowieka ampułka z cyjanowodorem zadziała. I rzeczywiście zadziałała 30 kwietnia 1945 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d



Instalacja artystyczna przedstawiająca ofiary junty na ogrodzeniu Szkoły Mechaników Marynarki Wojennej – katowni w Buenos Aires

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DAVID

XX w.

Krwawe rządy generałów

Terror w Buenos Aires



Arkadiusz Karbowiak

Argentyńska junta uznawała swoje ofiary za wrogów, którzy nie należą do wspólnoty narodowej. Tym łatwiej było wojskowym stosować wobec nich niezwykle brutalne metody, na czele ze zrzucaniem z samolotów do morza odurzonych ludzi

Początek lat 70. był w Argentynie okresem ogromnej aktywizacji skrajnie lewicowych organizacji terrorystycznych. 30 lipca 1970 r. członkowie FAR (Rewolucyjne Siły Zbrojne) zajęli leżące nieopodal Buenos Aires miasto Garín. Przejęli tam broń, pieniądze oraz zabili policjanta. Straty ponoszone przez struktury odpowiedzialne za bezpieczeństwo i porządek publiczny skutkowały coraz bardziej bezwzględnym stosunkiem funkcjonariuszy do członków ugrupowań terrorystycznych.

15 sierpnia 1972 r. więźniowie – członkowie FAR, ERP (Rewolucyjna Armia Ludu) i lewicowo-peronistyczni Montoneros – we współpracy ze swoimi towarzyszami z zewnątrz podjęli próbę ucieczki z zakładu karnego w Rawson. Ostatecznie sztuka ta powiodła się sześciu przywódcom wspomnianych organizacji. Dzięki opanowaniu przez ich kolegów samolotu australijskich linii lotniczych odlecieli do Chile, gdzie azylu udzielił im skłonny do wspierania wszelkich latynoskich radykałów prezydent Salvador Allende.

Brak łączności spowodował jednak, że druga (19-osobowa) grupa więźniów nie znalazła się na pokładzie odlatującego samolotu – nie byli w stanie zawiadomić swych kolegów, że udało się im opuścić więzienie. W efekcie uciekinierzy poddali się na lotnisku żołnierzom z pobliskiej bazy lotniczej marynarki wojennej. Tam też zostali zabrani i 22 sierpnia ok. godz. 3.30 ustawiono ich w rzędzie, a następnie pododdział marynarzy ich rozstrzelał. Zginęło 16 osób, natomiast trzy – zranione – przeżyły egzekucję.

Wśród ofiar znajdowała się Ana María Villarreal, żona Maria Santucho, która w dniu ucieczki zamordowała strzałem w głowę strażnika więziennego (dwóch innych rannych strażników udawało martwych, dzięki czemu udało im się przeżyć). Rewolucjoniści nie zamierzali pozostawić tej masakry bez odpowie-

WWW.DOROZECZY.PL

eprasa.pl 3de77bed4d

dzi – 28 grudnia 1972 r. na parkingu przed supermarketem w mieście Lomas de Zamora zamordowany został przez komando śmierci FAR adm. Emilio Berisso. 30 kwietnia 1973 r. na jednej z ulic Buenos Aires sześć kul wystrzelonych przez jadącego na motocyklu Víctora Fernándeza Palmeira, członka ugrupowania ERP-22 de Agosto, pozbawiło życia kadm. Hermesa Quijadę. To właśnie ten oficer odczytał w telewizji nieprawdziwą wersję wydarzeń, które rozegrały się w bazie Trelew. Z kolei 15 lipca 1974 r. Montoneros zabili w restauracji Rincón de Italia będącego już na emeryturze Artura Mor Roiga, byłego ministra spraw wewnętrznych (stanowisko to pełnił, gdy doszło do masakry w Trelew). Jego śmierć miała miejsce w innej politycznej rzeczywistości – kilkanaście dni po zgonie Juana Peróna i w początkowej fazie rządów jego małżonki Isabeli Perón.

Zamach stanu

Był to okres, gdy ERP wraz z Montoneros zintensyfikowały akcje terrorystyczne. Ich ofiarami padali ideowi przeciwnicy lewicowych partyzantów. Jedną z takich osób był Carlos Alberto Sacheri – filozof, pedagog katolicki, antykomunista, krytyk teologii wyzwolenia, członek Akcji Katolickiej. Zamordował go 22 grudnia 1974 r. na oczach żony i siedmiorga dzieci szwadron śmierci z ERP-22 de Agosto. Podobny los spotkał cztery miesiące wcześniej Jordána Bruno Gentę, innego katolickiego pisarza, filozofa, autora znanej książki „Guerra Contrarrevolucionaria" („Wojna kontrrewolucyjna").

Poza zabójstwami indywidualnymi systematycznie rosła skala ataków na stacjonujące w różnych częściach kraju jednostki wojskowe. W mieście Formosa 5 października 1975 r. doszło do szturmu Montoneros na koszary 29. Regimentu Piechoty Górskiej. W zaciętej walce zginęło 12 żołnierzy i jeden policjant oraz 12 partyzantów. Najbardziej krwawy incydent miał miejsce 23 grudnia 1975 r., kiedy bojownicy ERP podjęli próbę zdobycia koszar wojskowych w Monte Chingolo. Śmierć poniosło tam 10 żołnierzy i aż 62 partyzantów. Akcje przeciwko jednostkom wojskowym miały coraz bardziej bezwzględny charakter. Ta brutalność wywoływała podobne reakcje po stronie rządowej. 12 sierpnia 1974 r. w Catamarca żołnierze 17. Pułku Powietrznodesantowego ujęli 14 ubranych w mundury wojskowe partyzantów ERP. Na rozkaz gen. José Vaquero zostali oni rozstrzelani w Capilla del Rosario. W akcie zemsty trockiści rozpoczęli serię zabójstw oficerów armii argentyńskiej – zginęło ich w sumie 10.

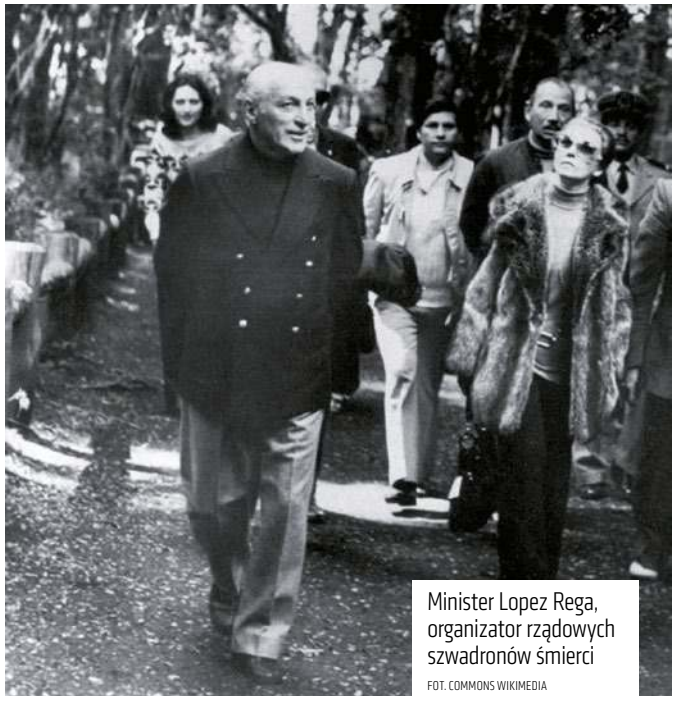

100 MUERTOS
ATAQUE SUBVERSIVO A UNIDAD DEL EJERCITO
MONTE CHINGOLO: SITIAN A 300 EXTREMISTAS EN LA UNIDAD VIEJOBUENO; AMETRALLAN EL 7 DE INFANTERIA Y QUERIAN TOMAR 4 PUENTES
Última Hora
AUMENTOS: VINO TINTO, 1.850; CIGARRILLOS, 90%
Miércoles 24 de Diciembre de 1975

Informacja prasowa o ataku ERP na koszary w Monte Chingolo FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1975 r. władze wojskowe, na bazie dekretu prezydenckiego nr 261/1975, przystąpiły do „[...] niezbędnych operacji wojskowych w celu zneutralizowania lub unicestwienia elementów wywrotowych działających w prowincji Tucumán". Operacji nadano kryptonim Independencia (Niepodległość). Sukcesy armii opierały się na przyjęciu racjonalnej taktyki działań. Wojsko nie wkraczało na obszary górskie w poszukiwaniu partyzantów, ale dokonywało aresztowań wśród członków podziemnej siatki cywilnej, starając się odciąć rebeliantów od ich zaplecza. Izolacji i kontroli ludności towarzyszyły zasadzki. Zastosowana taktyka okazała się niezwykle skuteczna i straty partyzantów rosły w szybkim tempie.

Walka z radykalną lewicą toczona była również w systemie pozaprawnym. Lopez Rega, członek włoskiej loży masońskiej P-2, pełniący funkcję ministra do spraw opieki społecznej w rządach Raula Lastririego i Isabeli Peron, zaczął formować rządowy szwadron śmierci nazywany „Triple A". Jego członkami byli głównie funkcjonariusze służb specjalnych i policji. W latach 1973–1975 Argentyński Sojusz Antykomunistyczny (Alianza Anticommunista Argentina) (AAA) przeprowadził ok. 428 zamachów na osoby powiązane z szeroko pojętą lewicą. Tego rodzaju metody walki z guerrillą nie wzbudziły entuzjazmu w szeregach armii, a pogłębianie stanu wojny domowej i pewna bezradność państwa w zakresie zwalczania rewolucyjnego podziemia ostatecznie skłoniły argentyńskich wojskowych do przeprowadzenia 24 marca 1976 r. zamachu stanu. Utworzono juntę wojskową, na której czele stanął dowódca armii gen. Jorge Videla, mianowany również prezydentem państwa. Obok niego członkami junty zostali dowodzący marynarką wojenną adm. Emiliano Massera oraz gen. Orlando Agosti – dowódca sił powietrznych.

Generałowie za główny cel swoich rządów uznali zniszczenie lewicowej guerrilli.



Minister Lopez Rega, organizator rządowych szwadronów śmierci FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3de77bed4d



Generał Jorge Rafael Videla (w środku), prezydent w latach 1976–1981

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ARGENTINE GOVERNMENT

To nieuchronne starcie postrzegali jako konflikt o charakterze cywilizacyjnym, a swoich przeciwników wykluczyli z przestrzeni wspólnoty narodowej, co jasno deklarował w 1977 r. gen. Videla, mówiąc: „Pragnę podkreślić, że obywatele argentyńscy nie są ofiarami represji. Są one skierowane przeciwko wąskiej mniejszości, której nie traktujemy jako członków narodu argentyńskiego".

Prowadzone intensywne akcje antypartyzanckie zmniejszały systematycznie szeregi guerrilli. 19 lipca 1976 r. został namierzony w swojej kryjówce i zastrzelony przywódca ERP Mario Santucho. Cztery lata później w Paragwaju funkcjonariusze tamtejszej policji zabili towarzysza broni Santucho, jednego z uczestników zamachu na dyktatora Anastasia Somozę – Hugona Alfreda Iruzuna. Junta nie zamierzała poprzestawać na eliminacji członków ugrupowań rewolucyjnych. Najdobitniej planowany zasięg represji określały słowa gubernatora prowincji Buenos Aires, gen. Ibérica Saint-Jeana: „Najpierw zabijemy wszystkich wywrotowców, później tych, którzy im pomagali, następnie tych, którzy z nimi sympatyzowali, i tych, którzy pozostali obojętni. Na końcu zaś zabijemy bojaźliwych".

Loty śmierci

Symbolem bezwzględnych represji była Szkoła Mechaników Marynarki Wojennej – ESMA. Po zamachu stanu ESM-ę przekształcono w jedno z większych centrów przetrzymywania aresztowanych osób. Zatrzymywano je zazwyczaj wieczorami w domach, rzadziej na ulicach. Było to zadanie specjalnie utworzonych grup zadaniowych (zwanych GT), które fizycznie eliminowały wywrotowców. GT podzielone były na siły logistyczne, operacyjne i wywiadowcze. Grupy operacyjne, porywające przeciwników junty, działały po cywilnemu, były uzbrojone w broń maszynową i przemieszczały się cywilnymi samochodami.

Zatrzymani przez GT ludzie po przybyciu do ESM-y trafiali do piwnicy, gdzie ich rozbierano i nadawano im numery. Następnie poddawano ich przesłuchaniom za pomocą tortur. Na ogół ofiary przywiązywano do metalowych łóżek, a specjalną pałką pod napięciem, tzw. picaną, dotykano ust, genitaliów, odbytu czy pochwy. Więźniowie byli też podtapiani, duszeni foliową torbą zakładaną na głowę. Kiedy uznawano, że aresztowani nie stanowią już żadnej wartości, kwalifikowano ich jako gotowych do „przeniesienia", co oznaczało likwidację. Zabijano ich z broni palnej, a w wielu przypadkach mordów dokonywano podczas tzw. lotów śmierci. Przed wejściem do samolotów 15–20-osobowe grupy więźniów były odurzane narkotykami lub środkami nasennymi. Po osiągnięciu odpowiedniej wysokości ofiary były zrzucane do morza.



Mario Santucho, przywódca ERP

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/TELAM.COM.AR

Metody zwalczania guerrilli zastosowane przez argentyńskie siły bezpieczeństwa były efektem przyswojenia sobie francuskiej doktryny wojny antypartyzanckiej. W 1976 r. ukazała się w Argentynie książka „La guerra moderna" („Nowoczesna wojna") płk. Rogera Trinquiera, oficera mającego doświadczenie wyniesione z wojen w Indochinach i Algierii. Jednak na długo przed tą publikacją tajniki wiedzy na temat doktryny tzw. wojny kontrrewolucyjnej zaczęli przekazywać Argentyńczykom członkowie francuskiej misji wojskowej złożonej z weteranów wojny w Algierii, którzy gościli w Argentynie. Ich doświadczenie było bezcenne, ponieważ to właśnie podczas konfrontacji w Algierii Francuzi po raz pierwszy wdrożyli w życie koncepcję masowych zaginięć oraz zastosowali powszechny program tortur.

W przeciwieństwie do Chile represje junty w Argentynie nie odbywały się w świetle fleszy. Nie było publicznych aresztowań, zatrzymań, obozów internowania na stadionach, spektakularnych akcji w rodzaju ataku na Palacio de La Moneda. Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy, bez rozgłosu. Taka taktyka, połączona z wizją radykalnego wykorzenienia „elementów wywrotowych", spowodowała zapewne, że liczba ofiar argentyńskiej junty była stosunkowo wysoka. Paradoksalnie jednak to „wypalanie marksizmu żywym ogniem" nie przeszkadzało argentyńskim wojskowym rozwijać intensywnych relacji handlowych z ZSRS, gdzie eksportowano zboże oraz mięso. Tendencje te pogłębiły się na początku lat 80. Wcześniej władze z Buenos Aires nie przyłączyły się do amerykańskich sankcji wymierzonych w Kreml w odwecie za wkroczenie oddziałów armii sowieckiej do Afganistanu w grudniu 1979 r. Sowieci potrafili się odwdzięczyć i – w przeciwieństwie do USA – nie potępiali zbyt mocno junty za łamanie praw człowieka i rządy terroru. Co ważne, dość przychylnie potraktowali reżim adm. Leopolda Galtieriego w kontekście odpowiedzialności za zainicjowanie konfliktu zbrojnego o Falklandy, unikając krytyki junty, zamiast tego kierując ją wyłącznie pod adresem USA i Wielkiej Brytanii.

Pokłosiem linii politycznej wyznaczonej przez ZSRS była budząca pewne

eprasa.pl 3de77bed4d



Samolot Short Skyvan PA-5 wykorzystywany w „lotach śmierci”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PREFECTURA NAVAL ARGENTINA

zdziwienie postawa Komunistycznej Partii Argentyny wobec rządów wojskowych. Komuniści nie potępili zamachu stanu, ogłaszając zamiast tego, że będą się przyglądać efektom polityki prowadzonej przez nowe władze. Na niektórych obszarach kraju, m.in. w Kordobie, komuniści poddawani byli represjom, ale wiązały się one nie z przynależnością do samej partii, lecz z działalnością w strukturach związków zawodowych. W pierwszym okresie dyktatury wojskowej porwano ok. 500 działaczy komunistycznych. W 1979 r. 370 z nich zwolniono, uznając, że nie są „wywrotowcami” zaangażowanymi w działania zbrojne. Nie bez przyczyny junta nie umieściła argentyńskiej partii komunistycznej na liście organizacji rozwiązanych i objętych zakazem działalności.

Zmiana w USA

Ważną kwestią związaną z funkcjonowaniem junty były relacje z USA. Rządy wojskowych cieszyły się początkowo poparciem administracji Geralda Forda. Zadbał o to sekretarz stanu USA Henry Kissinger, dając do zrozumienia podczas rozmów z szefem argentyńskiego MSZ, adm. Cesarem Guzzettim, że USA są zainteresowane stabilizacją sytuacji w kraju i szybką likwidacją terroryzmu. Te oczekiwania wpisywały się w istotną dla Waszyngtonu kwestię utrzymania się u władzy na obszarze Ameryki Łacińskiej proamerykańskich elit politycznych.



Priorytety zmieniły się jednak wraz z pojawieniem się w Białym Domu Jimmy’ego Cartera i jego współpracowników. Nowy prezydent uczynił prawa człowieka centralnym zagadnieniem amerykańskiej polityki zagranicznej. A to musiało w konsekwencji doprowadzić do pojawienia się napięć na linii Waszyngton – Buenos Aires. Krytyka junty wojskowej w kwestii łamania praw człowieka doprowadziła w 1977 r. do zredukowania pomocy militarnej dla Argentyny z 48 do 15 mln dol., a przegłosowana rok później tzw. poprawka Kennedy’ego-Humphreya zablokowała całkowicie możliwość udzielenia jakiegokolwiek wsparcia wojskowego. Przedstawiciele USA utrudniali pozyskanie przez Argentynę kredytów w Banku Światowym oraz w Międzyamerykańskim Banku Rozwoju.

Ta polityka uległa modyfikacji wraz ze zmianą warty w Białym Domu, która nastąpiła w 1981 r. Wtedy ewidentnie szkodzącego narodowym interesom USA Cartera zastąpił Ronald Reagan. Kwestia walki z komunistycznym zagrożeniem oraz bezpieczeństwo narodowe stały się priorytetami dla nowych władz Stanów Zjednoczonych. Przywrócone zostały dobre relacje na linii Waszyngton – Buenos Aires. Udział argentyńskich żołnierzy z 601. Batalionu Wywiadowczego, szkolących nikaraguańskich Contras w Hondurasie, a także trenujących żołnierzy armii salwadorskiej, gwatemalskiej i honduraskiej, był bardzo dobrze postrzegany przez reaganowską administrację.

Dobre relacje nie przetrwały jednak próby czasu. Po zakończeniu kadencji Videli i rezygnacji niepotrafiącego opanować pogarszającej się sytuacji ekonomicznej w kraju gen. Roberta Violi prezydentem republiki został adm. Leopoldo Galtieri. Nie mając pomysłu na wyjście z ekonomicznego kryzysu i chcąc odwrócić uwagę społeczeństwa od problemów wewnętrznych, Galtieri postanowił dokonać inwazji na archipelag Falklandy-Malwiny, co do którego Argentyna wysuwała roszczenia terytorialne. Aneksja miała skupić naród wokół haseł nacjonalistycznych i poprawić wizerunek armii prowadzącej wojnę w „słusznej sprawie”.

Atak doprowadził do wybuchu konfliktu z Wielką Brytanią, która została wsparta przez USA. W efekcie militarnych zmagań armia argentyńska poniosła sromotną porażkę. Wywołało to protesty i upadek rządu Galtieriego. Jego następca, prezydent Reynaldo Bignone, przekazał władzę w ręce partii demokratycznych, kończąc tym samym trwający ponad osiem lat okres rządów dyktatorskich. Ceną przemocy zainicjowanej na początku lat 70. przez ugrupowania radykalnej lewicy, a także reakcji, nieraz przesadnej, struktur państwa była śmierć 8717 osób (tyle nazwisk jest wymienionych w Parku Pamięci w Buenos Aires). Siedemdziesiąt dwie osoby zabite zostały w latach 1969–1973, 98 w latach 1973–1976, natomiast w czasie trwania junty wojskowej (1976–1983) zabite zostały 952 osoby, a 6348 uważa się oficjalnie za zaginione (część z nich stanowią niewinne ofiary, które nigdy nie były członkami i nie współpracowały z ugrupowaniami terrorystycznymi). Z kolei po stronie rządowej w latach 1968–1983 zginęło 1355 żołnierzy, policjantów i cywilów. W debacie na temat argentyńskiej junty pojawiają się też dużo wyższe szacunki liczby ofiar, mówiące o 20 czy nawet 30 tys. zaginionych. Należy je jednak uznać za niemające jakiegokolwiek oparcia w rzeczywistości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Argentina Declassification Project: ***http://www.intel.gov/index.php/argentina-declassification-project;*** *Lewis P.H.,* ***„Guerrillas and Generals. The »Dirty war« in Argentina”;*** *Lisińska M.,* ***„Amerykańska polityka praw człowieka wobec Argentyny w czasie »brudnej wojny« 1976–1983”;*** *Lisińska M.,* ***„Zjawisko dehumanizacji w czasach argentyńskiej dyktatury wojskowej 1976–1983. Przykład działania Szkoły Mechaników Marynarki Wojennej ESMA w Buenos Aires”;*** *The National Security Archive:* ***nsarchive2.gwu.edu/NSAEBB/NSAEBB133/index.htm.***

eprasa.pl 3de77bed4d

XX w. / Polski Londyn

Dyplomata wśród literatów



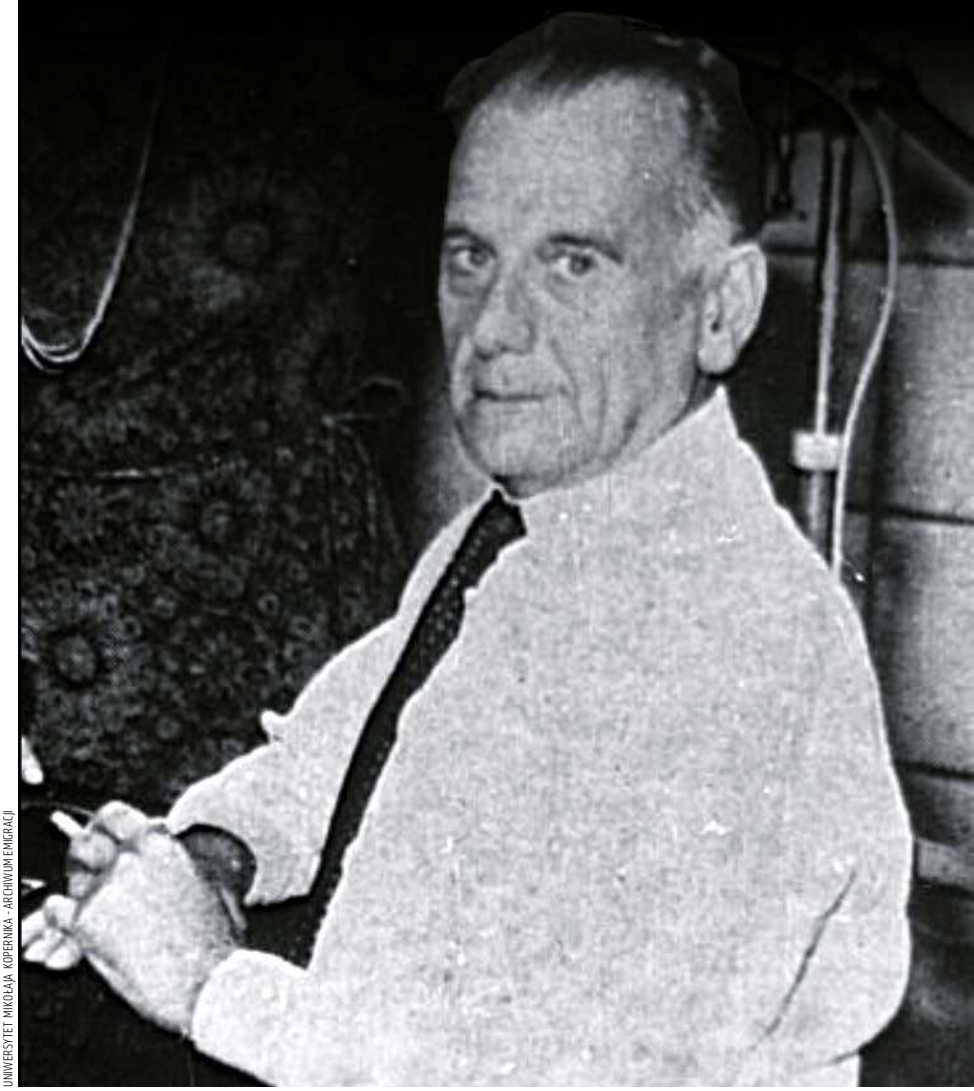
Marek Gałęzowski

Juliusz Sakowski uważał, że zadaniem literatów nie jest paktować z tyranią i uciskiem, ale podnosić głos przeciw nieprawości i wierzyć, że ten głos coś znaczy

W maju tego roku minęła bez echa 120. rocznica urodzin Juliusza Sakowskiego, zapomnianego, a przecież zasłużonego współtwórcy polskiego życia kulturalnego na uchodźstwie po drugiej wojnie światowej. Rodowód swój wywodził ze środowiska skamandrytów i „Wiadomości Literackich" Mieczysława Grydzewskiego. I kiedy zaraz po wojnie na uchodźstwie w Londynie powstała myśl reaktywacji tego pisma, całym swoim talentem organizacyjnym i publicystycznym wsparł redaktora zwanego Grydzem, pisząc z humorem, że „dożyliśmy czasów, gdy gniazdo wywrotu, kuźnia rozkładu [...], okazało się – czym? »Redutą oporu«, twierdzą czarnej reakcji, forpocztą nieprzejednanych". Wiadomości Literackie" były najważniejszym obok paryskiej „Kultury" czasopismem wolnej myśli polskiej, zakazanej w opanowanym przez komunistów kraju.

Wsparcie dla „Wiadomości"

Sakowski, rodowity warszawianin, jako 16-letni uczeń wziął udział w wojnie z bolszewikami, w rodzinnym mieście skończył prawo i w 1927 r. rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był konsulem w Marsylii, a następnie w Madrycie, w czasie, gdy w Hiszpanii trwała wojna domowa. Służbę w dyplomacji łączył z artykułami o literaturze



UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA – ARCHIWUM EMIGRACJI

eprasa.pl 3de77bed4d



Jury nagrody literackiej „Wiadomości". Trzeci z lewej: Juliusz Sakowski

FOT. Z KOLEKCJI ZYGMUNTA LICHNIAKA/IPN BU 3182/1 T.

i teatrze zamieszczanymi w „Wiadomościach Literackich". Współpraca z tym pismem była czymś naturalnym, jeżeli wziąć pod uwagę przyjaźnie, nawiązane jeszcze w czasach uczniowskich z Janem Lechoniem i Antonim Słonimskim, skamandrytami i czołowymi autorami pisma Grydzewskiego. „Ze szkoły biegłem, by zdążyć w porę do Ziemiańskiej. Dokąd stamtąd? Na premiery teatralne i na wspólną kolację dawniej w Astorii, potem do Simona i Steckiego […], a spośród przyjaciół może najczęściej do państwa Breiterów" (Emila Breitera, czołowego krytyka teatralnego kręgu skamandrytów, zamordowanego w czasie wojny przez Niemców, i jego żony Marii, mieszkających przy ul. Kapucyńskiej 5 na Starym Mieście).

Wśród tych przyjaźni Sakowskiego wymieńmy jeszcze te z Bolesławem Leśmianem i Juliuszem Kadenem-Bandrowskim. „Moje ABC zawdzięczam związkom czy więzom (i jak! i z kim!) w wyższej szkole dowcipu, dobrego smaku i pobudzających poglądów – wtedy i później" – wspominał na uchodźstwie w Anglii, gdzie pozostał po wojnie, podczas której był urzędnikiem Ministerstwa Informacji i Dokumentacji rządu RP.

Uczestnictwo w przedwojennym kręgu „Wiadomości Literackich" zaowocowało pełnym zaangażowaniem w odtworzenie go na uchodźstwie i na tym przede wszystkim polegała zasługa Sakowskiego dla rozwoju kultury polskiej. Kiedy w kwietniu 1946 r. ukazał się pierwszy numer „Wiadomości", Zygmunt Nowakowski w imieniu Mieczysława Grydzewskiego i swoim dziękował Sakowskiemu „za inicjatywę i za konsekwencję – niełatwą! – z jaką przeprowadził wszystkie preliminaria i zbudował fundament dla tego pisma" (cyt. za Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, Juliusz Sakowski. Listy, oprac. Nina Karsov, Londyn 2019).

Sakowski wsparł „Wiadomości" nie tylko w kwestiach organizacyjnych. Zaczął prowadzić tam stałe rubryki, najdłużej – w latach 1952–1962 pod pseudonimem Collector – „W oczach Zachodu", tytułem nawiązującej do powieści Josepha Conrada, jednego z jego ulubionych pisarzy. I to właśnie Sakowski był tym, który w 1961 r., po śmierci Ferdynanda Goetla, został wybrany do jury nagrody literackiej „Wiadomości". Dołączył w ten sposób do wybitnych twórców kultury polskiego uchodźstwa.

Po śmierci Grydzewskiego objął zarządzanie finansami pisma. Ale aktywność Sakowskiego nie ograniczała się jedynie do „Wiadomości". W 1959 r. został dyrektorem „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" (gdzie również publikował), przede wszystkim jednak to jego pomysłem było stworzenie i kierowanie przez wiele lat Polską Fundacją Kulturalną, która opublikowała na uchodźstwie kilkaset polskich książek.

Podnosić głos przeciw nieprawości

Nie tylko sprawy organizacyjne pochłaniały Sakowskiego. Pisał znakomite artykuły, których wybór opublikował w książkach „Asy i ludzie", „Dawne i nowe lata", „Wety i odwety". Wyróżniały się wśród nich te o polskich książkach – nie streszczenia, a prawdziwe recenzje.

„W jego skomplikowanej, pełnej urazów psychice ta jedna sprawa była prosta i jasna, niepodlegająca wahaniom i wątpliwościom: nie był to patriotyzm w zwykłym rozumieniu, ale urzeczenie Polską" – pisał o „Dzienniku" Jana Lechonia, chociaż wielbiciele talentu autora „Srebrnych i czarnych" bardziej może zwrócą uwagę na inną obserwację Sakowskiego po lekturze zapisków poety – „górujący nad wszystkim smutek, na który nie ma rady", wypływający z tego, że wśród tak licznych przyjaciół i wielbicieli był Lechoń „straszliwie, beznadziejnie

eprasa.pl 3de77bed4d



Żona Juliusza Sakowskiego, Stefania, w rozmowie z Haliną Wierzyńską i Józefem Wittlinem

FOT. Z KOLEKCJI ZYGMUNTA LICHNIAKA/IPN BU 3182/1 T. 1

samotny". Jeśli nie wszystko, to wiele te słowa tłumaczą.

Oryginalną formą twórczości Sakowskiego były też felietony, w których komentował bieżącą problematykę polską i międzynarodową – polityczną i kulturalną. Uwagę zwracała jego krytyka prosowieckich postaw zachodnich intelektualistów: „Żałosne to widowisko, gdy literaci chcą zabawiać się w dyplomatów. Zadaniem ich nie jest paktować z tyranią i uciskiem, ale podnosić głos przeciw nieprawości i wierzyć, że ten głos coś znaczy". Zadaniem ich jest protestować przeciw każdej formie ucisku, nie tylko tym, które łatwo krytykować, gdyż „nie grozi [to] gniewem Rosji". Sakowski uważał za przejaw hipokryzji to, że twórcy wolnego świata „nie występują przeciw białemu niewolnictwu", a głos sumienia uspokajają „za tańszą cenę: bojkotem owoców i wina z południowej Afryki". Nawiązał w tych słowach do masowego protestu brytyjskiej Labour Party, zauważając, że „zryw uczuć humanitarnych nie dawał znać o sobie ani wtedy, gdy wiadomo było już o Katyniu i Kołymie, ani później – gdy rozstrzelany został Nagy. Czy rozległ się w Anglii publiczny głos protestu? Pomruk zgrozy? Choćby szmer niepokoju?".

„Czy przyszłość Polski jest w Europie czy w bloku sowieckim?"

Sakowski należał do krytyków „wiecznie nieuleczalnej polskiej megalomanii", nakazującej „walczyć na wszystkie fronty i ze wszystkimi wiatrakami naraz, zamiast koncentrować się na najgroźniejszym wrogu i szukać w tym celu sojuszników". I dlatego, nawiązując do toczonych w latach 60. na łamach „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" dyskusji w sprawie polityki wobec Niemiec, przekonywał: „Trzeba się zdecydować, o co toczy się walka i przeciw komu. Jeśli o wolność narodu dziś, a nie o jego zagrożenie w niedającej się przewidzieć przyszłości – to przeciw Rosji. Nie przeciw Niemcom. Trzeba odpowiedzieć sobie na dalsze pytanie: czy przyszłość Polski jest w Europie czy w bloku sowieckim [...]. Jeśli przyszłość Polski jest w Europie (z czasem zjednoczonej), to w Europie z Niemcami".

Aby prowadzić skuteczną politykę, należy też zerwać ze zgubnymi przekonaniami, które „każą jednym tchem przestrzegać świat przed komunizmem i wzywać do krucjaty antyniemieckiej, każą pogardzać Anglikami za ich kunktatorstwo i lekceważyć Francuzów, że za mało bitni. Po drodze wypada pogrozić Ukraińcom – na wszelki wypadek". Był w ogóle przeciwny – przesadzie. Zalecał stosowanie w polityce angielskiego pojęcia „understatement", które nie oznacza rezygnacji z dumy narodowej, „tylko ją oszczędza. Chroni od pompatycznego stylu oświadczeń rządowych – butnych a bez pokrycia".

Inną wadę dostrzegał w samozadowoleniu i braku krytycyzmu, które co najmniej utrudniają rzeczową dyskusję: „Niezadowolenie i obrażanie się, jedno z drugim zawsze w parze, to już niemal nasza cecha narodowa. Po czym poznasz rodaka? Z góry ma za złe i obraża się na zapas. Zasadniczo i bezinteresownie". A w innymi tekście: „Nasi dygnitarze i luminarze zawsze godzą się na opozycję – byle była pozytywna, na krytykę – byle była twórcza". Jednym słowem, „u nas różnica zdań to nie okazja do polemiki, ale powód do obrazy". Nie każdy jednak „obrażał się na zapas". Nie obraził się Józef Mackiewicz, chociaż w sprawie stosunku do osiągnięć kultury polskiej w opanowanym przez komunistów kraju różnili się całkowicie. Mackiewicz uważał, że jej twórcy – chcąc nie chcąc – służą komunizmowi, który podstępnie wykorzystuje uczucia narodowe, czyniąc z nich narzędzie sowietyzacji. „Stawka na »patriotyzm« i nacjonalizm okazała się najskuteczniejszą manipulacją w rękach partii komunistycznej" – pisał.

Sakowski nie zgadzał się z tym stanowiskiem, uważając, że „w szkołę przeznaczoną do zatruwania dusz i zniekształcania umysłów tak samo biją dziś słowa Żeromskiego żywym, porażającym prądem". Słynna deklamacja „Reduty Ordona" przez Bernarda Zygiera w „Syzyfowych pracach" nigdy nie da się użyć jako narzędzie komunistycznej propagandy, nabrała bowiem uniwersalnej wymowy, stając się czymś więcej niż jedynie obrazem przedstawiającym rusyfikację polskiej szkoły w zaborze rosyjskim. Gdyż – jak pisze dalej Sakowski w szkicu „Płomień i popioły" – „za pomocą gwałtu i oszustwa można posługiwać się twórczością Żeromskiego dla obcych i wrogich celów, tak jak bezcześci się godła i znaki państwowe, ale jego słowa nie przestaną rozrywać ran hańby i niewoli. Wśród nocy grozy i ucisku żarzą się tym samym co dawniej, niezmiennym płomieniem, zwiastując wolne życie, które odrodzi się z popiołów".

Dlatego „oszustwem dokonanym nad Żeromskim przejmować się nie trzeba i nie warto, uwłacza ono jego pamięci, ale może mieć skutki nieoczekiwane, dobroczynne. Niech nam odbierają Żeromskiego, pasując go na ojca duchowego komunistycznej wiary i zdrady, jeśli to ma być ceną drukowanych w kraju jego książek. Ta cena się opłaci".

Sakowski szedł jednak dalej. W całkowitej kontrze do poglądów Mackiewicza uważał, że inne są zadania społeczeń-

eprasa.pl 3de77bed4d

stwa w kraju, inne emigracji: „Katolicy w kraju (i nie tylko katolicy) muszą iść na kompromisy, nawet o charakterze oportunistycznym. W warunkach, w których przyszło im żyć i działać, jest to nieuniknione. Emigracja, zarówno w swym programie, jak i taktyce, musi być bezkompromisowa. Tylko w ten sposób może przysłużyć się krajowi […]. Wypada ze swej roli, gdy stwarza wrażenie, że solidaryzuje się z objawami oportunizmu, okazując im swą pełną współczucia wyrozumiałość".

Były te słowa dowodem odwagi cywilnej, ale może większym jeszcze był głos w obronie Józefa Mackiewicza, w odpowiedzi na list Jana Nowaka-Jeziorańskiego, w którym ten przedstawił powody zaprzestania współpracy z „Wiadomościami", zarzucając im ograniczanie wolności wypowiedzi. „Jak dotąd nikt »Wiadomościom« nie zarzucił krępowania czyjejś swobody czy nakładania kagańca. Nikt – z wyjątkiem Pana Nowaka" – odpowiadał Sakowski, pisząc dalej, że „»Wiadomości« nie mogły i nie chciały służyć za narzędzie do obcych im celów", także ze względu na zwykłą przyzwoitość wobec pisarza, „który niemal od początku istnienia ich na emigracji należał do stałych, wybitnych i najpoczytniejszych współpracowników".

Postawa Sakowskiego była wyrazem protestu przeciw prowadzonej przez Nowaka-Jeziorańskiego akcji mającej na celu „zdyskredytowanie, potępienie, zaszczucie wybitnego pisarza polskiego", dążącej do odebraniu głosu autorowi, „mogącemu drażnić kontrowersyjnością swych wystąpień, ale znanemu z bezkompromisowej postawy antykomunistycznej". A wypowiedź ta dowodziła odwagi cywilnej Sakowskiego, gdyż rzucał wyzwania postaci tyleż wpływowej na uchodźstwie, co należącej do tych jej przedstawicieli, dla których „różnica zdań to nie okazja do polemiki, ale powód do obrazy".

Tęsknota za Warszawą

Był jeszcze jeden temat – mała ojczyzna, do której Juliusz Sakowski nie miał nigdy wrócić – „Warszawa, której już nie ma", jak zatytułował ostatnią część zbioru artykułów „Dawne i nowe lata". Warszawa, „pomawiana o lekkomyślność", która „płynęła z marzycielstwa"; Warszawa, która „w odróżnieniu od innych miast świata roztaczała cały bukiet zapachów, miała nieskończoną ich gamę". I chociaż nie wszystkie przemawiałyby do poetów, to „wiosną górował, uderzał do głowy zapach pierwszych bzów i kwitnących kasztanów, w Alejach latem zawiewało od lip, wiatr nadwiślański niósł orzeźwiające tchnienie podmiejskiej czeremchy i łubinu, a zimą przed świętami całe miasto tonęło w ożywczym igliwiu choinek rozstawionych na wszystkich placach i skwerach". Warszawa, która w odróżnieniu od Paryża i Londynu „często zmieniała swe barwy: latem młodzieńczo i beztrosko maiła się wiejską zielenią, zimą siwiała w niepokalanej bieli. Niebo jej mieniło się wszystkimi tonami błękitu, miewało nawet kolor parmeńskich fiołków – kwiatów nieznanych polskiej ziemi".

Odbudowana po wojnie była już dlań innym miastem, chociaż znał ją jedynie z fotografii – podziw dla podniesienia Warszawy z ruin łączył się „z żalem, że znika nam na zawsze część naszego życia i wspomnień". Lecz byłby na pewno szczęśliwy, gdyby wiedział, że zachowały się chociaż tablice wmurowane z inicjatywy kręgu „Wiadomości Literackich" „na domach, w których z łaski i wyboru Prusa Rzecki i Wokulski mieszkali na Krakowskim Przedmieściu".


WIADOMOŚCI

POŻEGNANIE

WETY I ODWETY

Artykuł Tadeusza Nowakowskiego o Juliuszu Sakowskim FOT. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA – ARCHIWUM EMIGRACJI

Juliusz Sakowski do ostatnich dni życia ofiarnie trwał na swoim posterunku, mimo pogarszającego się stanu zdrowia i świadomości, że „emigracja podupada coraz bardziej z każdym rokiem i – jak wiadomo – czytelnictwo emigracyjne skończy się". I chociaż starał się nadal wydawać książki, z goryczą pisał rok przed śmiercią do Józefa Mackiewicza, że „to syzyfowe zajęcie". Smutna to była konstatacja w kontekście słów, które znalazły się w liście autora „Zwycięstwa prowokacji" do Sakowskiego 10 lat wcześniej: „Co by było z emigracją, gdyby nie książki? Nic. Pisma ją trzymają i kleją, ale dopiero książki nadają sens".

„Śmierć przyszła nagle, spadła jak kamień w ciemnej nocy" – napisała Nina Karsov w zakończeniu tekstu biograficznego, zamieszczonego w jego korespondencji z Józefem Mackiewiczem i Barbarą Toporską, cytat czerpiąc z artykułu Sakowskiego „Skrzydlaty złoczyńca". Był 11 maja 1977 r. Wcześniej autor „Kontry" z właściwym sobie, zaprawionym czernią humorem pisał do Sakowskiego, że ten na pewno go przeżyje. Stało się inaczej. I z wielkim smutkiem musiał Mackiewicz napisać do wdowy po przyjacielu, Stefanii Sakowskiej: „Nagle odszedł jedyny doprawdy, najkulturalniejszy człowiek naszej emigracji. Po prostu nie wyobrażam sobie, co teraz może nastąpić. Żałoba spada na nas wszystkich i beznadziejność jednocześnie".

Nie było przesady w tych słowach. Stratę tę dostrzegano na uchodźstwie powszechnie, gdyż – jak pisał Wit Tarnawski – „wiemy, czym był Juliusz Sakowski na emigracji. Jego żywa, wielostronna inteligencja, jego znajomość świata i ludzi połączona z pasją społeczną i fenomenalnym talentem organizacyjnym, który pozwolił mu stworzyć całe królestwo kulturalno-wydawnicze, sięgające od Londynu do Paryża, sprawiły, że nie było dziedziny życia emigracyjnego, na której nie wycisnąłby swego piętna".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 3de77bed4d



Chukwuemeka Odumegwu Ojukwu, prezydent Republiki Biafry FOT. ALAMY/BEGW

Lata 60. XX w. / Ludobójstwo na Czarnym Lądzie

Koszmar Biafry



Anna Szczepańska

Dla zachodniego świata konflikt w Biafrze był tylko kolejną postkolonialną zawieruchą w Afryce. Ludność Igbo uważa jednak tę wojnę za ludobójstwo. Pierwsze ludobójstwo, które czarni zgotowali czarnym

W Nigerii to temat tabu. O Biafrze lepiej zbyt wiele nie mówić. W latach 60., kiedy Nigeria ogłosiła niepodległość, Biafrze też zamarzyła się niezależność, ale sen szybko przerodził się w koszmar. Mieszkańcy Biafry zostali skazani na śmierć głodową. Nie mogli tej batalii wygrać.

„Biafrańczycy nie mieli już co dać jeść swoim dzieciom. Nigeryjczycy otrzymali czeskie samoloty L-29, pilotowane przez Egipcjan; one to rozstrzygnęły ostatecznie wynik biafrańskiej wojny – pisał Jan Zumbach, znany z bitwy o Anglię polski as lotnictwa. – Masy świetnie uzbrojonych nigeryjskich oddziałów dosłownie zalały bogatą Prowincję Wschodnią, zrujnowaną nieprzemyślanymi, oszukańczymi zakupami sprzętu wojennego i zdradzoną. W tym samym czasie towarzystwa naftowe dogadały się z rządem nigeryjskim [...]. Dla Biafrańczyków był to koniec". Zumbach na własne oczy oglądał dramat Biafrańczyków – słynny najemnik w 1967 r. został dowódcą rodzących się w Biafrze wojsk powietrznych.

Nadchodząca eksplozja

Jak w większości miejsc w Afryce granice państwa nigeryjskiego przebiegały w poprzek „naturalnych" obszarów zamieszkiwania grup etnicznych. Był to spadek po konferencji berlińskiej z 1885 r., kiedy europejskie mocarstwa przy pomocy linijki i ołówka nakreśliły na mapie Afryki swoje strefy wpływów. Konsekwencje są widoczne do dzisiaj.

Nigeria była jedną z najważniejszych brytyjskich kolonii. Niepodległość uzyskała w 1960 r., jednak nie była dobrze przygotowana do samodzielnego rządzenia. Od początku mierzyła się z problemami społecznymi. Ludzie nie byli zadowoleni z przebiegu granic, a żadna grupa etniczna nie chciała podporządkować się innej. Spośród ok. 250 grup, które zamieszkiwały Nigerię, szczególne znaczenie miały cztery: żyjące na północy i wyznające islam ludy Hausa i Fulani, mieszani pod względem religii Jorubowie mieszkający na zachodzie kraju (część wyznaje islam, część chrześcijaństwo, a reszta pozostała przy religiach tradycyjnych) oraz chrześcijanie Igbo (Ibo) z południa i południowego wschodu.

Obok problemów społecznych najistotniejsze były kłopoty gospodarcze. Nigeria, podobnie jak wiele innych krajów Afryki, jest bogata w surowce. Szczególnie duże pieniądze można było

eprasa.pl 3de77bed4d

zarobić na ropie naftowej. Nigeria nie umiała jednak wykorzystać tej szansy. Ogromne fundusze z handlu ropą zarabiała wąska grupa powiązana z zagranicznymi koncernami. Reszta Nigeryjczyków żyła w biedzie.

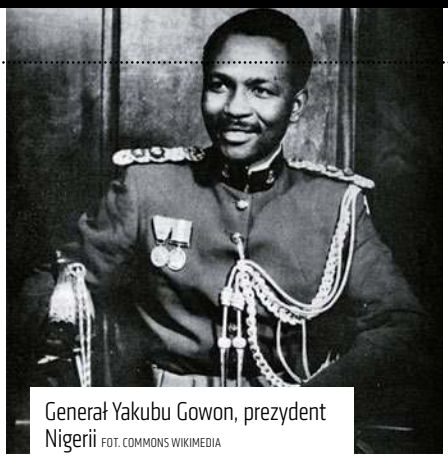
W 1963 r. w Lagos rozpoczęły się strajki, które objęły cały kraj. Ludzie protestowali z powodu głodu i bezrobocia. Do strajkujących dołączyło wkrótce wojsko. Nigeria zerwała wówczas ostatnie więzy łączące ją z Wielką Brytanią – królowa Elżbieta II przestała być głową państwa, wybrano prezydenta, a urząd gubernatora zastąpiono stanowiskiem premiera. Pierwszym prezydentem został Nnamdi Azikiwe (znany jako Zik of Africa), a premierem Abubakar Tafawa Balewa. Nigeria przyjęła konstytucję, stając się republiką. Spokój trwał jednak krótko.

Trzy lata później, 15 stycznia 1966 r., ppłk Chukwuma Nzeogwu przeprowadził zamach stanu, w wyniku którego zginęli premier oraz ponad 20 polityków i wojskowych. Na czele państwa postawiono gen. Aguyi Ironsiego, którego zresztą oskarżono później, jakoby to on zorganizował zamach. Pucz przygotowany został przez wojskowych wywodzących się z Igbo, Hausa i Fulanich, lecz z racji tego, że Ironsi był Igbo, tę grupę uznano za jedynych winowajców. Nowej władzy sprzeciwiła się muzułmańska większość. Mieli oni poparcie wyznających islam wojskowych, którzy szybko doprowadzili do upadku Ironsiego, umieszczając na jego miejsce Yakuba Gowona.

Zamach z 1966 r. nazwano „puczem ludu Igbo". Dochodziło do samosądów. Muzułmanie mścili się na chrześcijanach, twierdząc, że ci próbują całkowicie zdominować Nigerię i chcą odsunąć muzułmanów od wszelkich wpływów. W ciągu kilku tygodni zginęło nawet 100 tys. chrześcijan. Igbo masowo uciekali coraz dalej na południe. Dość bezpiecznie mogli czuć się dopiero w zamieszkanej głównie przez chrześcijan Biafrze.

Ojukwu na czele

Wydarzenia, które rozgrywały się w centralnej i północnej Nigerii, budziły obawy wśród elity władzy regionu Biafra. Nagły przypływ dużej liczby uchodźców



Generał Yakubu Gowon, prezydent Nigerii FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wewnętrznych stanowił problem. Gdzie ludzi ci mieliby mieszkać? Co mieliby jeść? Wojskowi pochodzący z Biafry, w tym gubernator wojskowy Prowincji Wschodniej (jak oficjalnie nazywano w Nigerii Biafrę) płk Odumegwu Ojukwu, apelowali o podjęcie rozmów między zwaśnionymi grupami ludności. Do negocjacji doszło na terenie Ghany. Muzułmanie i chrześcijanie porozumieli się. Zgodzono się m.in. na reformę administracyjną.

I znowu – spokój trwał krótko. Żadnych większych zmian nie udało się wcielić w życie. Rząd federalny uznał bowiem, że – wbrew ustaleniom – sam przeprowadzi nowy podział administracyjny kraju, przejmując w ten sposób kontrolę m.in. nad wydobywaną w Prowincji Wschodniej ropą naftową.

Gubernator Ojukwu ostro się tej decyzji sprzeciwiał, ale w praktyce nie mógł nic zrobić. Mieszkańcy Biafry byli jednak coraz bardziej zdeterminowani. Nie dość, że od czasu rzekomego „zamachu Igbo" byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii, to teraz odebrano im kontrolę nad najcenniejszymi złożami. Z Lagos nie łączyło ich już właściwie nic. Odumegwu Ojukwu rozumiał te nastroje. 30 maja 1967 r. ogłosił niepodległość Republiki Biafry i stanął na jej czele jako prezydent. Ludzie go uwielbiali. Sprawdził się jako gubernator, stanął po stronie słabszych, kiedy w kraju wybuchły zamieszki, a chrześcijanie byli prześladowani. Ojukwu zrobił dobre wrażenie także na Janie Zumbachu. Jak polski pilot go zapamiętał? W swojej autobiografii Zumbach tak o nim pisał:

„Na jego okrągłej, naznaczonej zmęczeniem twarzy można było natychmiast dostrzec oznaki typowej dla mężów stanu energii, przyjaznej, ale i zdecydowanej. Uścisnął mi uprzejmie rękę i przeprosił, że spotkanie odbywa się w tak niezwykłej porze. Nie mógł sobie jednak pozwolić na odkładanie przyjemności poznania... »tego sławnego Mister Browna, który dostarczył pierwszy samolot moich przyszłych sił powietrznych« [...]. Dla tak niezmordowanych ludzi zawsze miałem sympatię [...]. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, kiedy ten człowiek spał. Codziennie odwiedzał fronty, organizował opór i dodawał otuchy swoim żołnierzom [...]. Czerpał energię z żarliwego patriotyzmu. Żądał od siebie tyle samo co i od innych. Żadną miarą nie przypominał znanych mi z Katangi nieuczciwych, zadufanych, często aż komicznie niewykształconych, ale za to aroganckich pajaców. Ojukwu rzeczywiście pragnął dla swego kraju niezawisłości".

Ojukwu kształcił się na Oksfordzie, studiował historię, służył w armii, gdzie awansował do stopnia pułkownika. Ukończył kursy wojskowe w Ghanie i Wielkiej Brytanii. Był energiczny i ambitny. Miał jednak pewne wady. Przede wszystkim brakowało mu uroku (a może przebiegłości?), który pozwoliłby na zjednanie Biafrze zagranicznych sojuszników.

Gotowi na śmierć

Biafra wzięła nazwę od Zatoki Biafrańskiej, która jest częścią Zatoki Gwinejskiej. Stolicą nowo ogłoszonego państwa zostało Enugu. Biafrańczycy bardzo entuzjastycznie przyjęli proklamację niepodległości i chętnie wzięli się do pracy na własny rachunek. Kraj miał potencjał – liczył 13,5 mln mieszkańców, a do tego był świetnie położony i mógł pochwalić się licznymi złożami surowców naturalnych. Najważniejszym miastem pod względem rozwoju gospodarczego Biafry był Port Harcourt, a głównym ośrodkiem naukowym Nsukka, gdzie powstał Uniwersytet Biafrański. W kraju powołano do życia bank narodowy oraz wprowadzono własną walutę. Wiadomo było jednak, że te wszystkie kroki na nic się zdadzą, jeżeli Biafra nie uzyska międzynarodowego poparcia.

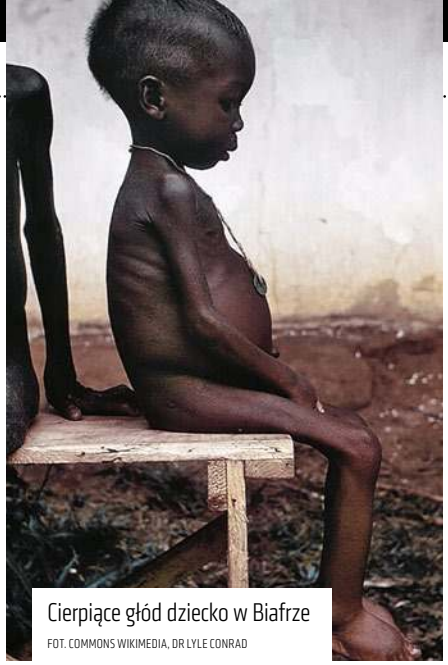
Władze młodego państwa od początku zabiegały o zainteresowanie mocarstw. Na arenie międzynarodowej ukazywały tragizm swojej sytuacji:

eprasa.pl 3de77bed4d



Generał Godwin Alabi-Isama (drugi z prawej) podczas wojny domowej w Nigerii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GODWIN ALABI-ISAMA



Cierpiące głód dziecko w Biafrze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DR LYLE CONRAD

prześladowania ze strony rządu Nigerii, pogrom chrześcijan w 1966 r. Biafrańczycy czuli się ofiarami władz w Lagos i tak też, jako ludzie, których Nigeria do tej pory wykorzystywała, przedstawiali się światu. Jednakże Biafra nie chciała być widziana wyłącznie przez pryzmat ofiary losu. Mieszkańcy chcieli, aby zagranica dostrzegła ich możliwości i dała szansę na samostanowienie. W czasach, kiedy jeszcze nie wszystkie granice zostały w Afryce ustalone, a część terytoriów wciąż znajdowała się pod panowaniem państw kolonialnych, nie było to niemożliwe.

Republika Biafry została uznana przez Gabon, Haiti, Wybrzeże Kości Słoniowej, Tanzanię, Etiopię i Zambię. Nieoficjalnie rząd w Enugu otrzymał poparcie od Francji, Hiszpanii, Portugalii, Norwegii, Rodezji, RPA i Watykanu. W sprawę zaangażował się nawet osobiście papież Paweł VI. Nie było dużym zaskoczeniem to, że największej pomocy Biafrze udzieliła Francja. Dla Paryża była to szansa „wyrwania" części byłej angielskiej kolonii spod wpływów Londynu. Wielka Brytania bowiem, co naturalne, wspierała rząd w Lagosie, nie chcąc, aby jej byłe terytorium zależne zdezintegrowało się wewnętrznie. Awantura na południu Nigerii nie uśmiechała się także USA i ZSRS. W tym miejscu, nie pierwszy raz zresztą – na co dowodem był już kryzys sueski – obie strony zimnowojennego starcia mówiły jednym głosem, opowiadając się za rządem w Lagosie.

Było jasne, że wojna między Biafrą a Nigerią jest nieunikniona. Nigeria nie doceniła jednak przeciwnika. Na początku zbagatelizowano sprawę, wysyłając na południe tylko niewielkie oddziały policji, które miały uspokoić buntowników. Przeliczono się. Biafrańczycy pokazali, że są gotowi umierać za swój kraj.

Coś z niczego

„Bez ogbunigwe wojna trwałaby może kilkadziesiąt godzin" – mówił w wywiadzie dla BBC Felix Nwankwo Oragwu, jeden z profesorów fizyki pracujący na biafrańskiej uczelni, który w czasie wojny z Nigerią został z konieczności projektantem uzbrojenia. Ogbunigwe, czyli „masowy morderca", była to wyrzutnia rakiet, która stała się symbolem biafrańskiego konfliktu, a także dowodem na innowacyjne podejście mieszkańców regionu.

Biafra wchodziła bowiem do wojny słabo przygotowana. Brakowało broni i mundurów. Wielu żołnierzy przechodziło zaledwie kilkudniowe przeszkolenie, zanim ruszyło na front, lecz nie brakowało im woli walki, co – przynajmniej na początku – okazywało się wystarczające.

Władze Biafry były zmuszone bazować na własnych zasobach. Dla armii zaczęli pracować specjaliści różnych dziedzin, jak wspomniany wyżej profesor fizyki. Inżynierowie projektowali broń z dostępnych materiałów. W ten sposób powstały różnego rodzaju granaty, koktajle Mołotowa, bomby, napalam oraz miny przeciwpiechotne. Zaprojektowano nawet pojazdy opancerzone stworzone z części pochodzących z maszyn rolniczych.



Informacja prasowa o zdobyciu Owerri, stolicy Republiki Biafry

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AFRICAN STUDIES CENTER LEIDEN, AART RIETVELD

Biafra mogła też liczyć, dzięki pieniądzom pozyskanym ze sprzedaży ropy, na pomoc najemników. Najsłynniejszym był właśnie Jan Zumbach, jeden z dowódców legendarnego Dywizjonu 303. Po 1945 r. nie przestał poszukiwać adrenaliny. Prowadził w Paryżu restaurację, pośredniczył w zakupie samolotów, prowadził firmę transportową, szmuglował złoto i diamenty. W Afryce walczył jako najemnik w Katandze, a później w Biafrze. W regionie tym pojawił się tuż po ogłoszeniu niepodległości. W autobiografii wspominał: „Kiedy w czerwcu znalazłem się w Enugu, stolicy secesji, wiedziałem tylko, że mały naród znalazł się w niebezpieczeństwie eksterminacji. Wiedziałem też, że małe, zbuntowane państewko Biafra było stosunkowo bogate, ze względu na ropę, czyli pieniądze płacone przez Shella i BE. Wiedziałem wreszcie i to, że to bogactwo umożliwiło mu zwerbowanie za granicą pomocy wojskowej. Ale w czasie, kiedy lądowałem swoim B-26 na drodze startowej lotniska Enugu, konflikt nigeryjsko-biafrański ograniczał się tylko do potyczek w dżungli. Tak mi się przynajmniej

eprasa.pl 3de77bed4d



Śmigłowiec z pomocą humanitarną dla Biafry
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CDC DR LYLE CONRAD

zdawało. Mój demobilowy bombowiec wykonywał więc zadania transportowe".

Zumbach został dowódcą biafrańskich sił powietrznych. Organizował je od zera, mając do dyspozycji właściwie jedynie zdezelowane samoloty wojskowe lub znajdujące się w lepszym stanie samoloty cywilne, które dopiero przerabiano na maszyny bojowe („Kazałem zdjąć drzwi kabiny pasażerskiej, w powstały otwór ustawić karabin maszynowy, a po obu stronach zamontować wyrzutniki bomb" – pisał). Sam wykonywał loty rozpoznawcze, brał udział w atakach na nigeryjskie konwoje oraz współpracował z biafrańskimi konstruktorami broni. Później wrócił do Europy, gdzie kupował broń i wysyłał ją do Biafry aż do zakończenia konfliktu.

Wojna na wyniszczenie

Wraz z secesją Biafry władze Nigerii stanęły przed nie lada problemem. Większość nigeryjskiej ropy wydobywano właśnie w tym regionie. Był to podstawowy produkt eksportowy Nigerii. 6 lipca 1967 r. Nigeria wysłała do Biafry wojsko, ale ofensywa została powstrzymana. Biafrańskie siły, choć sformowane naprędce, okazały się trudnym przeciwnikiem i nie tylko odparły natarcie, lecz także przeszły do ataku. W sierpniu wojska Biafry weszły na terytorium Nigerii, podążając w stronę Lagos. Ta porażka ostatecznie zaalarmowała rząd federalny. Na front wysyłano kolejne jednostki, które w ciągu kilku tygodni przełamały linie przeciwnika. W październiku 1967 r. Nigeria zajęła stolicę Biafry, Enugu, a nigeryjscy żołnierze szli dalej, rozpoczynając operację „Tygrysi Pazur". Ich celem było zajęcie portów, czyli biafrańskiego „okna na świat".

Choć wojska rządowe posuwały się naprzód, to łamanie oporu Biafrańczyków nie szło tak dobrze, jak planowano. Nigeria postanowiła więc skruszyć hardych przeciwników w inny, okrutny sposób. Biafra została odcięta od świata. Zablokowano porty i drogi,



Pomnik prezydenta Ojukwu. Poniżej: flaga Republiki Biafry
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

uniemożliwiono zarówno import, jak i eksport towarów. Biafra miała zacząć przymierać głodem.

Kraj nie dysponował właściwie żadnymi zapasami. Kilka miesięcy później ludzie zaczęli głodować. Niedożywione były zwłaszcza dzieci. To wtedy po raz pierwszy świat obiegły fotografie czarnoskórych maluchów z rozdętymi z głodu brzuszkami. Dzieci szybko zaczęły zapadać na różne choroby wywołane skrajnym niedożywieniem, m.in. na kwashiorkor, czyli schorzenie, które wywoływane jest przez drastyczne niedobory białka i witamin. Tamte wydarzenia położyły się cieniem na życiu milionów ludzi. Dorośli dzisiaj mieszkańcy Biafry, którzy wtedy doświadczyli głodu, zmagają się obecnie z wieloma problemami zdrowotnymi. Świat widział głodujących Biafrańczyków. Ich zdjęcia trafiały na pierwsze strony gazet. Oburzano się, słano apele, krytykowano władze Nigerii, lecz ta nie zniosła blokady Biafry, uznając, że głód najskuteczniej złamie opór secesjonistów.

Ogromną pracę wśród głodujących Biafrańczyków wykonali misjonarze. To oni pierwsi nagłośnili tragedię, która działa się na południu Nigerii. Dzięki pomocy księży i sióstr zakonnych, którzy od lat pracowali w Biafrze, do kraju zaczęły przybywać organizacje charytatywne z całego świata. Sprawą zainteresował się wówczas m.in. lekarz i późniejszy minister spraw zagranicznych Francji Bernard Kouchner. Z jego inicjatywy powołano w niedługim czasie organizację Lekarze bez Granic.

Głód zaglądał w oczy także żołnierzom. Niektórzy wspominali później, że całymi tygodniami nie jedli prawie nic, a z głodu wyłapywali nawet myszy.

Biafrańczycy robili, co mogli, aby przerwać blokadę. W walki zaangażowane było całe społeczeństwo, także kobiety. Walczono w otwartych bitwach oraz w buszu, stosując metody partyzanckie. Przez kolejne miesiące siły Biafry dawały się we znaki wojskom nigeryjskim. We wrześniu 1968 r. Biafrańczycy odbili swoją stolicę, lecz dość krótko cieszyli się tym sukcesem. Już rok później Nigeria przeszła do kolejnej, potężnej ofensywy. Na początku 1970 r. całe terytorium Biafry znalazło się na powrót w rękach Nigerii.



Władze „samozwańczego" państwa były poszukiwane. W obawie przed zabiciem przez Nigeryjczyków Odumegwu Ojukwu wyjechał z kraju. Schronienie znalazł w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Był to koniec biafrańskich marzeń o niepodległości.

Z powodu głodu zmarło w Biafrze ok. miliona osób. Drugie tyle zginęło w wyniku działań zbrojnych. A jednak, pomimo tak ogromnej liczby ofiar, okrutna wojna w Biafrze jest właściwie w ogóle nieznana na Zachodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d

Dwudziestolecie międzywojenne // Rzym i Warszawa – wspólna sprawa



Konstanty Skirmunt (drugi z lewej), przedstawiciel Komitetu Narodowego Polskiego, w polskim obozie wojskowym w Santa Maria

FOT. NAC

Włosi a Polska niepodległa



Marco Patricelli

Sympatia włoskiego społeczeństwa podczas pierwszej wojny światowej była zdecydowanie po stronie sprawy polskiej. Miało to wymierne efekty polityczne i gospodarcze po odzyskaniu przez Polskę niepodległości

Komitety Pro Polonia, które powstawały w większych włoskich miastach (rzymskiemu komitetowi przewodniczył słynny poeta Gabriele d'Annunzio), zachęcały do zaangażowania także polityków. Ci jednak mieli trudności z zajęciem oficjalnego stanowiska z uwagi na dyplomatyczne i militarne stosunki z dwoma blokami, wśród których znajdowały się trzy państwa zaborcze. Poseł Luigi Montresor już kilka miesięcy po przystąpieniu Włoch do wojny, 7 grudnia 1915 r., złożył w parlamencie wniosek, w którym domagał się wpisania niepodległości Polski jako jednego z celów polityczno-militarnych Włoch walczących u boku Francji, Wielkiej Brytanii i Rosji przeciwko Austro-Węgrom i Niemcom. Jednak wniosek nie został poddany pod dyskusję, aby nie drażnić Rosji. Montresor mimo to nie zrezygnował i 5 grudnia 1916 r. przedstawił kolejny wniosek. Także premier Włoch Paolo Boselli wyraźnie opowiedział się za niepodległością Polski, jednak znów – aby uniknąć protestów rządu z Piotrogrodu – nie doszło do dyskusji plenarnej.

Upadek caratu w wyniku rewolucji lutowej i ogłoszenie 30 marca deklaracji Rządu Tymczasowego, w której obiecywano Polakom utworzenie autonomicznego państwa polskiego, spotkały się z wyraźnym poparciem rządu włoskiego. Minister spraw zagranicznych Sidney Sonnino 20 czerwca 1917 r. jako pierwszy spośród reprezentantów ententy zadeklarował w parlamencie, że odrodzenie się Polski jest jednym z celów wojny.

Uwalnianie jeńców

Kilka miesięcy później – pod koniec października – włoski rząd uznał Komitet Narodowy Polski w Paryżu za oficjalne przedstawicielstwo Polski, a przebywającego w Rzymie od sierpnia Konstantego Skirmunta za oficjalnego przedstawiciela Komitetu we Włoszech. Dzięki staraniom Skirmunta od 24 sierpnia 1918 r. Polacy we Włoszech – pod pewnymi warunkami – otrzymali status prawny obcokrajowców z kraju przyjaznego, czego skutkiem były ułatwienia w zwalnianiu jeńców wojennych narodowości polskiej.

Przemawiając 20 listopada 1918 r. podczas uroczystego posiedzenia parlamentu, premier Vittorio Emanuele Orlando po-

eprasa.pl 3de77bed4d

witał niepodległość Polski jako epokowy fakt. Odrodzenie było możliwe także dzięki włoskiemu wkładowi w stworzenie jej siły militarnej. Uwolnienie 577 oficerów i 31,8 tys. żołnierzy narodowości polskiej, jeńców z armii austro-węgierskiej, miało ogromne znaczenie przy tworzeniu Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera we Francji. W lutym 1919 r. gen. Roberto Segre, szef włoskiej misji wojskowej w Wiedniu, wysłał do Polski transport kolejowy z włoskimi materiałami wojennymi, który zawierał broń przejętą z arsenału pokonanego wojska Habsburgów. Był to pierwszy z 16 pociągów z uzbrojeniem i amunicją wysłanych z Włoch do Polski. W lipcu 1919 r. Włochy przekazały Polsce m.in. 7 tys. karabinów Carcano modelu 91 oraz 17 mln amunicji różnego kalibru. Natomiast w lutym 1920 r. Polska otrzymała pomoc o wartości ok. 32 mln lirów włoskich, która obejmowała m.in. materiały artyleryjskie, sanitarne, samochody i żywność dla oddziałów.

W 1919 r., podczas konferencji pokojowej w Paryżu, stanowisko Włoch zderzyło się z ideami ładu europejskiego i kolonialnego Anglików i Francuzów, a to nie mogło nie wpłynąć na stosunek Włoch wobec Polski. Rzym domagał się respektowania paktu londyńskiego z kwietnia 1915 r. odnośnie do rejonu Adriatyku, a wszystkie kwestie etniczne i terytorialne miały odzwierciedlenie w analogicznych problemach dotyczących Polski. Francja natychmiast dokooptowała Warszawę do systemu sojuszy antyniemieckich, który zdaniem Clemenceau powinien zastąpić tradycyjny pakt z Rosją, obecnie niewyobrażalny z powodu rewolucji bolszewickiej.

Podczas obrad w Wersalu przedstawiciele Włoch weszli w skład Komisji do spraw polskich (zwanej też Komisją Cambona), w której uczestniczył markiz Pietro Tomasi della Torretta. Z kolei ambasador Giulio Montagna i gen. Giovanni Girolamo Romei-Longhena brali udział w Komisji Międzysojuszniczej dla Polski. Stosunek komisji wobec Polski był zasadniczo przychylny, pomimo napięć i różnic zdań z Francją, która urosła do rangi wielkiej protektorki odrodzonej republiki. Jednak kwestia statusu Gdańska była przez Włochów zwalczana, ponieważ uznawano ją za źródło dalszych napięć w stosunkach niemiecko-polskich. Oczywiście miała ona również wiele wspólnego ze sprawą miasta Fiume (Rijeka), do którego pretensje rościli sobie Włosi.



Gabriele d'Annunzio
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

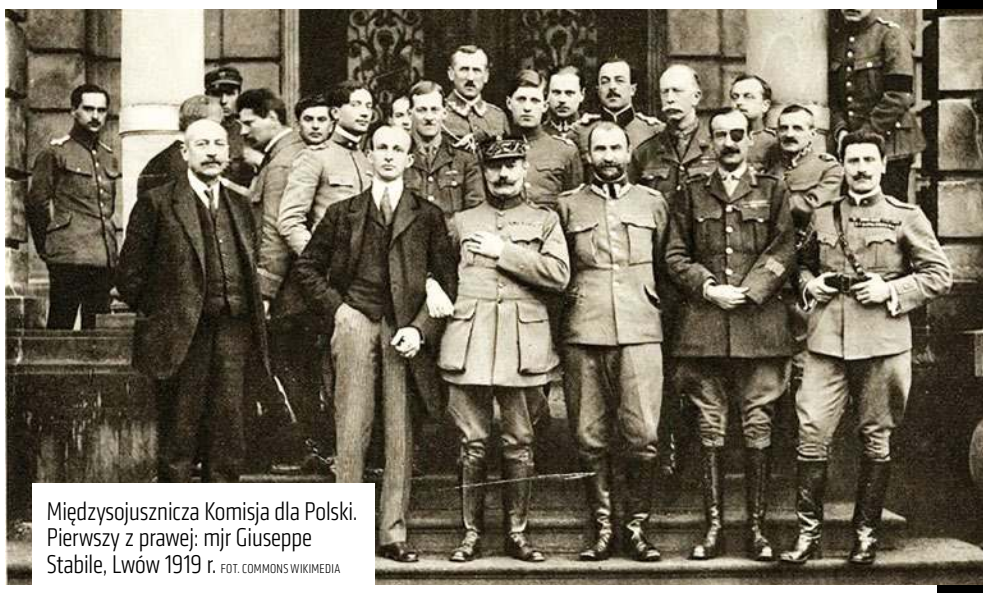
Pomoc dyplomatyczna

Wiosną 1919 r. gen. Segre przekazał najwyższemu dowództwu notatkę sporządzoną 5 kwietnia przez podległego mu oficera, kpt. Accame, który wizytował ziemie polskie z ramienia włoskiej misji wojskowej w Austrii. Dokument ukazywał możliwości stosunków handlowych i militarnych z Polską.

Szef włoskiego poselstwa w Warszawie, Francesco Tommasini, od 1919 r. realizował linię polityczną zatwierdzoną przez wszystkich ministrów spraw zagranicznych (z wyjątkiem, jak przekonamy się dalej, Pietra Tomasiego della Torretty), zakładającą ścisłą współpracę polsko-włoską. Celem tej polityki miało być przeciwstawienie się odrodzeniu się – pod jakąkolwiek postacią – imperium Habsburgów. Ponadto odrzucano ideę odbudowy Rosji imperialnej, co dotyczyło również polityki panslawistycznej, tak w granicach Polski, jak nad Adriatykiem, gdyż stanowiło to zagrożenie dla Włoch z racji zatargów z Jugosławią. Jeśli chodzi o Niemcy, to Tommasini uznawał je nadal za zagrożenie, a zatem Włochy powinny „realizować postanowienia traktatu wersalskiego w sposób, który utrwaliłby, o ile to możliwe, zdobycze pokoju".

W chwili wybuchu wojny polsko-bolszewickiej Tommasini był bardzo krytyczny wobec idei głoszącej, że Polska uczestniczy w „rodzaju krucjaty przeciwko bolszewizmowi". Kiedy jednak Armia Czerwona przechodzi do kontrataku i zalewa polskie ziemie, 30 czerwca 1920 r. ówczesny premier Władysław Grabski i minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha dają do zrozumienia Tommasiniemu, że życzyliby sobie pośrednictwa Włochów w rozmowach z bolszewikami. W efekcie włoski minister spraw zagranicznych Carlo Sforza zabiega, aby złagodzić twarde warunki pokojowe, które David Lloyd George chce narzucić Polsce.

Włoskie poparcie ma też kolejny polski rząd, który powstaje, gdy



Międzysojusznicza Komisja dla Polski. Pierwszy z prawej: mjr Giuseppe Stabile, Lwów 1919 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 3de77bed4d

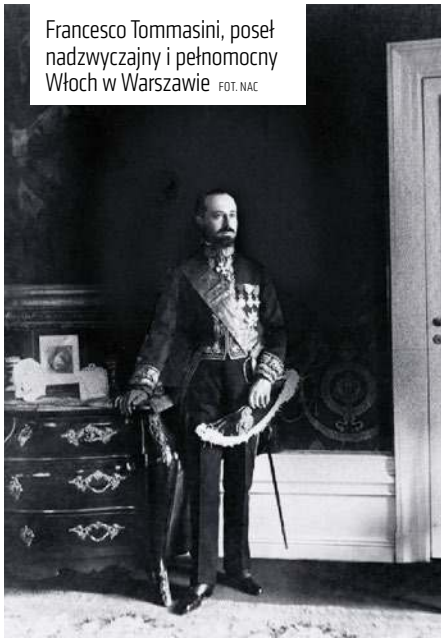


Samolot myśliwski Ansaldo A.1 Balilla FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Armia Czerwona staje na przedpolach Warszawy. Poparcia udziela wówczas Polakom Francesco Tommasini, przemawiając podczas inauguracji włosko-polskiej izby handlowej. Chwila była dramatyczna: Europa oczekiwała wiadomości o upadku Polski, ale Włochy powstrzymywały się przed ewakuacją swojego poselstwa. Rzecz wydawać by się mogła nieuchronna, zważywszy, że pozostali dyplomaci państw europejskich, w tym lord Edgar D'Abernon i ambasador francuski Jean Jules Jusserand, opuścili stolicę Polski. W Warszawie pozostali nieliczni, w tym właśnie szef poselstwa Włoch Francesco Tommasini, a także przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, nuncjusz Achille Ratti.

Rankiem 14 sierpnia, w wigilię decydującej kontrofensywy, która rozbije siły Armii Czerwonej, Tommasini składa wicepremierowi Ignacemu Daszyńskiemu deklarację o woli dzielenia losu polskiego rządu. Jednocześnie wierny instrukcjom otrzymanym od ministra Sforzy zaleca Polsce, by ta nie szukała porozumienia z kontrrewolucyjnymi siłami „białych" gen. Wrangla, a raczej doprowadziła do pokoju z Rosją bolszewicką. Ta postawa irytowała Piłsudskiego, jednak odzwierciedlała stanowisko włoskiej opinii publicznej wobec tej wojny. Nacjonaliści nad Tybrem utrzymywali, że polscy generałowie wplątali naród w awanturniczy konflikt z Rosją bolszewicką, ponieważ Polska nie była w stanie pełnić roli tamy dla idei rewolucyjnych. Socjaliści z kolei jasno opowiadali się po stronie bolszewickiej i uznawali Polskę za instrument zachodniego kapitalizmu i imperializmu (dlatego też ogłosili serię strajków, aby uniemożliwić transport samolotów i pocisków artyleryjskich, których polska armia desperacko potrzebowała). Natomiast Włoska Partia Ludowa (PPI), zbliżona do pozycji Stolicy Apostolskiej, prezentowała stanowisko filopolskie, wojnę z bolszewicką Rosją postrzegając jako obronę chrześcijańskich wartości przeciwko rewolucyjnemu barbarzyństwu. Odwrócenie się losów konfliktu z Rosją bolszewicką zagwarantowało Polsce poszerzenie granic wschodnich w traktacie ryskim i faktycznie uczyniło z niej tamę wobec bolszewizmu.

W tym okresie obserwuje się też intensyfikację gospodarczych stosunków dwustronnych. Koncern Ansaldo, który produkował w Polsce model samolotu A.1 Balilla, dostarczał też materiały dla kolejnictwa, podobnie jak koncern maszynowy Ernesta Breda. Turyńska firma samochodowa S.P.A. podpisała umowę z polskim Ursusem na dostawę tysiąca ciężarówek. Jednak Francja, dbając o swoje interesy w sektorze dostaw wojskowych, przeciwstawiła się dalszemu napływowi do Polski towarów włoskich. Ostatecznie dojście do władzy w Polsce otwarcie frankofilskich rządów centro-prawicowych przyczyniło się do storpedowania kontraktu z firmą z Turynu.



Francesco Tommasini, poseł nadzwyczajny i pełnomocny Włoch w Warszawie FOT. NAC

Kłopotliwe plebiscyty

Momentem dużego napięcia we wzajemnych stosunkach było włoskie zaangażowanie w plebiscyty na Warmii, Mazurach i Górnym Śląsku. Przewodniczącym Międzysojuszniczej Komisji na Warmii był senator Angelo Pavia, a nadzór nad plebiscytem sprawowały Królewskie Siły Zbrojne. Podczas gdy Polacy przed głosowaniem zarzucali komisji stronniczość, zdaniem Tommasiniego miażdżące zwycięstwo Niemców było skutkiem niewielkiej obecności Polaków. Na Górnym Śląsku Francja chciała przyznać całe terytorium Polsce, aby pozbawić gospodarkę niemiecką surowców, podczas gdy Wielka Brytania – i po części także Włochy – obawiała się zbytniego osłabienia Niemiec. Plebiscyt okazał się korzystny dla Berlina i Polacy, obawiając się poparcia brytyjskiego oraz włoskiego dla Niemiec, w nocy z 2 na 3 maja 1921 r. rozpoczęli trzecie powstanie śląskie. W starciach zginęło 23 żołnierzy włoskich z wojsk międzysojuszniczych.

Nad Tybrem zaobserwować można było głębokie oburzenie wśród opinii publicznej i sfer rządowych, jednak ministrowi Sforzy udało się zachować w tej sprawie zimną krew. 23 maja 1921 r. zaprezentował on propozycję rozwiązania problemu granicy na Górnym Śląsku: „Biorąc pod uwagę wyniki plebiscytu, oznacza to przyznanie Polsce dwóch stref, w których Polacy stanowili większość, oraz dużą część obszaru przemysłowego, znajdującego się pomiędzy tymi pierwszymi". Ta propozycja, zdecydowanie korzystna dla strony polskiej, nie znalazła jednak uznania u mocarstw zachodnich także dlatego, że straciła poparcie polityczne kolejnego szefa włoskiego MSZ, którym był markiz Pietro Tomasi della Torretta. Kwestia granicy polsko-niemieckiej na Górnym Śląsku została ostatecznie powierzona Lidze

eprasa.pl 3de77bed4d



Włoscy żołnierze w okopie nad Odrą

FOT. NAC

Narodów, która tylko jedną trzecią spornego terytorium przyznała Polsce, a resztę oddała Niemcom.

Powołanie w czerwcu 1921 r. byłego ambasadora we Włoszech Konstantego Skirmunta na stanowisko ministra spraw zagranicznych oznaczało nowe otwarcie i zbliżenie w stosunkach polsko-włoskich, potwierdzone umową współpracy dotyczącą Galicji Wschodniej i kwestii monarchii austro-węgierskiej. Porozumienie nie weszło jednak w życie z powodu sprzeciwu ministra Torretty, który sympatyzował z bolszewicką Rosją.

23 sierpnia 1921 r. podpisano natomiast dwie umowy: pierwsza dotyczyła zapłaty za sprzęt wojskowy przekazany Polsce przez Włochy w 1919 r., druga stanowiła podstawę stosunków handlowych pomiędzy oboma krajami. Polska uznała dług obliczony według cen ustalonych przez Włochy i zobowiązała się do jego spłaty (z sześcioprocentowymi odsetkami) do 31 grudnia 1926 r. Umowa handlowa, ważna tylko rok, otworzyła polski rynek dla włoskich produktów, takich jak cytrusy, wina, wyroby jedwabnicze, kapelusze, guziki, a nawet filmy. Polsko-włoska konwencja handlowa została podpisana 12 maja 1922 r., podczas konferencji w Genui. Miesiąc wcześniej król Włoch Wiktor Emanuel III został odznaczony Orderem Orła Białego, a marszałek Józef Piłsudski otrzymał Order Świętych Maurycego i Łazarza.

Jednak nie wszyscy włoscy politycy byli życzliwi Polsce. Mniej przychylny stosunek prezentował premier (w latach 1919–1920) Francesco Saverio Nitti. Krył się za tym powód polityczny – głębokie niezadowolenie Włoch z ładu europejskiego, który ukształtował się w wyniku traktatów wersalskich. Włochom przyznano jedynie okruchy zamiast poważnych nabytków obiecanych w pakcie londyńskim z 1915 r. Ważyły również czynniki ekonomiczne. Dla Nittiego bolszewicka Rosja stanowiła źródło surowców, Niemcy natomiast były krajem z najbardziej technologicznie rozwiniętym przemysłem. A zatem oba te państwa, które ściskały Polskę w śmiertelnym uścisku, były dla niego dużo ważniejsze od słabej republiki Piłsudskiego. Krytyczny stosunek Nittiego widać było w jego dwóch artykułach, które ukazały się w lipcu i październiku 1921 r. – czyli już po okresie premierostwa – pod tytułami „Kondycja militarna Polski" oraz „Polska i przesada ducha nacjonalistycznego". Według niego położenie ekonomiczne Polski było katastrofalne: „Żaden inny kraj na świecie nie znajduje się w tak absurdalnej sytuacji jak Polska; jej moneta służy tylko do użytku wewnętrznego […]. Finanse Polski nie istnieją" – pisał Nitti. I dodawał, że pomimo tego elita z Warszawy „marzy o państwie polskim od Bałtyku po Morze Czarne i w pogoni za tymi marzeniami utworzyła drugą armię w Europie, nie mając możliwości finansowych, by ją utrzymać".

Nitti podkreślał, że traktat wersalski nie odtworzył narodu polskiego, lecz powołał „państwo polskie, którego głównym celem ma być dezorganizacja Niemiec", a „sztuczna Polska ma dwa podstawowe zadania: odseparować Niemcy od Rosji i stanowić potężną rezerwę militarną dla Francji". Nitti podkreślał, że „Polska reprezentuje najbardziej typowy przykład aberracji i wynaturzenia idei wojny. Zmierza ona nieodwracalnie do ruiny, żywiąc jednoczesną nienawiść wobec dwóch największych narodów Europy: rosyjskiego i niemieckiego. Innego ratunku nie ma jak tylko zawrzeć serdeczne i szczere porozumienia z Niemcami, aby rozwinąć wszystkie zasoby, które marnieją, gdyż nie robi nic prócz prowokowania Niemiec". Zdaniem tego polityka „Polska, którą szczerze kochamy i z którą chcemy współpracować dla dobra jej przyszłości, zrozumie, że dla niej samej ratunkiem nie jest bycie osią wydarzeń militarnych, których nie może w ostatecznym rozrachunku przesądzić, ale bycie siłą pokojową, elementem równowagi i życia".

Faszyzm u bram

Rok później Mussolini poprowadzi marsz czarnych koszul na Rzym i faszyzm zastąpi państwo liberalne. Szybko, bo już 23 stycznia 1923 r., rząd Mussoliniego podpisuje z Polską 30-letni kontrakt, na którego mocy Włochom przyznano status kraju uprzywilejowanego w kwestii eksploatacji złóż ropy naftowej w Galicji. 15 marca tego samego roku Rada Ambasadorów, dzięki interwencji Duce, uznała wschodnią granicę Polski, wyłączoną z traktatów wersalskich. Jednak 23 grudnia w Warszawie dobiega końca misja niewątpliwego „przyjaciela Polski", którym był Francesco Tommasini – został on odwołany do Rzymu i przeniesiony w stan spoczynku, gdyż nie był mile widziany przez nowy reżim faszystowski.

Jak napisał polski historyk Jerzy Wojciech Borejsza: „Włoski minister w Warszawie, Francesco Tommasini, reprezentował poglądy wyraźnie antyfaszystowskie. W swoich raportach dla Mussoliniego musiał jednak zaznaczyć, że polska prawica z entuzjazmem przyjęła wiadomość o marszu na Rzym i miała zamiar naśladować włoski przykład, by odsunąć od władzy środowisko Piłsudskiego. Następnie doprecyzował, że marszałek reprezentował inną lewicę od tej, z jaką mieli do czynienia faszyści we Włoszech, jako że stanowił on samo ucieleśnienie patriotyzmu".

Odwołany z Warszawy Francesco Tommasini spisze swoje wspomnienia w książce „La resurezione della Polonia" („Odrodzenie Polski") wydanej w Mediolanie w 1925 r., w której nakreśli najważniejsze aspekty stosunków łączących II RP z Włochami w pierwszych latach powojennych.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczyła: Anna Kosiarska.

Autor jest włoskim dziennikarzem i historykiem zajmującym się m.in. relacjami włosko-polskimi.

eprasa.pl 3de77bed4d

1002 r. / Polski władca w śmiertelnym niebezpieczeństwie



„Bolesławowa drużyna". Obraz Michała Byliny FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Bolesław Ocalony



Leszek Lubicki

Niemiecki monarcha stanowczo wypierał się swojego udziału w zamachu na Bolesława Chrobrego, ale wszystkie tropy w tej sprawie prowadziły na jego dwór

Gdy w 992 r. umiera książę Mieszko I, władzę w kraju Polan obejmuje jego pierworodny syn, Bolesław, zrodzony z nieżyjącej już księżniczki czeskiej Dobrawy. Prawdopodobnie od razu 25-letni władca wygonił z kraju swoją macochę, córkę margrabiego Marchii Północnej, Odę Dytrykównę, wraz synami (swoimi przyrodnimi braćmi). W słynnym, aczkolwiek tajemniczym dokumencie „Dagome iudex", w którym Mieszko I oddał kraj pod opiekę Stolicy Apostolskiej, dodatkowo dokonał również jego podziału na swoich potomków. Bolesławowi przypadła prawdopodobnie jedynie niedawno przejęta z rąk Czechów ziemia krakowska, niejako na pocieszenie, natomiast bardziej faworyzowani

eprasa.pl 3de77bed4d



byli synowie z ostatniego małżeństwa. Bolesław wyraźnie został odsunięty, zapewne za sprawą swojej macochy Ody, która musiała to na Mieszku wymóc. Taki scenariusz jest możliwy, choć do tej pory jednoznacznie zagadki tej uczeni nie rozwiązali.

Saski kronikarz Thietmar tak skomentował przejmowanie przez Bolesława ziem polskich: „Z lisią chytrością złączył je potem w jedną całość syn jego Bolesław, wypędziwszy macochę i braci [...]. Onże Bolesław, aby tylko samemu panować, podeptał wszelkie prawo i sprawiedliwość". Nic w tych słowach nie powinno nas zaskakiwać. Jak bowiem pisał Józef Ignacy Kraszewski: „Nic dorównać nie może zajadłości, gniewom, z jakiemi współcześni kronikarze niemieccy mówią o Bolesławie, którego piętnują chytrym, drapieżnym, przewrotnym – co w ustach nieprzyjaciół męstwo i rozum oznacza. Współczesne źródła wszystkie nam go jednostajnie wystawiają".



„Bolesław Chrobry". Obraz Marcella Bacciarellego FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Kronikarz saski dodaje jeszcze, że syn Mieszka dodatkowo kazał jeszcze oślepić dwóch możnych, Odylena i Przybywoja, którzy stanęli po stronie Ody, i jej synów. Takie to były czasy. W ten właśnie sposób, wydłubując oczy, eliminowało się przeciwników politycznych, których z jakichś względów nie chciało się pozbawić życia.

Jednowładztwo Bolesława

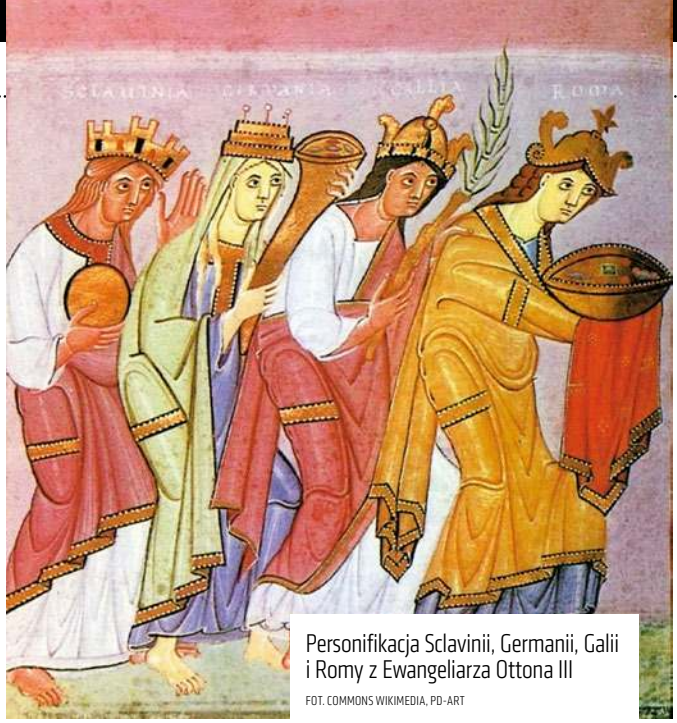
Prawo do dziedziczenia po ojcu mieli wówczas wszyscy synowie panującego, stąd oburzenie kronikarza Thietmara, który ze względu na pochodzenie Ody musiał jej sprzyjać (a przy okazji również jej synom). Po tej „czystce", która zapewne trwała krótko, być może maksymalnie kilka miesięcy, w kraju został zatem tylko jeden Piast, pierworodny syn pierwszego historycznego władcy Polski, godny spadkobierca ojca. Monarchia jest rządzona tylko przez jedną osobę. Na tym przecież wówczas polegało sprawowanie władzy – dzierżyć ją w jednej ręce, a nie dzielić się nią. Dziś wiemy, że Bolesław postąpił mądrze, mimo że faktycznie podeptał obowiązujące prawo. Dzięki takiemu posunięciu nie doszło do wojny domowej o władzę – w przeciwnym wypadku konflikt rodzinny z pewnością pogrążyłby kraj w chaosie. Bolesław mógł się już zatem skupić wyłącznie na rządzeniu podległymi sobie piastowskimi ziemiami i nie musiał rozpraszać swojej uwagi na walkę wewnętrzną z potencjalnymi rywalami, bądź co bądź także książętami krwi piastowskiej.

Podjęcie tych zdecydowanych działań sprawiło, że Bolesław uważany jest za twórcę potęgi polskiego państwa. Wiemy z czasów późniejszych, że jego następcy powstrzymywali się przed podobnymi krokami, co jednak czasem prowadziło do zbrojnych interwencji zewnętrznych. Tak było choćby z jego synem Mieszkiem II, który musiał walczyć o władzę z dwoma braćmi, którzy na pomoc wezwali wojska z sąsiednich krajów. Trzeci z Bolesławów, Krzywousty, walczył ze zbrojnym atakiem państw ościennych, wezwanych przez przyrodniego brata Zbigniewa. Później jego synowie z drugiej żony, którzy wygnali pierworodnego syna władcy Polski naznaczonego na



Cesarz Otton III FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAYERISCHE STAATSBIBLIOTHEK

eprasa.pl 3de77bed4d



Personifikacja Sclavinii, Germanii, Galii i Romy z Ewangeliarza Ottona III

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PD-ART

następcę, Władysława I (swojego przyrodniego brata), musieli odpierać zewnętrzną interwencję, gdy ten poprosił o pomoc cesarza niemieckiego. Jak celnie zauważył Paweł Jasienica: „Państwo Mieszka i Bolesława było więc rzeczywiście spójne. Nie ma ani jednej wzmianki o Polakach szukających u cesarza pomocy przeciwko własnemu księciu" (1992).

Owszem, za Mieszka I jego dwóch braci się biło, ale nie ze sobą i nie przeciwko niemu, tylko z wrogiem zewnętrznym. „Żaden z nich nie bruździł, obaj za to zaszczytnie zapisali się w dziejach Polski. Jeden – nieznany z imienia – poległ w obronie granic, drugi – Czcibor – rozstrzygnął w bitwie pod Cedzyną, a potem, jak się zdaje, zarządzał Pomorzem" (Jasienica, 1985). Bolesław być może przewidywał, że jego pochodzący z matki Niemki bracia mogą kiedyś wystąpić przeciwko niemu z poparciem cesarstwa. I postąpił, jak postąpił.

Współpracownik cesarza

Rok 1000 i słynny zjazd gnieźnieński, kiedy to cesarz Otton III przybywa z pielgrzymką do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, wydaje się dla Bolesława przełomowy. Cesarz zakłada wówczas na chwilę swój diadem na głowę polańskiego księcia i obdarowuje go kopią włóczni św. Maurycego. Jerzy Strzelczyk uważa, że „włożenie Chrobremu diademu na głowę, nazwanie go »przyjacielem cesarza« i »przyjacielem ludu rzymskiego« z pewnością można uznać za jego wyniesienie, nadanie mu jakiejś formy niezależności" („Władcy", 2018).

Otóż to – Otton III pragnął odnowienia Cesarstwa Rzymskiego, gdzie na równych prawach współistniałyby Galia, Roma, Germania i Sclavinia (Słowiańszczyzna). W zamyśle młodego cesarza „pod patronatem słowiańskiego męczennika, Wojciecha, słowiański książę – Bolesław z Gniezna – miał zbudować wschodni fundament nowego porządku chrześcijańskiej Europy […]. Właśnie Sclavinia miała tworzyć czwarty człon, czwartą podstawę tego porządku. Oddają ten zamysł, ten porządek wizerunki czterech ukoronowanych niewiast, symbolizujące owe cztery wielkie krainy przedstawione na karcie ewangeliarza Ottona III, sporządzone około 1000 r." (Nowak, 2014). Oburzony saski (niemiecki) kronikarz, a także biskup, Thietmar, zapisze następnie znamienne słowa: „Niechaj Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem, wyniósł go [Bolesława] tak wysoko…".

Niestety, przyjaźń tych dwóch całkowicie odmiennych osobowości nie trwała zbyt długo. Młody cesarz niespodziewanie umiera na początku 1002 r., w wieku 22 lat, i u Niemców od razu rozpoczyna się swoista „gra o tron". Najważniejszych kandydatów jest dwóch. Margrabia miśnieński Ekkerhard, osobisty przyjaciel Ottona III, oraz najbliższy krewny zmarłego cesarza – jego stryj, książę bawarski Henryk IV. Ekkehard, którego popiera Bolesław, pada jednak ofiarą mordu. Królem Niemiec w czerwcu 1002 r. zostaje Henryk (od 1014 t. cesarz – jako Henryk II), zaliczony później w poczet świętych.

Zamach przy bramie

Wraz ze zmianą władcy zmienia się także polityka. Młody cesarz nie zdążył odnowić Cesarstwa Rzymskiego w ten sposób, aby cztery krainy, o których wspominał (Galia, Roma, Germania i Sclavinia), były traktowane na równi, natomiast nowy król aspirował do objęcia przywództwa w całej Europie. Tym samym upadła wcześniejsza wizja współistnienia dwóch sąsiednich państw, Niemiec i Polski, na równych prawach. „Jego celem było […] wzmocnienie przywództwa niemieckiego w Europie. Jednak po objęciu władzy przez Henryka Bolesław liczył jeszcze na zawarcie korzystnego porozumienia z następcą Ottona III" (Teterycz-Puzio, 2019).

Ale Chrobry całkiem szybko przewidział, że już nic nie będzie tak, jak wcześniej ustalono. I dlatego zaatakował pierwszy. Jeszcze przed koronacją Henryka, wykorzystując czas bezkrólewia, w maju 1002 r. dochodzi do Elstery, zajmując zbrojnie „Marchię Miśnieńską, kraj niedawno zdobyty przez Niemców i dobrze jeszcze nasycony żywiołem słowiańskim. W ręku jego znalazły się Bu-



Cesarz Henryk II Święty

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAYERISCHE STAATSBIBLIOTHEK

eprasa.pl 3de77bed4d

dziszyn, Strzała oraz sama Miśnia, której mieszkańcy zmusili załogę niemiecką do wyjścia z grodu. Również wielu rycerzy niemieckich uznało władzę Bolesława. Może byli to ci, którzy widzieli w nim prawowitego następcę Ottona III?" (Jasienica, 1985).

Jak powiada Jerzy Strzelczyk, jakby „na to nie patrzeć, był to akt agresji, bo ten obszar nigdy nie wchodził w skład państwa Polan, lecz stanowił część królestwa niemieckiego. Ale istnieją też pewne poszlaki wskazujące na to, że Bolesław mógł mieć jakieś prawa do tych terenów. Jedna z pośrednich wskazówek mówi, że cieszył się poparciem niektórych panów wschodnioniemieckich" („Władcy", 2018).

Już po koronacji na króla Niemiec „Henryk bawarski, uwolniony od jednego z najpoważniejszych rywali [Ekkeharda – przyp. red.], poczynając sobie – trzeba przyznać – bardzo zdecydowanie, przez Turyngię dotarł do Saksonii. W sierpniu 1002 r. w Merseburgu panowie sascy uznali jego panowanie i złożyli mu hołd. Przybył tam także Bolesław Chrobry" (Strzelczyk, 2003). Co wtedy „utargował" nasz władca? Nie były to łatwe rozmowy, jednak Henryk zgodził się, aby Chrobry zachował Milsko i Łużyce, natomiast musiał oddać Miśnię. Mimo wszystko zadowolony z rokowań Piast, wracając do siebie, został napadnięty „przez nieznanych sprawców" w pobliżu bramy miejskiej. Jakimś cudem uniknął śmierci. W pięknej powieści Teodora Parnickiego „Srebrne orły" (wydanie z 2016 r.), we wstępie pióra Andrzeja Nowaka, czytamy o tym wydarzeniu: „Część orszaku Bolesława zginęła, wielu było rannych. Sam Bolesław ocalał tylko dzięki pomocy dwóch rycerzy niemieckich. Thietmar zaklinał się, że król Henryk II nie miał z tym niecnym zamachem nic wspólnego. Jednak oczywista korzyść, którą w tym momencie byłoby dla nowego króla usunięcie ambitnego władcy Polski, który sięgał już swoimi granicami aż za Łabę, pozwala wątpić w te zaprzeczenia. Na Bolesławie zamach musiał zrobić piorunujące wrażenie. W niewinność Henryka chyba nie uwierzył. Z tym królem Niemiec nie będzie pokoju, nie będzie na pewno takiej współpracy, jaka połączyła go wcześniej z cesarzem Ottonem III. Bolesław nie będzie już występował jako »cooperator Imperii«, ale jako budowniczy własnego imperium, które gotowe było bronić swojego miejsca za wschodnią granicą królestwa niemieckiego jako niezależny, równorzędny mu podmiot".



RYS. MARZENA WŁOCZYK, FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Oczywiście Henryk wypiera się wszystkiego i stanowczo twierdzi, że to nie on nakazał uśmiercić Chrobrego. Biskup Thietmar pisze jednoznacznie: „Bogiem świadczę, że do zamachu tego doszło bez wiedzy i zgody króla". Obwiniał butę Polaków, którzy na to niebezpieczeństwo narazili się „z własnej winy i nie bez słusznej przyczyny, skoro wszedłszy do pałacu królewskiego w pełnym uzbrojeniu wzbraniali się go opuścić, gdy tego od nich zażądano". Nawet jednak gdyby niemiecki król nie wiedział o tym zdradzieckim czynie, to „on właśnie – podobnie jak w przypadku zabójstwa Ekkeharda – był tym, który najwięcej skorzystałby w przypadku, gdyby zamach się powiódł […]. Thietmar nic nie pisze o jakichkolwiek próbach ochrony czy obrony napadniętego orszaku polskiego przez wojska samego króla […]. Nic też nie słychać o jakiejkolwiek karze czy próbach pochwycenia zamachowców przez króla" (Strzelczyk, 2003).

Bolesław, co oczywiste, nie uwierzył, że Henryk nie maczał palców w zamachu. Wracając do siebie, spalił Strzałę i wziął do niewoli wielką liczbę ludzi. Co prawda, do formalnego zerwania pokoju jeszcze nie doszło, ale już w kolejnym roku rozpoczynają się wojny z Niemcami, z wyrachowanym i bezwzględnym Henrykiem II, trwające z przerwami 15 lat. Kończą się one pokojem zawartym w roku 1018 w Budziszynie, a więc na terenie państwa Chrobrego, gdzie Henryk nie raczył nawet przybyć. Traktat utrwalił polskie zdobycze, czyli Łużyce i Milsko. Ale to już całkiem inna historia.

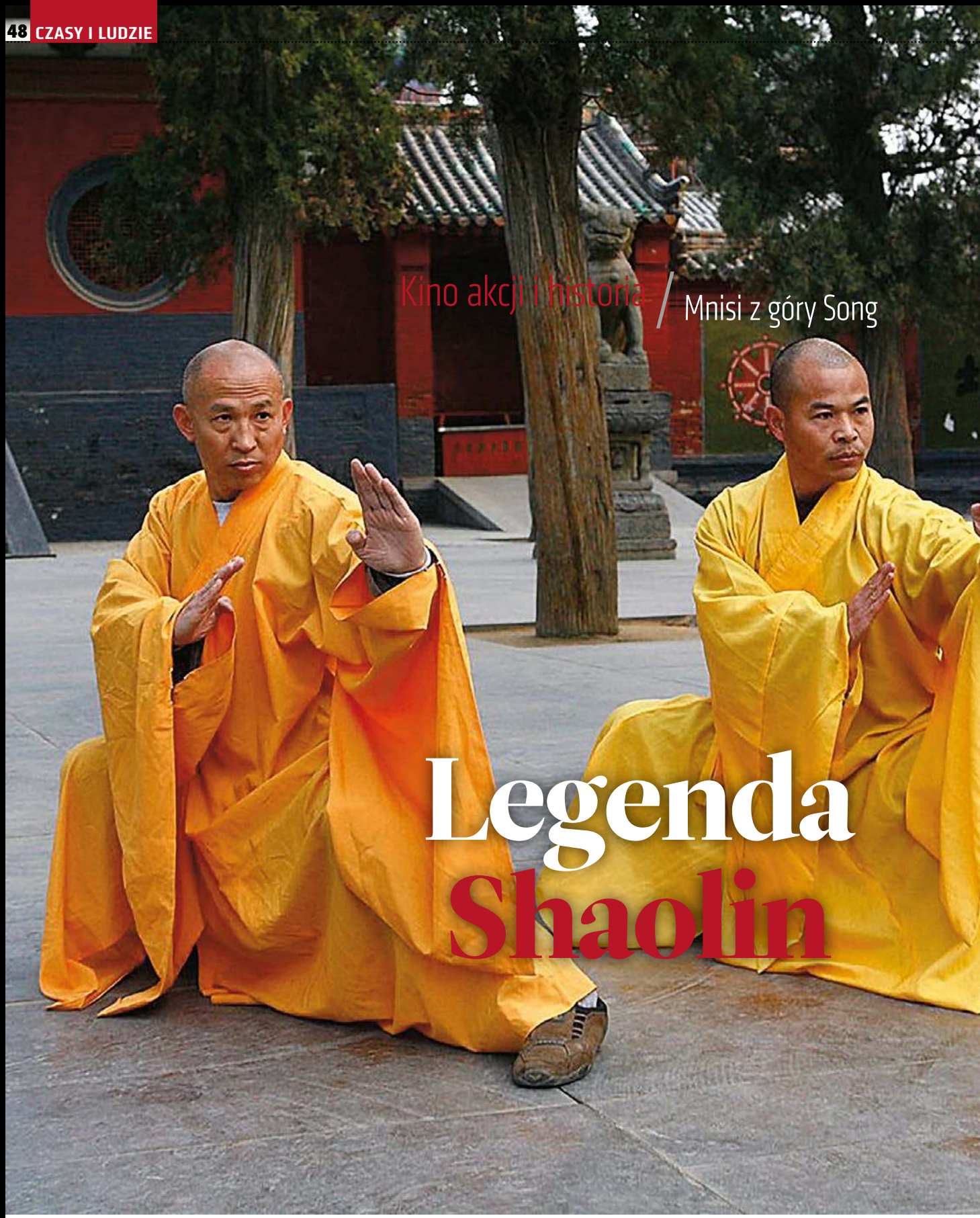
Można zakładać, że losy Polski potoczyłyby się kompletnie inaczej, gdyby nie ten zamach na polskiego władcę. Niemniej trudno przypuszczać, aby niemiecki król ze spokojem patrzył na coraz bardziej rozrastające się i coraz mocniejsze imperium Bolesława Chrobrego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Jasienica P., ***„Polska Piastów"****, Warszawa 1985; Jasienica P.,* ***„Trzej kronikarze"****, Warszawa 1992; Barański M.K.,* ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Kraszewski J.I.,* ***„Wizerunki królów i książąt polskich"****, Warszawa 1888; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski"****, Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1****, Kraków 2014; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry"****, Poznań 2003; Teterycz-Puzio A.,* ***„Zamachy na Piastów,*** *Poznań 2019.*

eprasa.pl 3de77bed4d



Kino akcji i historia / Mnisi z góry Song

Legenda Shaolin

eprasa.pl 3de77bed4d



Mistrzowie Shi DeRu i Shi DeYang z klasztoru Shaolin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SHI DERU



Łukasz Czarnecki

Dzięki kinowym hitom o wojowniczych mnichach klasztor Shaolin zyskał olbrzymią sławę. W rzeczywistości historia tego miejsca jest jeszcze ciekawsza

W drugiej połowie XX w. wspólnota mnichów z góry Song w chińskiej prowincji Henan zdobyła sobie trwałe miejsce w świadomości Europejczyków i Amerykanów. Zainteresowanie, które wzbudził klasztor Shaolin, nie było jednak pochodną praktykowanego w nim buddyzmu chan (bardziej znanego pod jego japońską nazwą zen), lecz efektem mody na filmy o sztukach walki. Pierwsze były produkcje Bruce'a Lee, a w następnych dekadach zainteresowanie tym miejscem podtrzymywali kolejni wywodzący się z Dalekiego Wschodu gwiazdorzy. W wartkich, pełnych akcji (i zadziwiających akrobacji) fabułach często pojawiał się wątek tajemniczego klasztoru Shaolin i zamieszkujących go mnichów będących mistrzami wu shu. Często właśnie dzięki nauce pobieranej pod okiem zakonników główny bohater był w stanie pokonać swojego arcywroga.

Moda na filmy kung-fu zbiegła się w czasie ze stopniowym otwieraniem Chińskiej Republiki Ludowej na świat. Komunistyczne władze, widząc w międzynarodowej popularności sztuk walki użyteczne narzędzie (dziś nazywamy je soft power), zaczęły oficjalnie je wspierać i promować, na czym zyskał również monastyr na górze Song, uznawany za ich najsławniejszy ośrodek. Po latach zaniedbań został on podniesiony z ruiny będącej efektem złupienia przez hunwejbinów w trakcie rewolucji kulturalnej i odrestaurowany, a Pekin roztoczył nad nim patronat. W 1999 r., po prawie 300 (sic!) latach przerwy, mnisia wspólnota zyskała nowego opata w osobie Shi Yongxina, a o znaczeniu klasztoru najlepiej świadczy to, że jego przełożony jest równocześnie deputowanym Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych.

Równocześnie głęboko wierzący buddyści często krytykują komercjalizację Shaolin. Faktem jest, że monastyr stał się główną siłą napędową gospodarki powiatu Dengfeng, w którym się znajduje. Co roku odwiedza go milion turystów. Ponadto wokół klasztoru działają dziesiątki szkół walki – łącznie trenuje w nich kilkadziesiąt tysięcy uczniów.

Mnisi wojownicy

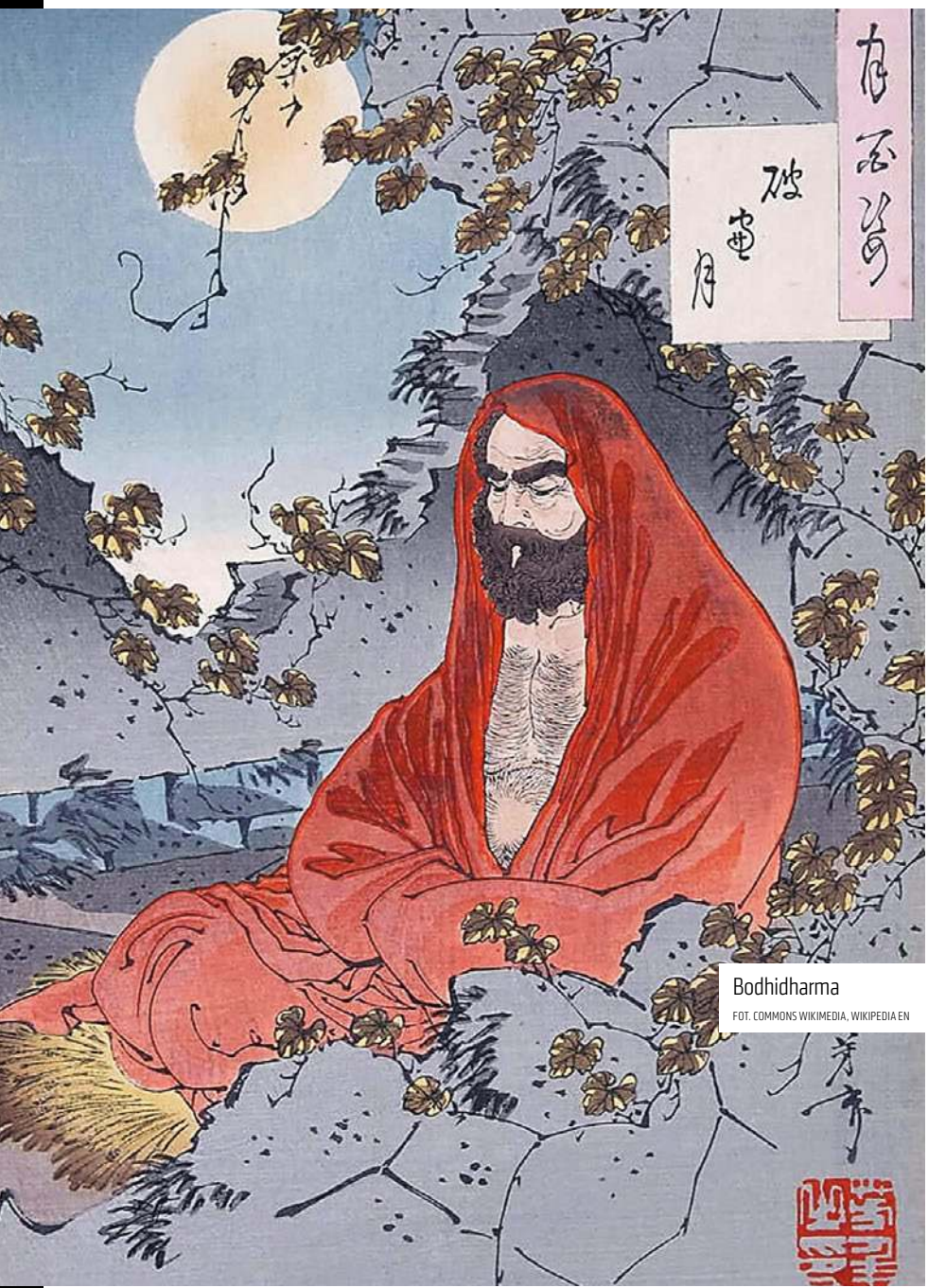
Górę Song od najdawniejszych czasów zaliczano do tzw. Pięciu Świętych Szczytów. Gdy w Państwie Środka zaczął się szerzyć buddyzm, jego wyznawcy adaptowali dawne miejsca kultu na własne potrzeby. Tak też stało się z górą Song, na której pobożni władcy z północnej dynastii Wei (jedna z efemerycznych dynastii kontrolujących fragmenty cesarstwa w okresie po upadku dynastii Han, panująca w latach 386–534) ufundowali w V w. klasztor Shaolin. Pierwszym przełożonym wspólnoty zakonnej był indyjski misjonarz Fotuo. Kompleks znajdował się zaledwie 70 km od stolicy swoich patronów w Luoyangu i cieszył się ich wielką przychylnością. Cesarze z rodu Wei charakteryzowali się zresztą wielkim oddaniem nauce Buddy. Nieustanne czytanie sutr nie na wiele się im jednak zdało i w początkach VI w. i utracili władzę.

Niedługo potem do Henanu przybył kolejny buddyjski misjonarz – Bodhidharma, który w okolicach Luoyangu działał do roku 520. Jest on uznawany za jednego z najwybitniejszych zakonników buddyjskich wszech czasów, a także za twórcę szkoły chan. To ostatnie jest jednak bzdurą, gdyż nurt ten narodził się dopiero 100 lat po śmierci swego domniemanego fundatora. Indyjski misjonarz wywarł jednak niebagatelny wpływ na dzieje klasztoru Shaolin. Teksty pochodzące z początków VIII w., wbrew faktom historycznym, podają, że ostatnie lata życia spędził on w Shaolin

eprasa.pl 3de77bed4d

i tam przekazał sekrety doktryny chan pierwszemu chińskiemu patriarsze tej szkoły – Huike. Legendę stworzono, gdy monaster stał się centrum nabierającej popularności szkoły, w celu zwiększenia jego atrakcyjności w oczach wiernych. Skoro zaś przy legendach jesteśmy, to Bodhidharmie ponad tysiąc lat po jego śmierci zaczęto również przypisywać stworzenie technik walki wykorzystywanych przez mnichów z Shaolin.

Pierwszy tekst źródłowy, w którym znajdujemy taką informację, to „Księga przemiany ścięgien", datowana na rok 1624. Manuskrypt ten jest jedną wielką i w dodatku dość nieudolną mistyfikacją, której autor, ukrywający się pod pseudonimem Człowiek Drogi, Który Osiągnął Purpurowe Stężenie, twierdził, że w rzeczywistości jest ona przekładem indyjskiego tekstu napisanego przez Bodhidharmę, zawierającego opisy technik walki i ćwiczeń mających doprowadzić ich użytkownika do nieśmiertelności oraz oświecenia. Sam twórca fałszywki przypisywał sobie wyłącznie sporządzenie przedmowy do dzieła. Chińscy uczeni kpili z owej księgi, lecz lud czytał ją i wierzył w to wszystko głęboko, w efekcie czego narodziło się przekonanie, że to właśnie Bodhidharma był wynalazcą shaolińskich sztuk walki. Z czasem przejęli je sami mnisi wojownicy.



Bodhidharma

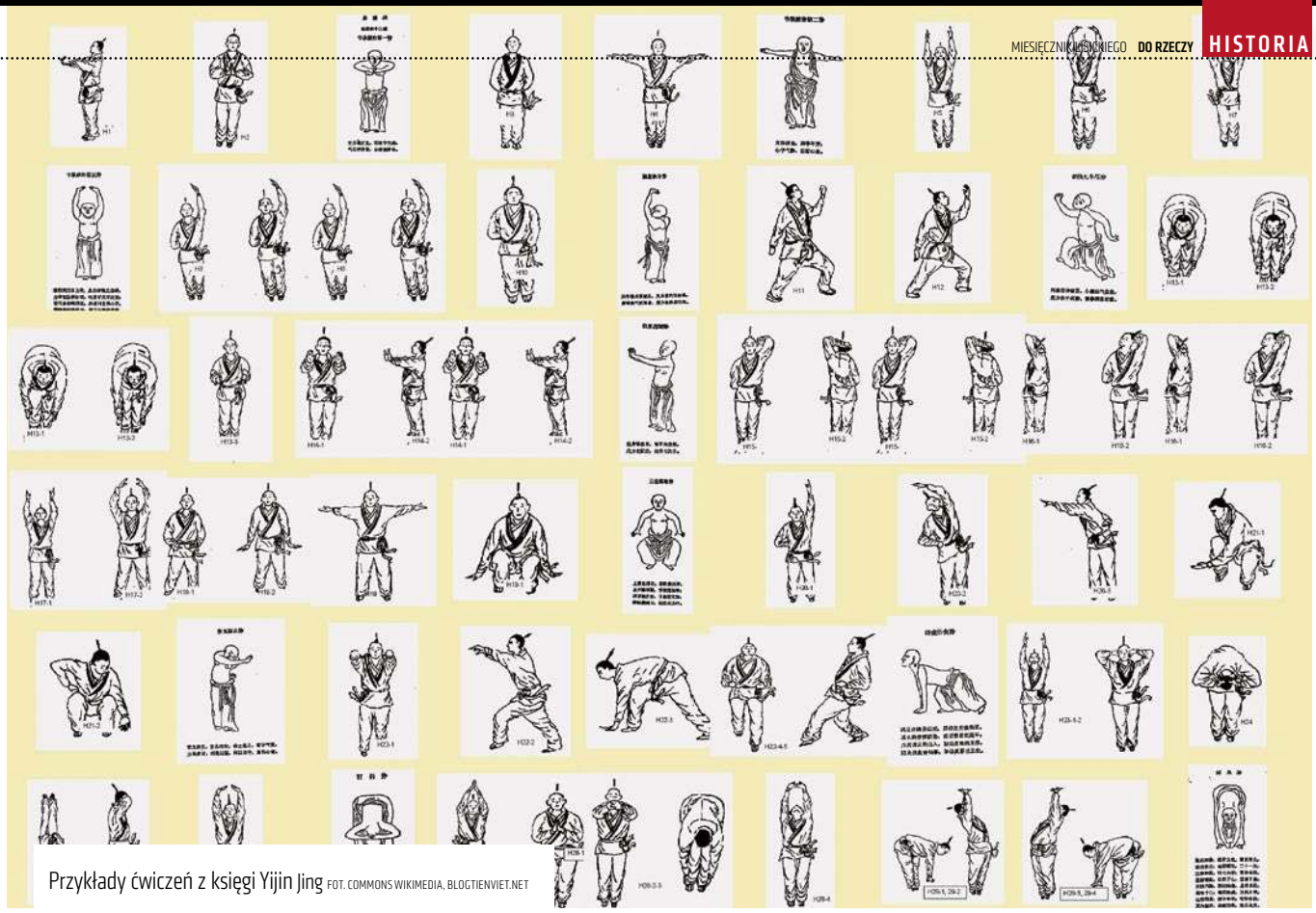
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WIKIPEDIA EN

Zbrojni z przypadku

Na początku VII w., po upadku dynastii Sui, która zjednoczyła Państwo Środka, lecz jej rządy okazały się krótkotrwałe, Chinami wstrząsnęła krwawa wojna domowa. Tron Smoka udało się zdobyć Li Yuanowi, który w roku 618 proklamował dynastię Tang, jednak miał on konkurentów. Jednym z najpoważniejszych był gen. Wang Shichong. Obrawszy sobie za stolicę Luoyang, sam ogłosił się on cesarzem. Kontrolował cały Henan, więc kwestią żywotną dla nowego reżimu było złamanie jego oporu. Zadanie to założyciel dynastii Tang powierzył synowi Li Shiminowi (późniejszy cesarz Taizong). Ten wkroczył na tereny prowincji pod koniec lata 620 r. Wojna trwała do 4 czerwca 621 r., kiedy młody Li przyjął kapitulację Wang Shichonga.

W kampanii tej mnisi z Shaolin po raz pierwszy wsławili się jako wojownicy. Ich udział w walkach dokumentuje znajdująca się w klasztorze stela z roku 728. Wyryto na niej inskrypcje opisujące to wydarzenie i jego konsekwencje. Siły uzurpatora kontrolowały górę Huanyuan. Znajdowała się tam należąca do klasztoru posiadłość ziemska o nazwie „Włość w Cyprysowej Dolinie". Bracia długo rozważali, po czyjej stronie w toczącym się konflikcie są niebiosa. Ostatecznie zdecydowali się postawić na dynastię Tang i 23 maja 621 r. zaatakowali siły Wanga, rozbijając je w pył i biorąc do niewoli bratanka

eprasa.pl 3de77bed4d



Przykłady ćwiczeń z księgi Yijin Jing FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BLOGTIENVIET.NET

samozwańczego cesarza. Tym samym przyśpieszyli kapitulację samego Wanga. Książę w ramach nagrody ponownie nadał mnichom „Włość w Cyprysowej Dolinie", a jednemu z nich zaproponował stanowisko generała w swej armii. Kiedy Li zasiadł na Tronie Smoka, monastyr z góry Song cieszył się jego opieką, podobnie łaskawie odnosili się do niego kolejni monarchowie z dynastii Tang. Pomoc okazana nowemu reżimowi okazała się dla wspólnoty z Shaolin wspaniałą inwestycją.

Część następców Taizonga nie darzyła buddyzmu sympatią, a IX w. stał się areną prześladowań – klasztory zamykano, natomiast mnichów i mniszki zmuszano do powrotu do życia świeckiego. Tylko monastyr na górze Song, z racji zasług oddanych dynastii, cały czas znajdował się pod parasolem ochronnym.

Trzeba tu jednak wyraźnie zaznaczyć, że to, iż mnisi stoczyli bitwę, bynajmniej nie świadczy o tym, że już wówczas w ich monastyrze praktykowano sztuki walki. Przez cały okres Tang źródła dotyczące monastyru nie odnotowują żadnej wzmianki o klasztorze Shaolin w tym kontekście, sławiąc za to pobożność braci i piękno okolicy. Prawdziwy wysyp wzmianek o mnichach wojownikach pojawia się dopiero dziewięć wieków później.

Mistrzowie kija

W późnym okresie dynastii Ming mnisi z Shaolin cieszyli się już ogólnonarodową sławą potężnych wojowników. Źródła z tego okresu – zarówno urzędowe, jak i literackie – pełne są wzmianek na ich temat. Właśnie między wiekami XVI a XVII zaczęła się rodzić legenda. W tym okresie obserwujemy dynamiczny rozwój chińskiej kultury popularnej. Powstały wówczas klasyczne wielkie powieści, jak „Opowieści znad brzegów rzek" czy „Kwiaty śliwy w złotym wazonie", a także cała masa innych utworów literackich mających dawać czytelnikom rozrywkę. Rozwijał się rynek wydawniczy. W herbaciarniach tłumy gromadziły się, by oglądać spektakle operowe. Wojowniczy mnisi byli doskonałymi bohaterami historii sensacyjnych. We wspomnianych „Opowieściach..." jednym z głównych bohaterów jest Wytatuowany Mnich obdarzony olbrzymią siłą i znajomością sztuk walki, który dołącza do drużyny wyrzutków i przeżywa wraz z nimi niesamowite przygody. Dodajmy, że ów „chiński braciszek Tuck" żyje bardzo nie po buddyjsku, bo żłopie wino jak smok i objada się mięsem (w tym psim).

Jednakże mir, którym otaczano członków wspólnoty z góry Song, nie brał się tylko z pogoni za rozrywką. Na przełomie wieków XVI i XVII zakonnicy odgrywali ważną rolę w systemie obrony państwa. Pod koniec rządów Mingów doszło do żenującego rozkładu sił zbrojnych. W obliczu degeneracji cesarskiej armii, na której utrzymanie coraz częściej nie było już pieniędzy, w kraju zaczęło robić się niebezpiecznie. Wybrzeże terroryzowali piraci, których zazwyczaj kojarzono z Japonią, aczkolwiek stanowili oni międzynarodowe towarzystwo. Na lądzie hulali natomiast przeróżnej maści bandyci.

Cesarze coraz częściej odwoływali się do lokalnych milicji. Mnisi wojownicy nie tylko żyli w Shaolin, lecz także właśnie zakonnicy z tego ośrodka cieszyli się renomą najlepszych ekspertów w walce. Aż do upadku dynastii w roku 1644 bracia raz za razem byli powoływani

eprasa.pl 3de77bed4d



Cesarz Tang Taizong

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NARODOWE MUZEUM PAŁACOWE W TAJPEJ

pod cesarski sztandar i brali udział w akcjach zwalczania bandytów. Odnosili przy tym tak wielkie sukcesy, że wkrótce ich sława jako niezrównanych wojowników rozlała się na cały kraj. Bracia z góry Song dysponowali już wtedy własnymi technikami walki.

Źródła z późnego okresu dynastii Ming wychwalają mnichów z Shaolin szczególnie za umiejętność walki kijem. Nie wiadomo, kiedy zaczęli ją praktykować, jednak w wieku XVI uchodzili już za mistrzów tej sztuki, a w mury ich klasztoru garnęły się tłumy chcących ją zgłębiać uczniów. Dlaczego jednak właśnie kij? Niektórzy badacze przypuszczają, że miało to związek z buddyjskim potępieniem odbierania życia. Argumentują, że drewnianym drągiem trudno kogoś uśmiercić. Teoria ta ma jednak bardzo słabe podstawy. Mnisi z góry Song, biorąc udział w akcjach zbrojnych, i tak łamali buddyjskie przykazania, a po drugie bardzo często ich kije bojowe były odlane z żelaza. Taka broń swoje ważyła i oberwanie nią kończyło się zazwyczaj dla ofiary tragicznie. Bardziej sensowne wydaje się stwierdzenie, że kij bojowy naturalnie wyewoluował z laski grzechotki stanowiącej atrybut członka buddyjskiej wspólnoty mnisiej. Służyła ona nie tylko do podpierania się, lecz także dzięki zawieszonym na niej grzechoczącym pierścieniom miała płoszyć węże, skorpiony i inny niebezpieczne zwierzęta, które wędrujący wyznawca Buddy mógł spotkać na swej drodze.

Choć nie wiadomo, od kiedy bracia z Shaolin praktykowali walkę kijem, to piśmiennictwo mingowskie jasno wskazuje, że w wiekach XVI–XVII sztuka ta miała już za sobą długą ewolucję. Autorzy zarówno podręczników wojskowych, jak i literatury pięknej uznawali, że nauczano jej na górze Song od najdawniejszych czasów. Sława shaolińskiej metody była tak wielka, że jeśli ktoś chciał się pochwalić swoimi umiejętnościami w sztukach walki, to porównywał się właśnie do mnichów z Shaolin.

Pod koniec panowania dynastii Ming w klasztorze doszło do kolejnej ważkiej zmiany. Zakonnicy zaczęli trenować się w walce wręcz bez użycia broni. Z czasem prawie zupełnie porzucili swoje kije i inny oręż, koncentrując się na technikach wykorzystujących siłę rąk i nóg. Ewolucja ta jest nieintuicyjna, w końcu sposoby walki rozwijają się w kierunku metod coraz bardziej śmiercionośnych,



Wejście do klasztoru Shaolin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GUSMILAZZO

eprasa.pl 3de77bed4d

a tymczasem zabicie przeciwnika gołymi rękami jest niezwykle trudne. O wiele lepsze efekty przynosił odchodzący teraz powoli do lamusa żelazny kij bojowy. Jeden z chińskich generałów z tego okresu w swoim podręczniku wojskowości wprost stwierdzał, że na polu bitwy sztuki walki są wręcz całkowicie bezużyteczne i tego typu techniki nadają się tylko do rozwijania tężyzny fizycznej żołnierzy. I tu zacny wódz trafił w sedno, ponieważ zakonnicy z góry Song o wiele bardziej niż na autentycznej walce koncentrować zaczęli się w swych treningach na samorozwoju – zarówno cielesnym, jak i duchowym.

Początki rządów dynastii Qing przyniosły zmianę w postrzeganiu sztuk walki. Autentyczne ciosy mieszano teraz z wywodzącymi się z taoizmu praktykami gimnastycznymi, oddechowymi czy buddyjską medytacją. W źródłach z tego okresu obserwujemy narodziny całej filozoficznej otoczki, która z ćwiczeń fizycznych czyni drogę do samodoskonalenia. I w tej właśnie formie sztuki walki dotarły ostatecznie na Zachód, uwodząc jego mieszkańców swym mistycyzmem.

Jak Feniks

W roku 1641 dziesiątki tysięcy rebeliantów pod wodzą Li Zichenga wkroczyły do Henanu, niosąc ze sobą śmierć i pożogę. Buntownicy szybko przejęli kontrolę nad prowincją. Klasztor na górze Song, słynny ze swych bogactw, stanowił dla nich łakomy kąsek. Armia żądnych łupu zbuntowanych chłopów ruszyła na Shaolin. Mnisi nie mieli najmniejszych szans – w ostatnich latach zakonnicy raz za razem odpowiadali na cesarskie wezwania i ruszali w bój, a z każdej takiej wyprawy wracało ich coraz mniej. Mimo swej sławy jako mistrzów w dziedzinie sztuk walki bracia padli pod naporem tłuszczy. Mieszkańców monastyru wymordowano, posągi obalono, by zedrzeć z nich złoto, wszelkie wartościowe dobra zostały rozkradzione, a cały kompleks klasztorny obrócono w perzynę.

Shaolin przez dekady nie mógł się podnieść z upadku. Całe lata po tym, jak w Pekinie ukonstytuowała się mandżurska dynastia Qinq, odwiedzający klasztor goście zastawali na miejscu ruinę zamieszkaną przez niedobitków, żyjących w takiej nędzy, że jeden z gubernatorów Henanu określił braci mianem żebraków. Sytuacji nie poprawiało to, że nowi władcy Chin dobrze pamiętali, jak oddani byli poprzedniej dynastii mnisi z góry Song.

Dopiero w 1735 r. cesarz Yongzheng sfinansował odbudowę monastyru. Klasztor powstał z popiołów równie piękny jak dawniej. Jednak Mandżurowie do końca swych rządów patrzyli podejrzliwym okiem na Shaolin, widząc w nim gniazdo opozycji przeciwko ich władzy. W rzeczywistości nic nie wiadomo nam o tym, aby bracia rzeczywiście angażowali się w antyrządowe akcje, lecz wielu wywrotowców, chcąc przydać sobie charyzmy, powoływało się na rzekome (zazwyczaj bardzo mętne) afiliacje ze wspólnotą. Najpotężniejsza tajna organizacja działającą za rządów dynastii Qinq – Stowarzyszenie Nieba i Ziemi – wprost uznawała za swych założycieli wychodźców z klasztoru na górze Song. Inna rzecz, że dokładna analiza zachowanych w protokołach zeznań członków triad ujawnia, że ich związki z Shaolin były czysto mityczne. Konspiratorzy często nie dysponowali wiedzą o rzeczywistym położeniu monastyru, na którego dziedzictwo się powoływali, a opiewające początki ich organizacji opowieści były całkowicie pozbawione związku z faktami historycznymi, swobodnie mieszając popularne ludowe motywy.

Władze ostatniej cesarskiej dynastii Chin niechętnie odnosiły się do wciąż praktykowanych przez mnichów ćwiczeń w sztukach walki, widząc w tych technikach potencjalne narzędzie oporu wobec nich. Gdy cesarz Qianlong pod koniec XVIII w. dowiedział się, że gubernator Henanu zatrudnił zakonników jako instruktorów swych oddziałów, udzielił mu pisemnej nagany.

W XX w. klasztor spotkały dwa nieszczęścia. Najpierw został spalony w 1928 r. w czasie tzw. ery warlordów, a później zdemolowany w trakcie rewolucji kulturalnej. Dziś, podobnie jak w czasach dynastii Tang i Ming, kompleks na górze Song znów jest oczkiem w głowie chińskich władz. A jego legenda trwa, umiejętnie podsycana przez Pekin, choć prawdopodobnie nawet i bez pomocy komunistycznego reżimu opowieść o wojowniczych mnichach fascynowałaby ludzi na całym świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Pokaz ćwiczeń hard qigong w klasztorze Shaolin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PODOBOQ

eprasa.pl 3de77bed4d



Wywiad / Z Markiem A. Koprowskim, autorem „Krwawego daru Stalina”

Sowiecka straż w porcie szczecińskim FOT. PAP/CAF

rozmawia Piotr Włoczyk

Polski Dziki Zachód

– Polak, który próbował ułożyć sobie życie na nowo, nie mógł być pewien, czy dożyje do rana czy w nocy nie pojawi się banda, żądając pieniędzy, wódki, kobiet, albo czy gospodarstwo nie zostanie zaatakowane przez niemieckich partyzantów starających się przeciwdziałać akcji osadniczej – mówi pisarz

PIOTR WŁOCZYK: Tuż po zakończeniu wojny Polacy z Kołobrzegu chcieli łowić ryby za pomocą niemieckich kutrów rybackich, ale napotkali tu niespodziewane problemy. Ta historia chyba wiele mówi o tym, jak problematyczne było przejmowanie Pomorza Zachodniego?

MAREK A. KOPROWSKI: Wszystko przez nienasycony apetyt Sowietów na wszelkie dobra, które miały jakąkolwiek wartość. Niemcy zatopili w porcie kilkanaście kutrów, ale dosyć łatwo można je było podnieść i wyremontować. Polacy kilka z nich odratowali, ale w końcu uznali, że to nie ma sensu. Tak to opisywał nowy burmistrz Kołobrzegu, Stanisław Brożek: „Szczególną bolączką jest stosunek miejscowych władz Armii Czerwonej w porcie. Dotychczas nie możemy postawić rybołówstwa na należytym poziomie ze względu na to, że każdy wydobyty z zatopienia i wyremontowany kuter rybacki zostaje natychmiast zajmowany przez portowe władze sowieckie i wywożony”.

Trudno się więc dziwić, że nawet polscy komuniści, instalujący na Pomorzu Zachodnim „władzę ludową”, mieli dość swoich „sojuszników”.

Wtedy, kilka miesięcy po zakończeniu działań wojennych na Pomorzu Zachodnim, status tych ziem nie był jeszcze uregulowany i wojska Stalina czuły się tam bardzo pewnie. I rzeczywiście, nawet polscy komuniści traktowali Sowietów jak zarazę, swoisty dopust boży. Pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego PPR w Kołobrzegu Zygmunt Kowalski tak opisywał w piśmie do swoich zwierzchników sytuację nowo przybyłych tam Polaków:

„Po przyjeździe do miasta ludzi tych ogarnia strach, gdy patrzą na gruzy i na te zniszczenia. Największą bolączką w naszym mieście są Sowieci, chodzący i robiący rewizje na własną rękę nocami po budynkach, w których mieszkają Polacy, szukają oni kobiet, a przy tym kradną, co im popadnie w ręce, i demolują mieszkania. W ogóle przeszkadzają nam w pracy na każdym kroku. Za mało jest tutaj nas, Polaków, abyśmy mogli odpowiednio zareagować na to. Polacy ze słabym charakterem po takich zajściach drugiego dnia wyjeżdżają z miasta”. Skoro w tak dramatycznym tonie opisywał zachowanie sowieckich sołdatów przedstawiciel „władz ludowych”, to sytuacja faktycznie musiała być beznadziejna.

W leżącym niecałe 20 km dalej Świeciu Kołobrzeskim odbyło się wówczas wesele polskich osadników. Na imprezę wprosiła się jednak grupa 27 kompletnie pijanych sowieckich maruderów. Co ciekawe, interweniowały nie tylko Milicja

eprasa.pl 3de77bed4d



Osadnicy w drodze na Ziemie Zachodnie i Północne FOT. PAP/CAF, STANISŁAW URBANOWICZ

Obywatelska, lecz także oddział Armii Czerwonej. Nietrudno mieć tu skojarzenia z Dzikim Zachodem...

Tak, wtedy to był nasz polski Dziki Zachód. Ten, kto miał broń, miał władzę. Gdy w latach 80. zacząłem jeździć na Pomorze Zachodnie, poznałem ludzi, którzy sami to przeżyli i opowiadali mi o tamtych czasach kompletnego bezprawia, gdzie Polak, który próbował ułożyć sobie życie na nowo, nie mógł być pewien, czy dożyje do rana czy w nocy nie pojawi się banda, żądając pieniędzy, wódki, kobiet, albo czy gospodarstwo nie zostanie zaatakowane przez niemieckich partyzantów starających się przeciwdziałać akcji osadniczej.

Wtedy w Świeciu Kołobrzeskim na pomoc weselnikom ruszyło kilku milicjantów z posterunku w Siemyślu. Wezwali jeszcze kompanię obwodową MO z Karlina, a także sowiecki oddział manewrowy z Trzebiatowa. To była długa walka – trwała kilka godzin – ponieważ sowieccy maruderzy byli dobrze uzbrojeni. Poległ wówczas zastępca komendanta posterunku w Siemyślu, zginął też jeden osadnik, a ranna została jedna osadniczka.

Oprócz „regularnych" sił sowieckich w terenie grasowało mnóstwo maruderów, dezerterów. Właściwie w każdej bitwie Sowieci notowali wielu zaginionych. Znaczna część z nich po prostu „urywała się" z oddziałów i szła do lasu. W otaczającym ich chaosie upatrywali szans na łupy i zabawienie się. Szczególnie interesowały ich kobiety, które można było – jak oni to określali – „zagospodarować". Takie bandy sowieckich dezerterów potrafiły liczyć nawet kilkaset osób! Można wręcz powiedzieć, że to oni „królowali" na obszarach, które Polacy przejmowali.

Nawet w normalnych warunkach, bez obecności Armii Czerwonej i niemieckiej partyzantki, inkorporacja tych ziem byłaby bardzo wymagająca.

Włączenie do reszty kraju terenów ochrzczonych przez komunistów mianem „Ziem Odzyskanych"





było dla nich priorytetem. Ale operacja ta okazała się trudniejsza w realizacji, niż zakładano.

Polska zaczynała tu niemal od zera. Trzeba było zorganizować aparat państwowy, osiedlić ludność polską, dokonując jednocześnie wysiedlenia Niemców. Wreszcie należało odbudować na tych terenach życie gospodarcze, przeprowadzić reformę rolną, uruchamiając podstawowe gałęzie przemysłu.

Tymczasem komendantury wojenne zgodnie z polityką Sowietów przede wszystkim zaspokajały roszczenia sowieckie. Umowa zakładała, że ziemia jest polska, ale majątek ruchomy Sowieci mogli zabrać na Wschód. I było to zagwarantowane w umowach z aliantami, ponieważ uważano to za formę niemieckich reparacji za zniszczenia dokonane w ZSRS. Wszystko, co nadawało się do rabowania, Sowieci wywozili na Wschód.

Pierwszym pełnomocnikiem rządu na Okręg Pomorze Zachodnie był Leonard Borkowicz. Co ciekawe, ponoć nigdy nie dostał on oficjalnego powołania na piśmie. Również „na gębę" został wojewodą szczecińskim...

Czekało go bardzo trudne zadanie, ponieważ całym Pomorzem rządzili Sowieci poprzez komendantury wojskowe. Ich dowódcy bezwzględnie korzystali ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Można wręcz powiedzieć, że zachowywali się jak panowie życia i śmierci.

I, co ciekawe, sowieccy komendanci godzili się na to, by w terenie wciąż działała niemiecka administracja – wójtowie czy włodarze miast. Dlatego w niektórych miejscowościach po tym, jak już przetoczył się front, Niemcy przystępowali za zgodą okupantów do przywracania swojej administracji. Wszystko to miało oczywiście dla Sowietów jeden cel – chodziło o jak najszybsze „zrestartowanie" produkcji rolnej. Stalin wyraźnie przecież rozkazał: sowieccy żołnierze muszą się sami wyżywić na zajmowanych terytoriach, ponieważ ZSRS jest zbyt zniszczony, by zapewniać swojej armii jedzenie. Dlatego komendantury sowieckie objęły swoim nadzorem majątki ziemskie na Pomorzu Zachodnim i nie trafiły one od razu w ręce Polaków. Ich niemieccy właściciele mieli teraz zapewnić żywność zwycięskiej armii. Majątki były przez kilka miesięcy prowadzone „po staremu", tylko ich produkcja – na czele z bimbrem! – szła na wyżywienie sołdatów. Sowieci traktowali Niemców jako darmową siłę roboczą i nie chcieli, żeby Polacy zbyt szybko ich wyrzucili. Bo kto miałby

eprasa.pl 3de77bed4d



Przekazanie przez władze sowieckie portu w Szczecinie stronie polskiej. Trzeci z lewej: Adam Rapacki, minister żeglugi FOT. PAP/ CAF

wtedy pracować na potrzeby Armii Czerwonej? Polaków byłoby dużo trudniej zapędzić do roboty na rzecz Sowietów.

A potem te gospodarstwa przeszły pod zarząd polski i w ich miejsce powstały PGR-y. Tylko że po drodze Sowieci wywieźli wszystko, co się dało, i dla Polaków pozostała sama ziemia z budynkami.

Wygląda na to, że symptomatyczna była sytuacja w Białogardzie. Sowiecki komendant powiatu przekazał 6 marca 1945 r. władzę w mieście Lotharowi Rudolphowi, który miał być tymczasowym burmistrzem...

I jeszcze tego samego dnia w ratuszu pojawili się Polacy – robotnicy przymusowi oraz jeńcy zwolnieni z obozu. I wywiesili na budynku biało-czerwoną flagę. Tylko że Polaków było wtedy w Białogardzie 200, a Niemców 14 tys.!

W książce przywołuje pan historię pełnomocnika z obwodu szczecineckiego, którego Sowieci wręcz upokorzyli. Z czego to wynikało?

Pełnomocnik wybrał budynek, który chciał przeznaczyć na swój urząd, ale ubiegli go sowieccy sołdaci, zajmując go dla siebie. A do tego jeszcze wtargnęli do jego mieszkania pod pretekstem „rewizji". Chodziło oczywiście o pokazanie mu jego miejsca. Sołdaci zachowywali się tak, bo kto mógł im tego zabronić?

Natomiast w gminie Dobiesław czerwonoarmiści podjęli próbę przepędzenia polskich wójtów i sołtysów. Zrzucali ze ścian polskie godła i zabronili dostarczania Polakom jakichkolwiek produktów żywnościowych.

Interpretacja wszystkich porozumień zależała na miejscu od dogadywania się komendantów wojskowych z Polski i ZSRS. Wiadomo, że Polacy nie mieli praktycznie nic do powiedzenia i o wszystkim decydowali Sowieci. We wspomnianym już Kołobrzegu stacjonował garnizon Armii Czerwonej liczący 3 tys. żołnierzy, a tymczasem garnizon polski liczył... 30 żołnierzy.



...NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH osiedliliśmy już około 4 milionów POLAKÓW. Postawiliśmy sobie plan, że do końca roku bieżącego doprowadzimy liczbę POLAKÓW na tych ziemiach do 5 milionów I PLAN TEN WYKONAMY... ZACHODNIĄ GRANICĘ POLSKI stanowi mur milionów Polaków osiadłych nad ODRĄ i NYSĄ... (Minister Ziem Odzyskanych GOMUŁKA-WIESŁAW).

Szczególnie w okolicach Szczecina polscy osadnicy, a także przedstawiciele „władz ludowych" zderzali się z problemem niemieckiego oporu. Nie dość, że zagrożeniem byli sołdaci, maruderzy, to jeszcze pojawił się Werwolf.

Działalność niemieckich grup dywersyjnych pogarszała i bez tego fatalny stan bezpieczeństwa, który utrudniał stabilizację okręgu szczecińskiego i jego integrację z resztą kraju. A przecież okręg ten był obiektem swoistej „wędrówki ludów". Tylko w pierwszej połowie 1945 r. przewinęło się przez niego ok. 6 mln ludzi. W takim chaosie łatwo było prowadzić działalność dywersyjną, utrudniać Polakom przejmowanie Pomorza Zachodniego.

Problemem było niewątpliwie to, że Niemcy z Pomorza Zachodniego, w odróżnieniu od swoich rodaków z Prus Wschodnich i polskiego – przedwojennego – Pomorza, nie uciekali masowo za Odrę. Czyżby mieli nadzieję, że mimo wszystko będą mogli tam pozostać?



MAREK A. KOPROWSKI
„KRWAWY DAR STALINA"
REPLIKA

Tamtejsi Niemcy przez dłuższy czas byli przekonani, że zachodnie ziemie nie trafią w ręce Polaków. Myśleli, że może i Niemcy będą komunistyczne, ale ich domy wciąż będą się znajdowały w granicach Rzeszy.

Niemcy starali się utrudnić wywożenie swojej ludności. Prowadzili działalność terrorystyczną, partyzancką. I trzeba też powiedzieć wprost, że wiele oddziałów Werwolfu starało się działać tak, by odpowiedzialność za ataki spadała na żołnierzy sowieckich – członkowie Werwolfu nierzadko używali mundurów sowieckich, by dodatkowo psuć relacje między nowymi gospodarzami tych terenów a Armią Czerwoną.

W rejonie Szczecina działało kilka tysięcy bandytów z Werwolfu. W samym Szczecinie, już po zajęciu miasta, nocami toczyły się regularne walki z niemiecką partyzantką. Bywały i takie przypadki, że pociągi z repatriantami ze Wschodu nie były w stanie wjechać do miasta z powodu toczących się walk – Sowieci używali w tych starciach również artylerii. Takie rzeczy działy się jeszcze latem 1945 r.!

Ale jednak mimo tych niebezpieczeństw Polacy przybywali tłumnie na Pomorze Zachodnie. Nie mieli zresztą wyjścia – wysiedlani z terenów Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny zasiedlali najpierw Prusy Wschodnie, a potem pociągi zawoziły kolejnych nieszczęśników na Pomorze Zachodnie. Między innymi moja rodzina pochodząca z Wileńszczyzny osiedliła się właśnie w Kołobrzegu i Szczecinie.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek A. Koprowski
– dziennikarz, reporter, pisarz zajmujący się zbrodniami na Polakach. Właśnie ukazała się jego najnowsza książka pt. „Krwawy dar Stalina. Powrót Pomorza Zachodniego do Polski".

eprasa.pl 3de77bed4d

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

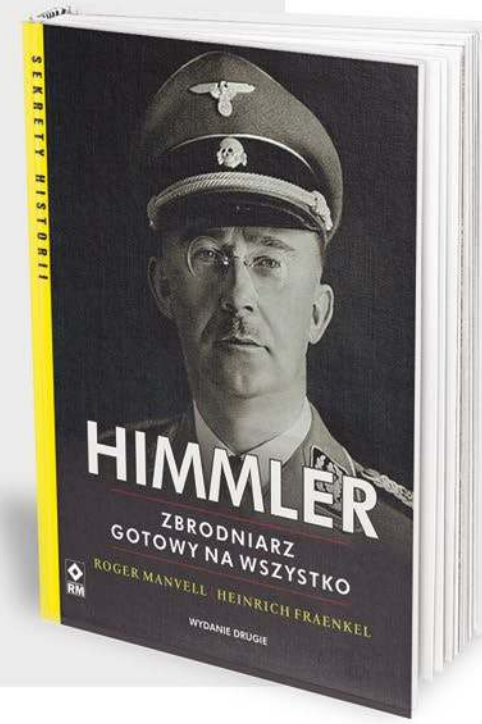
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROGER MANVELL, HEINRICH FRAENKEL:
„HIMMLER. ZBRODNIARZ GOTOWY NA WSZYSTKO"

Himmler. Zbrodniarz gotowy na wszystko

„Z perspektywy Himmlera jego osobistą tragedię stanowiło to, że choć tak bardzo pragnął sprawować rządy, to okazał się całkowicie niezdolny do przynoszącego jakiekolwiek pozytywne efekty wykorzystania posiadanej wiedzy. Choć wspomnienie jego nazwiska budziło przestrach w sercach milionów ludzi, to on sam pozostał nerwowy, wręcz bojaźliwy i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa, kiedy Hitler go krytykował. A jednak to Himmler z końcem wojny trzymał w rękach wszystkie karty atutowe, które jeszcze pozostawały nazistowskim Niemcom, i przez wielu był uważany za pewnego sukcesora Hitlera".
/Wprowadzenie, fragment/

Heinrich Himmler – szef SS i Gestapo oraz jeden z głównych realizatorów ludobójczego programu „ostatecznego rozwiązania" kwestii żydowskiej – należał do najpotężniejszych i budzących największą grozę ludzi w nazistowskich Niemczech. Autorzy tej klasycznej już biografii – w której wykorzystano między innymi zdobyte przez Amerykanów dokumenty przekazane po wojnie do Bundesarchiv (Niemieckich Archiwów Federalnych) oraz zapisy rozmów z krewnymi Himmlera i członkami jego personelu – pokusili się o wnikliwą analizę tego, jak z pozoru przeciętny młodzieniec wyrósł na ogarniętego obsesją i przesądnego człowieka, odpowiedzialnego za zgładzenie milionów ludzi.

Książka ta, pełna intrygujących informacji na temat życia osobistego Himmlera, jego poczynań i przekonań, zasługuje na miano głębokiego studium historycznego, poświęconego najbardziej mrocznej postaci spośród nazistowskich przywódców.



157 zł

oszczędność 48 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3de77bed4d



Stanisław Sławomir Nicieja na cmentarzu Łyczakowskim, przy pomniku orlęcia lwowskiego Konrada Domiszewskiego

FOT. ARCHIWUM STANISŁAWA SŁAWOMIRA NICIEI

XX w. / Dawne ziemie wschodnie Rzeczypospolitej

Ocalone z kresowej Atlantydy



Adam Hlebowicz

Stanisław Sławomir Nicieja wydobywa z czeluści zapomnienia miasta i miasteczka, o których Polacy mieli przestać pamiętać

Dwadzieścia pełnych treści i imponującej ikonografii tomów (właśnie ukazał się kolejny) to świetna okazja do podsumowania i omówienia serii „Kresowa Atlantyda". We wstępie do I tomu swego monumentalnego cyklu autor, prof. Stanisław Sławomir Nicieja, zapowiedział, o czym będzie pisał: „O krainie zatopionej w odmętach niepamięci poprzez długotrwałe działanie cenzury i milczenie, by rzekomo nie wzbudzać resentymentów do ziem przez Polskę utraconych".

Najpierw jednak był cykl publikacji ukazujący się na łamach prasy regionalnej, a następnie krajowej. To było sprawdzenie, czy ta tematyka „chwyci", czy będą ludzie zainteresowani rozmową, wymianą myśli i doświadczeń o ich ojcowiznach usytuowanych za naszą obecną wschodnią granicą. Okazało się, że tak. Jak zaświadcza autor – popłynęły do niego listy, e-maile, fotografie, przesyłki. Widać zresztą wyraźnie tę

eprasa.pl 3de77bed4d

korespondencję w każdym z tomów, w podziękowaniach dla setek osób za rozmowy i udostępnienie rodzinnych zbiorów. Ci ludzie to współautorzy niezwykłego cyklu wydawniczego. Dzięki nim poznajemy domowe historie, które są fundamentalnym elementem tamtejszych krajobrazów.

Nicieja, opisując nieistniejący już świat, skupia się jednak nie tylko na Polakach. W jego panoramie jest wiele miejsca dla innych narodowości, grup etnicznych, dla różnych wyznań. Autor patrzy przez polskie okulary, ale nie traci oglądu całości ziem i ludzi.



Stanisław Sławomir Nicieja i pisarz Jerzy Janicki we Lwowie

FOT. ARCHIWUM STANISŁAWA SŁAWOMIRA NICIEI

Jak powieść szkatułkowa

Nicieja pisze po swojemu, dobiera miejsca i postaci tak, jak mu pasuje. Przeglądając na nowo wszystkie tomy, doszedłem do przekonania, że współtwórca uniwersytetu w Opolu dostarczył nam książki, które wyglądają w środku jak atrakcyjne ilustrowane czasopisma. Ze śródtytułami, z bogatą ikonografią, treściami, które nie zawsze do siebie bezpośrednio przystają, ale które jednak stanowią zwartą i przemyślaną całość.

Jest w tych tekstach rys historyczny. Są wspomnienia mieszkańców. Nie brakuje licznych anegdot i wątków polemicznych. Najważniejsi są jednak ludzie. Ich pogmatwane losy, mające swe korzenie na Wschodzie, a potem – czasem przez łagry i więzienia – prowadzące ich nad Wisłę lub Odrę albo do dalekich krajów. Niektóre z zaprezentowanych postaci mają bardzo luźne związki z dawnymi Kresami Wschodnimi. A jednak warto je wykazywać, bo niejednokrotnie – jak głęboko ukryty atawizm – objawiają się po latach w twórczości artystycznej, różnych podejmowanych działaniach czy poszukiwaniu własnych korzeni.

Autor przyznaje się do inspiracji dziełem życia Jana Potockiego „Rękopisem znalezionym w Saragossie" – powieścią szkatułkową, gdzie toczone są różne pozornie nieprzystające do siebie opowieści, by w całości dać jednak obraz pewnego zjawiska lub obszaru. W „Kresowej Atlantydzie" opowieści różnych ludzi, zazwyczaj nie tych powszechnie znanych, powodują, że historia należycie się dopełnia. Poznajemy życie nauczycielki, kolejarza, zegarmistrza obok żywota i dokonań wybitnych mężów stanu, dowódców wojskowych, znanych i lubianych aktorów oraz innych artystów. Nicieja w tomie IX przy okazji wizyty w Pikowie, gdzie urodził się i zmarł twórca „Rękopisu...", składa hołd Potockiemu, a zarazem Wojciechowi Hasowi, reżyserowi kongenialnej adaptacji filmowej jego utworu. Gdy autor pisze: „»Rękopis« zadziwia i oszołamia nie tylko bogactwem myśli i nieprzebraną ilością barwnych postaci o pogmatwanych biografiach, ale też piętrową budową narracji – opowieści w opowieściach i mistrzostwem dygresji", niejako w najbardziej lakoniczny sposób opisuje także swoje dzieło.

Recenzenci monumentalnej pracy prof. Niciei wskazywali na pewne jej podobieństwo z dziełem Romana Aftanazego „Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej", których 11 obszernych tomów, właściwie albumów z bogatym opisem, ukazało się w latach 1991–1997. Lwowski, później mieszkający we Wrocławiu historyk sztuki przez lata gromadził materiały do swego cyklu, który do dziś jest chętnie czytany i wykorzystywany. Jedną z jego metod pracy było docieranie do potomków rodów, które zamieszkiwały dawne pałace, dwory i zamki. Nierzadko szukał ich bardzo daleko, na antypodach, w obu Amerykach, w Europie Zachodniej. Ocalił tyle, ile było wówczas możliwe. Nicieja w tomie II „Kresowej Atlantydy" wskazuje z kolei na prekursorów Aftanazego: „W swym długim, 90-letnim życiu w pojedynkę dokonał rzeczy zadziwiającej i rzadko spotykanej, bo pod względem poświęcenia się życiowej idée fixe można postawić go w jednym szeregu z etnografem Oskarem Kolbergiem czy Ludwikiem Finklem – twórcą bibliografii historii Polski".

Ja do tego zestawienia dodałbym ks. prof. Romana Dzwonkowskiego, który z podobną konsekwencją i oddaniem gromadził, zapisywał, zbierał wszystko to, co dotyczy wiary katolickiej w Związku Sowieckim w latach 1917–1991. A potem opublikował kilka fundamentalnych prac, bez których nie sposób wyobrazić sobie badań nad religijnością za naszą wschodnią granicą w okresie władzy bolszewickiej, a potem sowieckiej.

Na uwagę zasługują wstępy autorskie pisane do niektórych tomów cyklu Niciei. To jakby odrębne eseje, publikowane nierzadko wcześniej w różnych czasopismach, w których autor – co bardzo lubi – uruchamia swą polemiczną amunicję. Pisze ze swadą, argumentuje mocno, jak np. w polemice z poprawiaczami naszej historii. Jak w erudycyjnej i jakże trafnej polemice z francuskim naukowcem

eprasa.pl 3de77bed4d

prof. Danielem Beauvois. Czy też zestawiając obok siebie działalność niemieckich ziomkostw i polskich organizacji kresowych i ich wpływ na politykę obu państw, w tym także relacji polsko-niemieckich. Lub pisząc ciekawą, wnikliwą recenzję filmu Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń".

Fotografie mówią

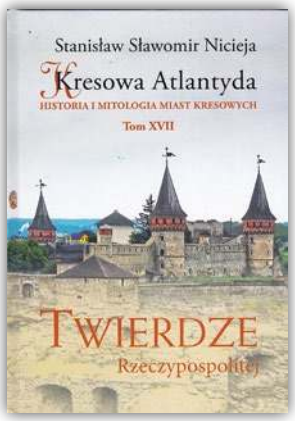
Nicieję interesuje wszystko, co dotyczy opisywanych miejsc. Mogą to być wizytówki, stare kafle piecowe, etykiety na towarach spożywczych, pieczęcie, ryciny, obrazy, fotosy z filmów. Oczywiście dominują zdjęcia pozowane, powstałe z jakiejś okazji, wydarzenia lub rocznicy. Te stare, w sepii, czarno-białe, jakże wysmakowane, dopracowane, powstałe w atelier, z odpowiednim tłem, gdy każdy kadr miał swoją cenę. Nie to, co dzisiaj, gdy za pomocą telefonu trzaska się ujęcie za ujęciem, by potem szybko o nich zapomnieć. Autor spełnia marzenie swoje, ale i wielu badaczy, którzy mają styczność ze starymi zdjęciami. Opisy publikowanych fotografii to jakby odrębne miniartykuły w tekście. Rozwikłują zagadki, kto obok kogo stoi, gdzie zdjęcie zostało zrobione, w którym roku, a niekiedy stara fotografia jest konfrontowana ze zdjęciem dużo późniejszym. Iluż z nas marzy, aby dochodzić do prawdy i rozstrzygać podobne dylematy z posiadanymi lub tylko trzymanymi w ręku fotografiami?

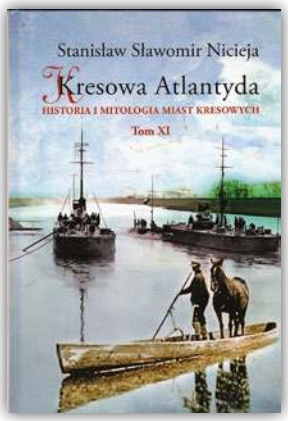
Nie ma w „Kresowej Atlantydzie" zdjęć słabych, zniszczonych, na wpół nieczytelnych. Jest natomiast całe mnóstwo fotografii, na których podstawie można by napisać duży artykuł, a w niektórych wypadkach książkę. Jak zdjęcie z tomu XVIII, na którym widzimy zespół teatralny w Gimnazjum im. Marii Konopnickiej w Ostrogu. Prawie sami dorośli. Kim byli? Lekarzami, policjantami, burmistrzami? Jakie były ich późniejsze losy? Albo unikatowe zdjęcie z tomu XIII 16-letniego Czesława Wydrzyckiego, przyszłego Czesława Niemena, zrobione przed szkołą w Starych Wasiliszkach, miejscu jego urodzenia i wczesnej młodości. Czesław siedzi za kierownicą motocykla. Ponieważ to pojazd z przyczepką, liczne koleżanki i koledzy siedzą też na pojeździe. Troje innych młodych stoi przed wejściem do budynku. Pomiędzy pierwszą grupą a drugą widać postawioną naprędce na ziemi szkolną teczkę. Wszyscy raczej uśmiechnięci. Przyszły autor utworu „Dziwny jest ten świat" nie patrzy w obiektyw, twarz ma skupioną, może myśli już o wyjeździe w nowe granice Polski.

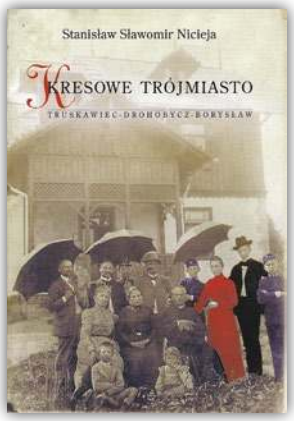
W tym aspekcie najbardziej widać współpracę autora z czytelnikami. Z jednej strony jest to okazane zaufanie do twórcy „Kresowej Atlantydy", z drugiej zaś jego umiejętność dotarcia do tych osób, przekonania ich, że warto upublicznić rodzinne zasoby i podzielić się nimi z innymi odbiorcami.

Polemiczny pazur

Są pewnie tacy, którzy utyskują, czytając dzieło opolskiego autora. Nierzadko są to nasi sąsiedzi. Po co on pisze o ziemiach, które obecnie należą do nas – Białorusinów, Litwinów, Ukraińców? Nikt przytomny tego nie neguje. Jednak przeszłość to zazwyczaj nasza wspólna historia. Nie zawsze zgodna, ale wspólna. Zresztą w wielu opisywanych miastach i miasteczkach, gdzie niekiedy widać jeszcze na murach polskie napisy, stoją imponujące rozmachem budowle lub smutne ruiny, nadal mieszkają nasi rodacy, dopisując kolejne karty polskiego losu.







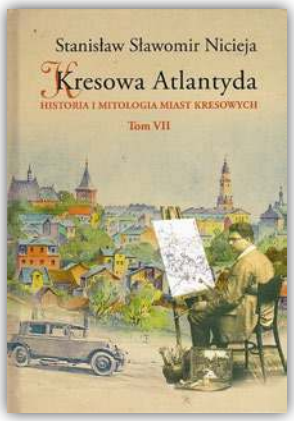
Jak w każdej pracy również tu można napotkać braki czy tezy kontrowersyjne. Słusznie pisze autor w tomie XIII na przykładzie postaci Antoniego Tyzenhauza, że w naszej historiografii pierwszeństwo mają wodzowie, generałowie, dowódcy, nawet jeśli w życiu ponosili klęskę za klęską, a nie inżynierowie, wynalazcy czy pionierzy. Tyzenhauz, postać niedoceniona za życia, mocno zapomniana dzisiaj, był prorokiem, wizjonerem, innowatorem. Autor „Kresowej Atlantydy" zapomina jednak, jakim kosztem jego sukcesy się dokonywały. Rządy podskarbiego litewskiego obaliły nie tylko intrygi, lecz także w równej mierze jego brak wyczucia społecznego (przywracanie pańszczyzny, narzucanie wysokich czynszów) i niekonsekwencja w działaniu. „Dzieło ekonomiczne Tyzenhauza było pozorną strukturą na słabych fundamentach, na dodatek wznoszoną nie bez użycia gwałtu" – napisał prof. Jerzy Jedlicki. Nie był apologetą starosty grodzieńskiego prof. Stanisław Kościałkowski, który poświęcił mu dzieło swego życia, ale opolski profesor o tych dwóch obszernych tomach wydanych w Londynie nie wspomniał w „Kresowej Atlantydzie".

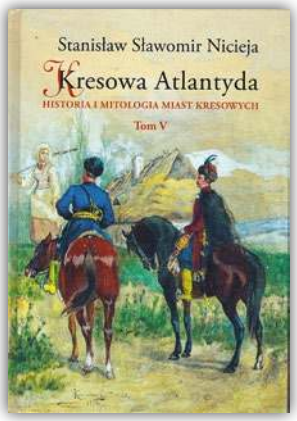
Obrona Władysława Gomułki w tomie XIII, a nawet nazywanie go „wybitnym politykiem" mogą budzić wątpliwości. Czy to I sekretarz KC PZPR na mocy swoich rozmów na Kremlu w listopadzie 1956 r. doprowadził do repatriacji (w większej części ekspatriacji) ok. 250 tys. naszych rodaków? Uwolnieni z łagrów Polacy zaczęli wracać do ojczyzny już w 1954 r. Na fali „odwilży" po śmierci Stalina coraz więcej osób, po obu stronach granicy, zaczęło domagać się od władz wyjazdu w nowe granice Polski. Gomułka był wówczas uwięziony. Jesienią 1955 r. wróciło do kraju różnymi transportami ok. 6 tys. osób. Ambasada PRL w Moskwie utworzyła w wyniku

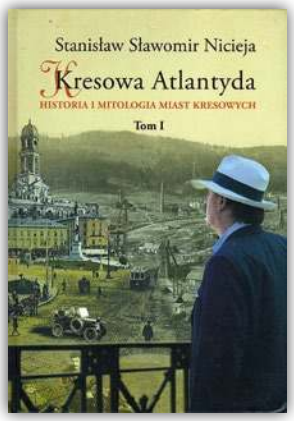
eprasa.pl 3de77bed4d

W dziele opolskiego historyka opisane są historie setek ludzi, które uosabiają losy wielu tysięcy mieszkańców Kresów

rokowań, które przeprowadzono na przełomie czerwca i lipca 1956 r. Biuro Pełnomocnika Rządu do spraw Repatriacji. Rozmowy w Moskwie pomiędzy Chruszczowem a Gomułką z 18 listopada 1956 r. były finałem pewnego procesu. Wydaje się, że nowy lider partii komunistycznej w Polsce tylko wzmógł nacisk na władze sowieckie głównie pod wpływem mocnych żądań opinii publicznej, z którą







w tym momencie bardzo się liczył. Pytań, wątpliwości, kontrowersji w 21 tomach jest więcej. To całe piękno różnorodności i płynące z niej korzyści, które mogą objawić się w ciekawym dialogu.

Jeszcze dużo pracy

W kolejnych tomach opolski historyk przedstawił 104 miejscowości, bardzo różne rangą i wielkością. Od stolic państw i regionów, jak Wilno (Wielkie Księstwo Litewskie, Litwa Środkowa, Litwa) i Lwów (Galicja i Lodomeria), do wsi, takich jak mało komu mówiące Schodnica bądź Wygadanka. W tym zestawie jedynie 10 miejscowości znajduje się na współczesnej Białorusi, dwie na Litwie, jedna w Chorwacji (Abacja, dziś Opatija, na skutek częstych odwiedzin tego kurortu przez Polaków z zaboru austriackiego). Reszta, czyli 91 opisywanych miejscowości, znajduje się dziś na Ukrainie, przede wszystkim w jej zachodniej części. Ta statystyka pokazuje, gdzie ulokowane jest serce autora. Choć niczego nie można przesądzać, wszak cykl nie jest zakończony – wiele stronic można jeszcze dopisać. W czasie zaledwie 12 lat powstało i zostało opublikowanych 21 tomów. Rzadko który autor ma takie tempo, a także sukces czytelniczy.

O których miejscach autor jeszcze nie napisał? Z większych miast na samej Ukrainie nie ma choćby Żytomierza, Płoskirowa (Chmielnickiego), Winnicy, Zwiahla, Korostenia, Sławuty, Starokonstantynowa, Połonnego, Krasiłowa, Wołoczysk. A przecież można w marzeniach pójść dalej. Kijów i Odessa mają bardzo bogate polskie karty, choć tylko to pierwsze miasto należało niegdyś do Rzeczypospolitej. Odnajdziemy niezwykłe polskie historie w Charkowie, Zaporożu, w Humaniu i Białej Cerkwi. Oczywiście więcej do opisania jest jeszcze na Białorusi i Litwie. Baranowicze, Bobrujsk, Brześć, Lida, Mińsk, Mohylew, by wymienić tylko większe miasta. Na Litwie – miejscowości Wileńszczyzny, do tego Kowno, Połąga, Poniewież, Kiejdany. Profesor Nicieja ma jeszcze nad czym pracować.

Może zaskakiwać, że autor opowieść o Lwowie pomieścił w jednym, pierwszym tomie, razem ze Stanisławowem, Tarnopolem, Brzeżanami i Borysławiem. Zapewne był to naturalny wybór, żeby najpierw opisać miasto, które się najlepiej poznało. Ale to był początek serii i być może sam wtedy jeszcze nie do końca wiedział, jak daleko dotrze w swojej podróży. Z perspektywy lat można żałować, że o Lwowie nie powstał odrębny tom, jak tom XV o Wilnie. Natomiast Stanisławów został opisany dwukrotnie, w tomach I i XIV. Stało się to pod wpływem głosów czytelników, którzy zasypali autora nowymi wiadomościami i ciekawą ikonografią.

W dziele opolskiego historyka opisane są historie setek ludzi, które uosabiają losy wielu tysięcy mieszkańców Kresów. Autor ma poczucie, że się spóźnił, gdyby bowiem zabrał się za swoje opus magnum 20–30 lat wcześniej, mnóstwo innych życiorysów udałoby się ocalić. Można na to spojrzeć jednak z drugiej strony. To, co Nicieja zawarł w swych 21 tomach, zostało wyniesione z pożogi upływającego czasu, uratowane przed niepamięcią.

Wszystkie tomy „Kresowej Atlantydy" to inspiracja dla wnuków, prawnuków, dałby Bóg – także następnych pokoleń. Głęboko wierzę, że również dla naszych pobratymczych sąsiednich narodów, w tym także mocno związanych z polską kulturą Karaimów, Ormian, Tatarów i Żydów.

Praca historyka nie może poprzestawać jedynie na archiwach. Jednak sam dokument, bez wypełnienia go nastrojem, duchem, intencjami, często będzie martwy. Oczywiście można podać suche fakty, przytoczyć statystyki, jeśli jednak nie będzie w publikacji próby odpowiedzi na podstawowe pytanie badacza, jak to naprawdę było – a nie jest to możliwe bez poznania źródeł narracyjnych – taka praca pozostanie niepełna, nieukończona.

Kiedy autor „Kresowej Atlantydy" znalazł na to wszystko czas? Na napisanie tekstów, na przejrzenie fotografii, na przeczytanie książek, niekoniecznie historycznych, na obejrzenie filmów. U Niciei następuje erupcja twórczości jak z wulkanu. Przelewa wszystko, co zobaczył, czego osobiście doświadczył, co dostrzegł na szklanym ekranie bądź w Internecie, kogo spotkał, z kim rozmawiał. Oby ta erupcja trwała jak najdłużej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

eprasa.pl 3de77bed4d



Prezydent Ronald Reagan odczytuje swoje stanowisko w sprawie Iran-Contras. Pierwszy z lewej: sekretarz obrony Caspar Weinberger FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WHITE HOUSE PHOTOGRAPHIC COLLECTION

Lata 80. XX w. / Afera na pół świata

Reagan, dolary i rakiety



Piotr Semka

Pieniądze od jednego wroga Stanów Zjednoczonych posłużyły do zwalczania drugiego. Tajna operacja CIA skończyła się olbrzymim skandalem

W tej sprawie splotły się prawie wszystkie namiętności lat 80.: obawy ówczesnej administracji Białego Domu przed zdobywaniem przez komunistów przyczółków w krajach Trzeciego Świata, nieufność Amerykanów wobec tajnych akcji CIA i wreszcie problem obracania przez tę agencję ogromnymi sumami bez kontroli Kongresu. W tle były krytycznie przyjmowana przez amerykańskie elity polityczne kwestia handlu bronią z Iranem i piętrowe intrygi izraelskiego wywiadu. Słowem – klasyczna wielopoziomowa afera z udziałem polityków z obozu republikanów i demokratów.

A do tego wszystkiego dochodził jeszcze zachwyt amerykańskich konserwatystów nad ppłk. Oliverem Northem – oficerem ucieleśniającym ideał twardego wojskowego ratującego interesy Ameryki przy kompletnym niezrozumieniu przez polityków, w jak groźnej sytuacji znajdują się USA.

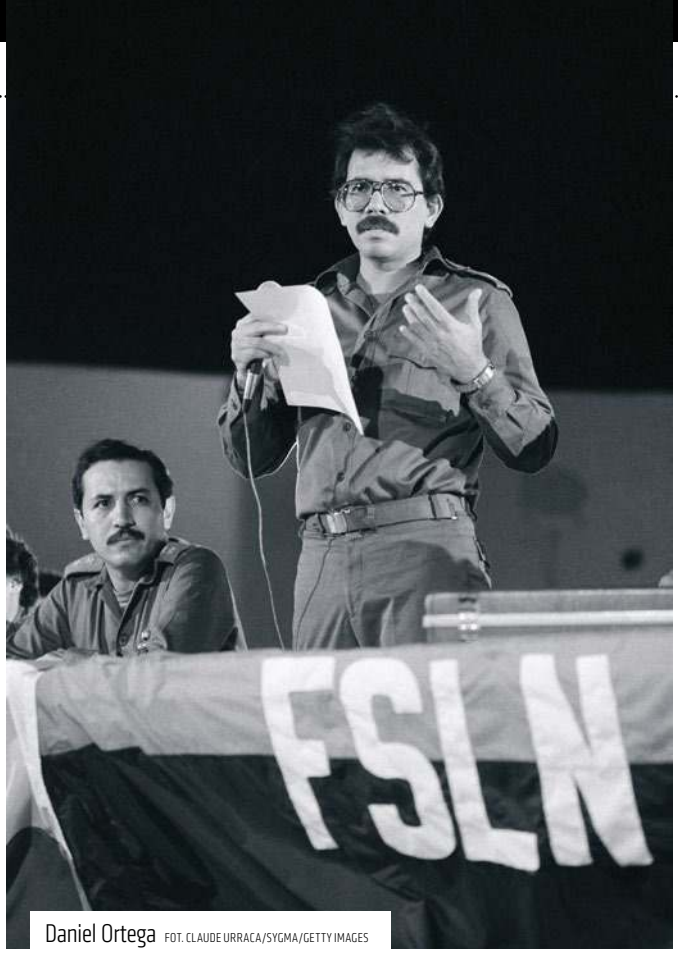
Czerwona Nikaragua

W 1979 r. w Nikaragui upadł reżim brutalnego dyktatora Anastasia Somozy Debayle, wodza bezwzględnego politycznego klanu, który swoją korupcją i brutalnością ściągnął na siebie nienawiść większości Nikaraguańczyków.

Ekipa Somozy była tak skompromitowana, że gdy upadła, wielu obserwatorów w USA odetchnęło z ulgą. Szybko okazało się jednak, że nowa władza utworzona przez działaczy Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FSLN) zaczęła iść drogą, którą dwie dekady wcześniej wybrała Kuba. Nieprzypadkowo zresztą to właśnie wysłannicy Fidela Castro szybko pojawili się w Managui – nikaraguańskiej stolicy. Rozpoczęła się nacjonalizacja przedsiębiorstw, a doradcy z Hawany uczyli elitę FSLN, jak tworzyć tajne służby. Kierowana przez sandinistę Tomása Borge nikaraguańska bezpieka brutalnie zwracała się przeciwko każdemu krytykowi.

Amerykańscy postępowcy z pokolenia, które w młodości zachwycało się Che Guevarą, brali za dobrą monetę deklaracje rewolucyjnej ekipy z Managui na temat chęci zreformowania kraju. Progresiści z Nowego Jorku czy San Francisco przyjeżdżali do Nikaragui oglądać ambitny program walki z analfabetyzmem, zapewnianie ubogim opieki

eprasa.pl 3de77bed4d



Daniel Ortega FOT. CLAUDE URRACA/SYGMA/GETTY IMAGES

zdrowotnej i sukcesy w modernizacji rolnictwa. Z Ameryki wyjechało wtedy do Nikaragui wielu ochotników – nauczycieli i lekarzy – którzy za skromne wynagrodzenie uczyli nikaraguańskie dzieci lub leczyli w tamtejszych szpitalach.

Z kolei postępowych katolików amerykańskich uwodził Ernesto Cardenal, członek nowego rządu, zbuntowany jezuita. Był on typowym przedstawicielem generacji kapłanów porwanych przez idee teologii wyzwolenia. Ten uczeń lewicującego zakonnika i poety Thomasa Mertona przeżył fascynację rewolucyjnymi hasłami, żyjąc w klasztorze Trapistów Marii z Getsemani w Bardstown w stanie Kentucky, by potem na studiach teologicznych w Meksyku chłonąć ideały „Chrystusa z karabinem na ramieniu". Po powrocie do Nikaragui związał się z FSLN, następnie został wysłany na Kubę, a po zwycięstwie swoich kolegów z frontu Sandino wrócił do Managui, by objąć funkcję ministra kultury w nowym rządzie. Ksiądz Cardenal, niczym w ZSRS w latach 30., woził swoich gości do wybranych wzorcowych szkół, szpitali i klasztorów, zapewniając ich, że sandinistowska władza zapewnia wszystkim pełne swobody obywatelskie.

W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Tylko Sandinistowski Front Wyzwolenia Narodowego mógł swobodnie działać, a wszyscy inni byli spychani na margines. Nowa ekipa znalazła zresztą wewnętrznego wroga. Indianie Miskito, żyjący na zachodnim wybrzeżu Nikaragui, zostali uznani za element kontrrewolucyjny i poddani brutalnym represjom. Wielu Indian Miskito zamordowano, a resztę w ramach karnej operacji przesiedlono w głąb kraju.

Zalążkiem oporu stali się członkowie Nikaraguańskiej Gwardii Narodowej, która w czasach Somozy była zapleczem jego władzy. Tworzyli oni grupy zbrojne w najbardziej niedostępnych rejonach dżungli lub przechodzili do sąsiedniego Hondurasu, gdzie zakładali obozy szkoleniowe partyzantki antykomunistycznej nazywanej Contras. Obiegowo nazywano tak siły antysandinistowskiego sojuszu Fuerza Democrática Nicaragüense (FDN). Ich liderzy poprzez przedstawicieli nikaraguańskiej emigracji w USA występowali do administracji Ronalda Reagana z prośbami o pomoc.

Misja od Boga

Amerykański prezydent szybko zainteresował się ruchem oporu wobec komunistycznego reżimu z Managui. Reagan uważał przecież, że zatrzymanie ekspansji sowieckiej jest misją daną mu przez Boga.

Epoka Reagana naznaczona była determinacją, by cofnąć logikę kolejnych przewracających się na stronę sowiecką kostek politycznego domina. W latach 70. Sowieci uzyskali spore wpływy nie tylko na Kubie, lecz także w byłych portugalskich koloniach w Afryce (w Angoli i Mozambiku), zainstalowali przyjazny sobie reżim w Somalii, gdzie kontrolowali strategiczne cieśniny, po których krążyły tankowce z ropą, i wreszcie najechali Afganistan.

Nikaragua była drugim po Kubie przyczółkiem Sowietów na terenie Ameryki Łacińskiej. W nieodległym Salwadorze bardzo szybko rozprzestrzeniała się partyzantka marksistowska pod wodzą Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Marti. W 1983 r. Front zajął 12 salwadorskich miast i na opanowanych terenach zaczął wprowadzać rewolucyjną administrację. W tej sytuacji amerykańscy stratedzy zaczęli obawiać się, że po utracie Nikaragui komunizm może zainfekować Salwador, a potem Kostarykę i wreszcie zagrozi Panamie. A przecież ten kraj, z racji kanału łączącego Atlantyk i Pacyfik, był dla Ameryki pierwszorzędnym punktem strategicznym w całym regionie. Przekonanie, że czerwony pożar można powstrzymać, uległo wzmocnieniu, gdy w październiku 1983 r. marines wylądowali na karaibskiej wysepce Grenada i obalili tamtejszy marksistowski rząd wspierany – jakżeby inaczej – przez Kubańczyków.

Reagan uznał, że kolejnym krajem, który może wyzwolić się własnymi siłami – choć przy wsparciu USA – spod władzy komunistów może być właśnie Nikaragua. Tyle tylko, że próba zalegalizowania w 1984 r. formalnej pomocy dla partyzantki Contras nie przeszła w Kongresie. Postępowe elity atakowały kontrrewolucjonistów, nazywając ich formacją założoną z popleczników dyktatora Somozy, i oskarżały ich o dokonywanie mordów na nikaraguańskich nauczycielach i lekarzach.

Ostatecznie kongresmeni nie wyrazili zgody na finansowanie czegoś, co uważali za podejrzaną i awanturniczą operację CIA w kraju, który miał zresztą złe tradycje interwencji Amerykanów w okresie międzywojennym.

Przedstawiciele administracji Reagana na próżno tłumaczyli, że w latach 20. i 30. amerykańskie interwencje związane były z interesami koncernów produkujących tam owoce, natomiast tym razem chodzi o walkę, która miała dać

eprasa.pl 3de77bed4d



Posiedzenie komisji Kongresu do spraw zbadania afery Iran-Contras

FOT. NEW YORK DAILY NEWS ARCHIVE/GETTY IMAGES

Nikaraguańczykom prawo do decydowania o swoim losie. Kongres w myśl tzw. poprawki Bolanda nie zgodził się jednak na finansowanie uzbrajania przeciwników reżimu w Managui.

Na własną rękę

Reagan zaczął się zastanawiać, jak znaleźć środki, aby nie pozostawić Contras na pastwę losu. I wtedy pojawił się pomysł dyskretnej operacji CIA i dyplomacji, która związana była z innym obszarem, uważanym przez USA za strategicznie ważny. Na Bliskim Wschodzie od początku lat 80. trwała zapomniana dziś wojna Iraku z Iranem. Choć Ameryka zaznała wielu upokorzeń ze strony zdominowanego przez ajatollahów rządu w Teheranie, na czele z trwającą w latach 1979–1981 okupacją ambasady USA i więzieniem jej pracowników, to amerykańskich strategów zaczęła niepokoić wizja wygranej Iraku. Tym bardziej że ekipa ajatollaha Chomeiniego zawiesiła na razie działania przeciwko Ameryce. W kręgach decyzyjnych w CIA pojawił się wtedy pomysł potajemnego sprzedawania Iranowi nowoczesnej broni, na czele z rakietami. Iran bardzo ich potrzebował do zatrzymania ofensyw Saddama Husajna. Wyjątkowo sprawnym pośrednikiem w kontaktach na linii Waszyngton – Teheran okazał się Manucher Ghorbanifar, międzynarodowy handlarz bronią.

Taka współpraca z państwem ajatollahów miał w zamyśle niektórych amerykańskich dyplomatów przyczynić się dodatkowo do zwolnienia zakładników porwanych i przetrzymywanych przez Hezbollah w Libanie.

Sekretarz obrony Caspar Weinberger był jednak przeciwny tego typu pomysłom. Podobnie krytyczny był sekretarz stanu George Shultz, który podkreślał, że Iran to państwo sponsorujące grupy terrorystyczne. Ale gorącym zwolennikiem tej operacji był dyrektor CIA William J. Casey. Uważał on, że broń potrzebną do prowadzenia wojny z Irakiem Iran może kupić od Sowietów, a to rodziło obawy o uzależnienie Teheranu od Moskwy.

Rakiety miały ocieplić relacje Iranu z USA. Co ciekawe, projekt ten uzyskał wsparcie także ze strony premiera Izraela Szymona Peresa, który miał swój interes we wspieraniu Iranu. Żydzi uważali wtedy Irak Husajna za większe niż Iran zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa.

Plan dostarczania broni do Teheranu, szczególnie rakiet TOW i pocisków przeciwlotniczych Hawk, zyskał kryptonim Enterprise. Zaczął on nabierać konkretnych kształtów w trakcie narad prezydenta Reagana z wysokimi urzędnikami CIA w lipcu i sierpniu 1985 r. Amerykanie mieli jeszcze jeden powód, aby zgodzić się na sprzedaż broni Iranowi. Otóż wiązali spore nadzieje z Akbarem Haszemim Rafsandżanim, liderem umiarkowanej frakcji we władzach Iranu i bardzo popularnym przewodniczącym irańskiego parlamentu, uważanym za potencjalnego następcę Chomeiniego.

Do dziś nie jest jasne, czy Rafsandżani naprawdę chciał odprężenia w relacjach z Waszyngtonem czy też po prostu zwodził wysłanników z Waszyngtonu, chcąc ich potem po cichu skompromitować. Rozmowy z Iranem w sprawie sprzedaży rakiet doprowadziły do dostaw broni w czerwcu i październiku 1986 r. Amerykanie otrzymali od Irańczyków 100 mln dol., z czego partyzantka Contras dostała 48 mln dol. Aktywność nikaraguańskich antykomunistów natychmiast wzrosła.

Skandal

Nie udało się jednak uniknąć przecieków. Jako pierwszy układ Waszyngtonu z Teheranem ujawnił w listopadzie 1986 r. libański magazyn „Ash-Shiraa". Stało się to światowym wydarzeniem. Plotki o targach z Iranem zaczęły się wydostawać także z okolic administracji Reagana. Natychmiast spora część Amerykanów wyraziła oburzenie, dobrze pamiętając o niedawnym upokorzeniu USA przez Iran.

Temat podjęły amerykańskie media i w końcu Reagan musiał stanąć przed kamerami. Gospodarz Białego Domu stwierdził, że chociaż transfery broni rzeczywiście miały miejsce, to USA nie wymieniły jej za zakładników Hezbollahu w Libanie.

Natychmiast odnotowano oczywisty fakt, że transakcja była złamaniem zakazu sprzedaży broni krajom wspierającym terroryzm i stanowiła pogwałcenie nałożonego na Iran embarga. Z kolei finansowanie Contras było złamaniem zakazu Kongresu z 1984 r. Demokraci i ci republikanie, których paktowanie z Iranem głęboko oburzyło, przeforsowali wspólnie powołanie komisji Kongresu, która zaczęła wzywać świadków.

Sprawę badał więc z jednej strony Kongres, który powołał specjalną komisję śledczą, a z drugiej strony zajmowała się nią tzw. komisja Towera powołana przez prezydenta USA. Dodatkowo w grudniu 1986 r. Lawrence Walsh, zastępca prokuratora generalnego USA, mianowany został na stanowisko tzw. Independent Counsel – niezależnego śledczego, aby ocenić odpowiedzialność urzędników administracji Reagana za całą sprawę.

Najwięcej emocji wzbudziło przesłuchanie przed komisją kongresu

eprasa.pl 3de77bed4d

ppłk. Olivera Northa, który jako funkcjonariusz CIA i doradca wojskowy Rady Bezpieczeństwa Narodowego był istotną postacią w całej sprawie. North oczywiście nie chciał ujawniać całości sprawy, zasłaniając się interesami bezpieczeństwa USA, ale zdołał przekonać sporą część amerykańskiej opinii publicznej, że państwo zmuszone jest niekiedy do działania na granicy prawa, gdy wymaga tego interes USA.

„Żyjemy w bardzo niebezpiecznym świecie" – North wypowiadał te słowa w niezwykle wiarygodny sposób, wpływając na słuchaczy. Oficer ten był potem niezwykle popularną postacią po prawej stronie amerykańskiej opinii publicznej i został w końcu szefem wpływowej National Riffle Association (NRA). Ostatecznie kilkadziesiąt osób, na czele z sekretarzem obrony Casparem Weinbergerem i ppłk. Oliverem Northem, zostało postawionych w stan oskarżenia. Na 11 wyroków skazujących część została uchylona w wyniku apelacji, a pozostali skazani zostali ułaskawieni już podczas prezydentury George'a Busha seniora, który w czasie sprawy Iran-Contras był wiceprezydentem.

Teflonowy prezydent

Reagan wyszedł z całej afery stosunkowo mało poszkodowany. Jego biografowie wskazują, że najlepszym doradcą głowy państwa była żona Nancy, która namówiła męża do publicznych przeprosin i zrzucenia winy na podwładnych. Sam Reagan zasłaniał się także lukami w pamięci. Prezydent dokonał zmiany na stanowisku szefa CIA – został nim William H. Webster, wcześniej dyrektor FBI. Podczas przesłuchania w Senacie Webster wygłosił przemówienie, które zapadło w pamięć kongresmenów. Wskazał w nim podstawowy morał, który wynika ze sprawy Iran-Contras.

„Wśród coraz bardziej skomplikowanych arsenałów na całym świecie – jak pisał sir William Stephenson, szef brytyjskich służb wywiadowczych [na półkuli zachodniej – przyp. red.] w czasie drugiej wojny światowej – wywiad jest podstawową bronią, być może najważniejszą.



Pułkownik Oliver North FOT. BETTMAN/GETTY IMAGES

Ale właśnie pozostawanie w ukryciu rodzi największe niebezpieczeństwo. Trzeba opracować mechanizmy zapobiegania nadużyciom, nieustannie je poprawiać i bezwzględnie ich przestrzegać. Jak w każdym przedsięwzięciu, tak i tu decydujące są charakter i mądrość tych, którzy je nadzorują. Na tym zasadza się cała nadzieja wolnych ludzi na przetrwanie i zwycięstwo".

Oddziały Contras nie zdołały obalić ekipy sandinistów. Dopiero gdy w 1990 r. ostatecznie rozpadło się sowieckie imperium, rozpoczął się powolny proces demokratyzacji Nikaragui. Jednak powrót do zasad wolnorynkowych spowodował wybuch niezadowolenia społecznego i nostalgii za czasami, gdy było biednie, ale przynajmniej równo. Wygrana wspieranej przez USA Violetty Chamorro, liderki antysandinistowskiej opozycji, nie była trwała. W kraju, który odsunął od siebie komunizm, drastycznie wzrosła korupcja, a następca Chamorro – prezydent Arnoldo Alemán – stanął wobec zarzutów defraudacji publicznych funduszy. W 2006 r. wybory prezydenckie znów wygrał Daniel Ortega, były szef dawnej sandinistowskiej ekipy. Szybko zyskał popularność, wprowadzając na nowo bezpłatną służbę zdrowia i edukację. Do Nikaragui ponownie przybyli lekarze i nauczyciele z Kuby. A Ortega dokładnie tak samo jak w latach 80. wprowadził faktyczną dyktaturę, ubezwłasnowolnił parlament i oskarżany jest o fałszerstwa wyborcze. Nic nie wskazuje na to, by ekipa Ortegi łatwo oddała władzę.

Afera Iran-Contras rzuciła cień na drugą kadencję Ronalda Reagana. Nawet najbardziej przychylni mu biografowie wolą raczej sugerować, że prezydent nie o wszystkim był informowany, niż bronić samej idei prowadzenia rozmów z Iranem. Faktem jednak pozostaje, że ta sprawa nie spowodowała większego spadku zaufania Amerykanów do gospodarza Białego Domu. A wręcz przeciwnie. I to właśnie wtedy liberalne media, rozczarowane tym, że Reagan nie został całkowicie skompromitowany, ukuły złośliwy termin „teflonowy prezydent".

Była to metafora oddająca przekonanie, że osobista wiarygodność Reagana była tak duża, iż większość Amerykanów uznała najbardziej skandaliczne aspekty afery po prostu za wynik braku wiedzy pierwszego obywatela USA. Skwapliwość, z którą następca Reagana, prezydent George Bush senior, ułaskawiał urzędników CIA i wojskowych zamieszanych w aferę, wskazuje, że skrupulatnie zadbano, by różne fakty dotyczące bezpieczeństwa Ameryki nigdy nie wypłynęły na wierzch. „Deep state" ma swoje nienaruszalne prawa...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Partyzanci Contras, 1987 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TIOMONO

eprasa.pl 3de77bed4d



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, VINCENZ.PL

eprasa.pl 3de7bed4

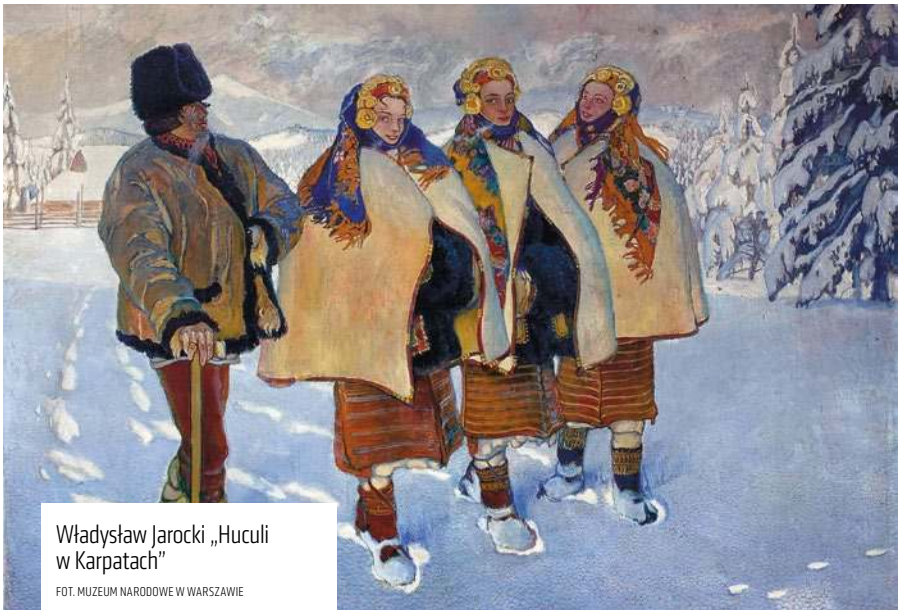
1888–1971 / Stanisław Vincenz

Mędrzec z Huculszczyzny



Krzysztof Masłoń

Nazywano go „odnowicielem” i „lekarzem dusz ludzkich”. Po jego śmierci Józef Czapski napisał w „Kulturze”, że właśnie dzięki takim ludziom polska emigracja nie zdziczała



Władysław Jarocki „Huculi w Karpatach”

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Był badaczem kultury i filozofem, tłumaczył na polski Walta Whitmana i Fiodora Dostojewskiego. Literaturę czytał w oryginale – w 14 językach, pisał potem świetne eseje, choćby o Homerze czy Dantem. Ale nade wszystko był piewcą swojej małej ojczyzny – Huculszczyzny. To na jej krańcu, w Słobodzie Rungurskiej, w roku 1888 przyszedł na świat ten twórca niezwykłego dzieła, którym jest „Na wysokiej połoninie” – Stanisław Vincenz.

Z natury jednak – twierdził Czesław Miłosz – „był gadaczem, a nie pisarzem”. Poeta podpowiadał, że należy czytać go tak: „Trzeba chyba wyobrazić sobie, że siedzi się w półciemnej komnacie, patrząc na ogień trawiący grube bierwiona na kominku i słuchając opowieści o krajach, o ich rzekach, górach i bogach, o spotkaniach z dawnymi poetami i filozofami”. Często nader nieoczywistymi, bo w końcu to w jego stronach żył wiejski mędrzec, Baal Szem Tow, czyli Mistrz Imienia. Dla Vincenza chasydyzm był czynnikiem formującym huculską cywilizację na równi z pasterstwem. Mowa członków tej cywilizacji była gwarą powstałą z południowo-zachodniego zespołu dialektów języka ukraińskiego. Huculi nie mieli świadomości narodowej, uważali się po prostu za ludzi „tutejszych”. Zajmowali się, rzeczywiście, głównie pasterstwem i hodowlą bydła. Na wysoki poziom wznieśli swoją sztukę, w tym tańce z przyśpiewkami, tzw. kołomyjkami, w XIX w. popularnymi nawet w Europie Zachodniej.

W „Na wysokiej połoninie” [pierwszy tom cyklu – „Prawda starowieku” – ukazał się w 1936 r., drugi – „Zwada” – w 1970 r., a „Listy z nieba” (1974) i „Barwinowy wianek” (1979) dopiero po śmierci autora) znajdujemy zapisy niektórych z tych pieśni śpiewanych we wschodniej części Karpat, do Białego Czeremoszu. Takich np.:

Na wysokij połoninie
Baranczyk wid mamy
Zahuływsy, załyszywsy
Taj piszow w switamy.
Swit czużynoczka, brat ni sestryczka, nichto ne zowe,
Nema z kim żyty, hnaty – tużyty z wamy witrowe!
(Na wysokiej połoninie / Baranek od mamy /
Zabłąkał się, zagubił się / I poszedł światami.
Świat – obczyzna, brat ni siostrzyczka, nikt nie

eprasa.pl 3de77bed4d

wzywa / Nie ma z kim żyć, pędzić – tęsknić z wami, wiatrowie!).

Czegoż w tej wielkiej sadze, którą jest „Na wysokiej połoninie", nie znajdziemy! Są tu mitologia i kosmogonia, wierzenia, drobiazgowe opisy przyrody, są historia regionu i to, co najważniejsze – światopogląd huculski, tylko pozornie nieskomplikowany.

Zabieg wart trudu

Skąd się wziął ten dobry Polak o niepolskim nazwisku na ziemi, na której wpływy ukraińskie mieszały się z węgierskimi, żydowskie z ormiańskimi, słowackie z wołoskimi, czeskie z austriackimi, a cygańskie z... po prostu tutejszymi? Bo tak właśnie mówili o sobie Huculi, protestując, gdy Ukraińcy koniecznie ich chcieli uznać za swoich. Vincenzowie przywędrowali tam z Francji. Przyszły autor „Na wysokiej połoninie" nie do końca serio wywodził genealogię swego rodu z arystokracji, przekaz ten jednak „nie wytrzymał konfrontacji z dostępnymi w okresie cyfryzacji zasobami archiwalnymi", co stwierdza Mirosława Ołdakowska-Kuflowa w wydanej kilka miesięcy temu książce „Od dawności do bezczasu. O twórczości Stanisława Vincenza". W każdym razie jego pradziadek był bibliotekarzem Uniwersytetu Lwowskiego, natomiast – co ważniejsze – ojciec, Feliks Euzebiusz Vincenz, bliski współpracownik działacza społecznego Stanisława Szczepanowskiego, posiadał szyby naftowe zarówno w Słobodzie Rungurskiej, jak i w Kosmaczu, co zapewniało rodzinie więcej niż dostatnie życie.

Matka Stanisława Vincenza – Zuzanna – z domu była Przybyłowska. Do jej ziemiańskiej rodziny należała Krzyworówna w powiecie kosowskim i tam właśnie bohater naszej opowieści spędził dzieciństwo. Uczył się w szkołach w Stryju i Kołomyi, gdzie w 1907 r. zdał maturę. Siedem lat później, po odbyciu gruntownych studiów w Wiedniu, zwieńczył uniwersytecką edukację doktoratem z filozofii.

Na studiach poznał elitę intelektualną Wiednia, bywając w salonie prof. Emile'a Richarda Zuckerlanda. Będzie potem przez całe życie stwarzać w swoich domach atmosferę podobną tamtej, zapraszając do siebie bliższych i dalszych znajomych celem wymiany myśli. Tak będzie i na Huculszczyźnie, i po wojnie – na emigracji, gdy we Francji, w La Combe-de-Lancey, zgromadzi wokół siebie istną „prywatną akademię platońską".

Po jego śmierci Józef Czapski w „Kulturze" napisał: „Jeżeli nie zdziczeliśmy wszyscy na naszych wyspach oddalonych, nie o geografię tu chodzi, zawdzięczamy to paru ludziom wśród nas – miary Stanisława Vincenza – którzy byli naszym sumieniem historii, bo sobą realizowali pewną polską, a jednocześnie najbardziej uniwersalną tradycję, jej nurt najcenniejszy, niezarażony ani naszą pychą, ani żadną wolą podporządkowania sobie kogokolwiek".

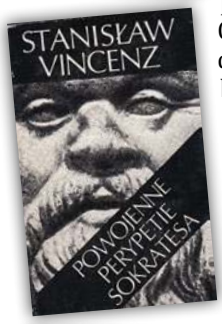
„Czapski wydobył we wspomnieniu o Vincenzie – pisała w »Szkicach o literaturze emigracyjnej« Maria Danilewicz-Zielińska – istotną cechę jego pisarstwa. Jest nią stosowanie »nieśpiesznego czasu górskiego«. Tok jego wypowiedzi jest powolny, czytanie ich wymaga na pierwszym etapie, przed zawarciem intymnej znajomości, cierpliwości i przestawienia się na niedzisiejsze tempo odbioru dzieła literackiego. Zabieg wart trudu".

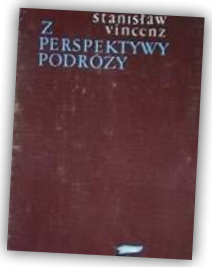
Kazimierz Wierzyński – pisała dalej Maria Danilewicz-Zielińska – „nosił w portfelu złą amatorską fotografię Vincenza i pokazywał mi ją wielokrotnie, twierdząc, że nawet spojrzenie na nią ukaże mi wielkość i niepowtarzalność tego »odnowiciela« i »lekarza dusz«. To samo określenie padło z ust nauczyciela szkoły powszechnej, który zetknął się z Vincenzem na Węgrzech, gdzie sprawował obowiązki opiekuna uchodźców od 1940 r. Później w La Combe w Sabaudii górski dom Vincenza osłonięty rozłożystą wiśnią był, najdosłowniej, miejscem pielgrzymek. Przyjmował wszystkich jak bliskich. »Nie pamiętam człowieka, którego bym poznał i wobec którego bym nie czuł, że mógłby być moim przyjacielem« – wyznał Eliane Thiercelin (co zapisał Czapski)".











Wśród polskich uchodźców

Wybiegliśmy daleko naprzód, tymczasem cofnąć się trzeba jeszcze do pierwszej wojny światowej. Powołany został wtedy w stopniu podoficerskim do armii Austro-Węgier, walcząc na froncie pod Haliczem, a następnie we włoskich Dolomitach. „Wojna stała się dla przyszłego pisarza – zauważa Mirosława Ołdakowska-Kuflowa – przyczyną nieszczęść i strat. W Dolomitach zginął jego najbliższy przyjaciel z lat szkolnych, Max Gruber, w Krzyworówni spłonął dwór dziadka wraz z cenną biblioteką zawierającą wiele rzadkich druków. Stanisław, wnuk właściciela cennego księgozbioru, miał go otrzymać w spadku".

W 1919 r. Vincenz zgłosił się ochotniczo do Wojska Polskiego, biorąc udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Po demobilizacji osiadł w Warszawie, podtrzymując znajomości z kręgu piłsudczykowskiego i publikując eseje głównie z zakresu filozofii religii w miesięczniku „Droga", wydawanym zresztą głównie za jego pieniądze. Na krótko został naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale zrażony polityką władz wobec mniejszości narodowych porzucił urząd i wraz z rodziną opuścił stolicę. Osiadł na Huculszczyźnie – w Worochcie, a potem we wsi Bystrzec, gdzie w 1926 r. zbudował dom, w zamierzeniu letni. Mając zapewnione fundusze z rodzinne-

eprasa.pl 3de77bed4d

> „Podpatrywałem sekret Vincenza. Miałem przed sobą kogoś, **kto za jednym zamachem obalał dwie rozdęte mitologie**”

go przedsiębiorstwa naftowego, badał folklor, podtrzymywał kontakty z ludźmi kultury i pisał „Na wysokiej połoninie”.

Pracę nad drugim tomem (a właściwie „pasmem”, bo tak je nazywał) tego dzieła przerwał mu wybuch wojny. Następnego dnia po przekroczeniu granicy przez Armię Czerwoną wraz ze starszym synem udał się na Węgry, by uzyskać szwajcarskie wizy dla całej rodziny. Po sześciu tygodniach przekradli się z powrotem i wtedy zostali aresztowani przez NKWD. Szczęśliwe po staraniach wielu osób zwolniono ich w początkach grudnia. W marcu 1940 r. na Węgry przedarli się synowie pisarza, a wkrótce i on sam, w towarzystwie pięciu kobiet.

Wystarane wizy były już nieważne, Vincenzowie pozostali więc na Węgrzech, jedynie młodszy syn, Andrzej, przedostał się do polskiego wojska we Francji, walcząc później pod dowództwem gen. Maczka.

Stanisław Vincenz zajął się pracą kulturalno-oświatową wśród polskich uchodźców, przyczyniając się w tym czasie do uratowania zagrożonych Żydów. Wystarał się o fałszywe dokumenty dla braci Gertnerów, synów znajomego karczmarza z Żabiego, z Huculszczyzny, za co po wojnie uhonorowany został medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, przyznanym mu jednak pośmiertnie.

Po wojnie Vincenz nie miał gdzie wracać. Jego ziemia rodzinna znalazła się w granicach ZSRS. Przez Austrię, Niemcy i Belgię dotarł do Francji. I tam, w La Combe, w wiejskim domu, który nabył dzięki pomocy syna, znów wznowił – jak pisze Mirosława Ołdakowska-Kuflowa – „aktywność twórczą i kulturalną, nawiązywał nowe relacje lub odświeżał stare, włączał się w działalność emigracyjną lub też sam inicjował kulturalne przedsięwzięcia”.

Rejs Sokratesa

Czesław Miłosz tak przywoływał tamten czas: „Kto raz praktykował dobre sąsiedztwo, umie wniknąć w każdych sąsiadów. Vincenz z ekswiedeńczykami porozumiewa się szyfrem zagadkowym dla niewtajemniczonych; syn rabina z Żabiego, któremu sądzone było zostać profesorem materializmu dialektycznego na uniwersytecie berlińskim za Republiki Weimarskiej, znajduje w nim swojego ziomka; Sakson z Siedmiogrodu spostrzega, że tu rozumie się naprawdę tamtejsze narodowościowe powikłania; szwajcarska filozofka, której rodzice przywędrowali z Wilna, jest znów u swoich; u swoich jest też rumuński góral, bo Karpaty; Ukrainiec może do woli spierać się o odcienie ukraińskich dialektów; a Węgrom Vincenz recytuje ich poetów po węgiersku. Ale powoli koło przyjaciół zaczęło się rozszerzać. Vincenz wie, że ludzie tęsknią dzisiaj do ojczyzny, a zamiast niej przyznaje się im tylko państwa. Ojczyzna jest organiczna, wrośnięta w przeszłość, zawsze nieduża, grzejąca serce, bliska jak własne ciało […]. Podpatrywałem sekret Vincenza. Miałem przed sobą kogoś, kto za jednym zamachem obalał dwie rozdęte mitologie. Również tę mniejszą, lamentujących »tułaczy«, gotowych zmarnować całe życie na tymczasowość i oczekiwanie powrotu (powrotu do czego?), byle udawać, że nie są, gdzie są”.

Był pisarz ważną, choć nie pierwszoplanową postacią z kręgu Maisons-Laffitte, co poświadczył Jerzy Giedroyc w „Autobiografii na cztery ręce”, w której mogliśmy przeczytać, że „Vincenz sporo publikował w »Kulturze« i mieszkał u nas, gdy był w Paryżu. Później, kiedy przeniósł się do Szwajcarii, widywaliśmy się dość rzadko, ale korespondowaliśmy ze sobą. Polityka go nie interesowała. Rozmowy z nim, poza Huculszczyzną, która go zawsze pasjonowała, dotyczyły głównie literatury. Pamiętam jakąś rozmowę na temat Dantego, gdyż Vincenz zaproponował mi szkic na temat »Boskiej Komedii«. Jego ogromna skala zainteresowań była dla mnie dużym źródłem inspiracji. W pewnym sensie należał on do »niewidzialnej redakcji« – jak sam to określał”.

To Giedroyc wydał w 1965 r. jego eseje w tomie „Po stronie pamięci”. Rok później, w Londynie, ukazał się drugi ważny zbiór eseistyki Stanisława Vincenza „Dialogi z Sowietami”. A oprócz „Na wysokiej połoninie”, dzieła jego życia, napisał jeszcze tylko jedną powieść, niedokończone „Powojenne perypetie Sokratesa”. Zdaniem Mirosławy Ołdakowskiej-Kuflowej można je potraktować jako fantasy. W opowiadanej historii ateński filozof nie umiera po wypiciu cykuty, lecz zostaje uśpiony, przeniesiony na statek, który żeglując po świecie antycznym, odwiedza kraje o różnych systemach państwowych. W tych ostatnich bez trudu rozpoznajemy narody XX-wieczne.

Wymowa utworu jest pesymistyczna, okazuje się bowiem, że tylko w demokracji ateńskiej nauczanie Sokratesa było możliwe. A przecież to tam wydany został na niego ostateczny wyrok. Autor pokazuje – czytamy w „Od dawności do bezczasu” – „że nie tylko w systemach totalitarnych nie ma miejsca dla sokratycznych wartości. Chociaż wszędzie ateński mędrzec jest przyjmowany czy to z rzeczywistym, czy z udawanym szacunkiem i każdy chciałby się nim pochwalić, móc wypisać jego imię na swoim sztandarze, to w rzeczywistości jego nauki oraz prowadzone w poczuciu wewnętrznej wolności poszukiwania wszędzie są niewygodne. Mówiąc dzisiejszym językiem, w każdym z przedstawionych systemów obowiązuje jakiś rodzaj poprawności politycznej”.

W 1964 r., ze względu na pogarszający się stan zdrowia, Vincenzowie przenieśli się do Lozanny. Pisarz zmarł tam 28 stycznia 1971 r. Dwadzieścia lat później, po śmierci jego żony, prochy obojga przewieziono do Polski, gdzie spoczęły w Krakowie na cmentarzu Salwatorskim.



Wawrzyn Akademicki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d



„Uczta u Radziwiłła". Obraz przypisywany Aleksandrowi Orłowskiemu FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Książka miesiąca / Kulinarne historie

Na uczcie z naszymi antenatami

Pamiętna scena z filmowej wersji „Potopu": Oleńka Billewiczówna na przyjęciu u księcia Bogusława Radziwiłła. Stoły uginają się od mięsiwa, służący wnoszą półmiski, na których spoczywają finezyjnie udekorowane pieczone kurczaki, indyki, bażanty... Ta i podobne sceny utkwiły w naszej pamięci, tworząc wizerunek kuchni staropolskiej, tłustej, obfitującej w mięso, które szczodrze doprawiano wschodnimi przyprawami oraz przybierano egzotycznymi owocami i orzechami. Ale czy kuchnia I Rzeczypospolitej zawsze tak wyglądała? „Gdybym miał wymienić trzy najwybitniejsze polskie książki kulinarne z ostatnich 400 lat, to byłyby to: »Compendium ferculorum« Stanisława Czernieckiego z 1682 roku, »Opis obyczajów za panowania Augusta III« Jędrzeja Kitowicza oraz »365 obiadów za 5 złotych« Lucyny Ćwierczakiewiczowej z 1860 roku. W każdej z nich odbija się nie tylko wizerunek stołu polskiego, ale również jego przemiany, potrawy i sposoby ich przyrządzania" – pisze autor.

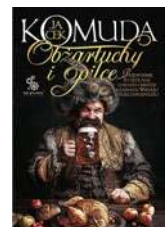
Nawet pobieżny rzut oka na wymienione wyżej dzieła daje wgląd w to, jak bardzo zmieniała się polska kuchnia. Od wyrafinowanych potraw, goszczących na magnackich stołach, które wciąż robią wrażenie sposobem przyrządzania i liczbą składników, do całkiem prostych dań, które i dziś wykonamy w kilka minut z dostępnych w każdym domu produktów. Jednak „kuchenne rewolucje" widoczne były nie tylko w sposobie wykonania danej potrawy. Pod tym względem zarówno za panowania Wazów czy Jana III Sobieskiego, jak i w połowie XIX w. znaleźć można było przepisy na dania wręcz monumentalne, w których zalecano brać – z właściwym Sarmatom rozmachem – dla przykładu 6 kg mięsa i niemalże tyle samo przypraw i słodkości do smaku...

Z biegiem lat zmieniały się jednak przede wszystkim składniki, z których przygotowywano potrawy na polskie stoły. Oddziaływały na nie kuchnia francuska, turecka, rosyjska i niemiecka. Dawniej jadano więcej drobiu, w tym dużo gęsiny, później zachęcano raczej do wykonywania potraw z dziczyzny i dzikiego ptactwa, aby w końcu podawać przepisy na mięsa zwierząt hodowlanych, które do dziś są powszechnie wybierane.

Nieodłącznym elementem rodzimej kuchni były ponadto od wieków ryby. Spożywano ich dużo, gdyż dni postnych było wiele więcej niż dzisiaj. Nasi przodkowie radzili sobie z tym na różne sposoby. To właśnie w dni postne podawano tak nietypowe dla nas dziś potrawy, jak ogony bobrów, żółwie, ślimaki, a także raki i ostrygi. Swoją drogą, trudno powiedzieć, że takie menu kojarzy się z umartwianiem.

Autor, znawca szczególnie czasów przedrozbiorowej Polski, ze znawstwem i swadą zagłębia się w menu dworów magnackich, szlacheckich, a także chłopskich chałup. Książka jest opowieścią nie tylko o polskich stołach, lecz także życiu codziennym, przyzwyczajeniach i troskach naszych przodków, które znajdowały odbicie w tym, co spożywali, na jakie rarytasy (i czy w ogóle) mogli sobie pozwolić. ©℗

Anna Szczepańska



JACEK KOMUDA, „OBŻARTUCHY I OPILCE. PRZEWODNIK PO STOŁACH, GARACH I INNYCH KRAINACH WIELKIEJ I RZECZYPOSPOLITEJ"
FABRYKA SŁÓW

eprasa.pl 3de77bed4d

Na Wschodzie bez zmian

Rozpad Związku Sowieckiego u progu lat 90. XX w. dał części (głównie zachodnich) polityków i dziennikarzy poczucie, że na ich oczach zamyka się pewien rozdział w dziejach świata. „Koniec historii" miał oznaczać, że świat odchodzi od reżimów totalitarnych. Z czasem jednak nawet Francis Fukuyama, twórca tej koncepcji, przekonał się, jak mylne były jego spostrzeżenia z czasów „przełomu".

Jednocześnie nie przestaje zadziwiać naiwność różnych ekspertów dotycząca istoty funkcjonowania Rosji. Choć na przestrzeni wieków (nie tylko w czasach istnienia ZSRS) Rosja niejednokrotnie pokazywała swoje agresywne, nieliczące się z mniejszymi narodami, imperialne oblicze, to nieustannie znajdują się politycy, którzy wierzyli i wierzą, że inne, lepsze państwo rosyjskie jest możliwe. Autor w drobiazgowy sposób, przytaczając liczne przykłady, udowadnia jednak, że nie ma innej Rosji niż drapieżne, nastawione na podboje państwo, gdyż „Rosja będzie imperialna i samodzierżawcza albo nie będzie jej wcale". Dowodów na tę tezę daje historia Rosji aż nadto. Dość powiedzieć – jak podkreśla Pieczyński – że każdy okres, w którym Rosja imperialna lub samodzierżawcza nie była, uważany jest przez samych Rosjan za okres zamętu i słabości. Nie bez przyczyny jednym z najważniejszych świąt w Rosji jest Dzień Jedności Narodowej, czyli rocznica wyrzucenia polskiej załogi z Kremla, co symbolicznie zakończyło okres wielkiej smuty. Innym przykładem dobrze oddającym ducha tęsknoty za „wielką Rosją", a zarazem poczucia bezsilności, kiedy imperium się chwieje, są często przywoływane słowa Władimira Putina o tym, że upadek Związku Sowieckiego był największą tragedią w dziejach Rosji. Wtóruje mu wielu Rosjan. Tam wciąż wiele osób z pietyzmem nosi sztandary z wizerunkiem Józefa Stalina.

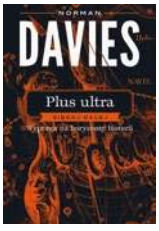
Autor rozprawia się z wieloma mitami i półprawdami na temat Rosji i Rosjan. Dlaczego uważają swoje państwo za Trzeci Rzym? Czy ich kraj jest faktycznie ostoją konserwatyzmu? Kim naprawdę są rosyjscy opozycjoniści? Czy jest możliwe, aby władzę w Rosji objął „dobry car"? Historia Aleksieja Nawalnego, kreowanego na prozachodniego polityka, każe się bardzo poważnie nad tym pytaniem zastanowić. ©℗ ***Anna Szczepańska***



MACIEJ PIECZYŃSKI
„NIE MA INNEJ ROSJI"
ZONA ZERO

Horyzont dziejów

Sypanie samymi datami, nazwiskami i wydarzeniami to za mało, żeby opowieść o historii kształtowała wyobrażenia czytelników na temat otaczającego nas świata. Profesor Norman Davies bez wątpienia posiadł tę cechę. Nawet snując wspomnienia z wakacji w byłej Jugosławii, robi to tak ciekawie, że czytelnik pojmuje, jak wiele kultur się tam przecinało i co ukształtowało mieszkańców tego regionu. W najnowszej książce prof. Davies zabiera nas jednak dużo dalej, pokazując, jak na przestrzeni dziejów przesuwał się horyzont ludzkiej wyobraźni. ©℗ ***(p.w.)***



NORMAN DAVIES
„PLUS ULTRA. SIĘGAJ DALEJ"
ZNAK HORYZONT

Lekarze śmierci

Pojęcia takie jak przymusowa sterylizacja i przymusowa eutanazja budzą dreszcz przerażenia. I takie też uczucie towarzyszy lekturze książki Liftona. Autor zwraca uwagę, że sterylizacja i eutanazja nie były pomysłem ruchu narodowosocjalistycznego. O sterylizacji pisał w latach 20. lekarz genetyk Fritz Lentz, dla którego stała się ona „świętą misją" i pchnęła go w ręce nazistów. Rudolf Hess, zastępca Hitlera, mówił, że narodowy socjalizm to „biologia stosowana". A celem była „ochrona rasy". Program wdrożono po dojściu nazistów do władzy, a sterylizacją objęto upośledzonych umysłowo, schizofreników, epileptyków, osoby obciążone dziedziczną ślepotą, głuchotą, alkoholizmem. Przymusowa eutanazja też nie była pomysłem narodowych socjalistów, ale z chęcią podchwycili tę ideę. Pisał o niej już w 1895 r. Adolf Jost w „Prawie do śmierci". Nie miało być to prawo jednostki, lecz państwa, „aby utrzymać organizm społeczny przy życiu i w zdrowiu". Pojęcie „życia niegodnego życia" pojawiło się w tytule książki prawnika Karla Bindinga i psychiatry Adolfa Hocha" z 1920 r. Stało się ono dla nazistów usprawiedliwieniem przymusowej eutanazji osób chorych psychicznie i z poważnymi wadami rozwojowymi. Autor zwraca uwagę na to, że niemieccy lekarze „przy znikomym oporze ze strony środowiska i powszechnej obojętności zaoferowali swe usługi reżimowi", biorąc udział w programach masowej sterylizacji i eutanazji. ©℗ ***(t.s.)***



ROBERT JAY LIFTON
„NAZISTOWSCY LEKARZE. MORD MEDYCZNY I PSYCHOLOGIA LUDOBÓJSTWA"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl 3de77bed4d



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Smutek przyznanych nagród

Ilekroć słyszę o jakichś literackich laurach, tylekroć przypomina mi się temat jednej z moich studenckich prac zaliczeniowych z tzw. helpu (czyli historii literatury polskiej) na polonistyce. Nagroda „Wiadomości Literackich" dla najlepszej książki roku 1937, przyznana w marcu roku następnego. Patronat – prestiżowe, wręcz otoczone legendą pismo, dla tej części ówczesnej inteligencji, która orientowała się na obóz piłsudczykowski i otwierała na idee lewicowe, po prostu wyrocznia. Ale cokolwiek sądzić o owych ideach i owym obozie, dzięki Mieczysławowi Grydzewskiemu i zebranemu przez niego zespołowi naprawdę na swój prestiż poziomem merytorycznym zasługujące.

W kapitule – same sławy! Aleksander Brückner, Julian Krzyżanowski, Paweł Hulka-Laskowski, plejada pisarzy: Iłłakowiczówna, Jasnorzewska, Kuncewiczowa, Wittlin, Parandowski, Nowaczyński (tak, ten Nowaczyński – wyobraźmy sobie, że dzisiaj „Wyborcza" potrafiłaby zaprosić do jury Nike np. Ryszarda Legutkę czy Andrzeja Nowaka, nie mówiąc o niżej podpisanym), oczywiście także związani z tygodnikiem stałą współpracą Iwaszkiewicz, Słonimski i Tuwim.

A wśród nominowanych – m.in. „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, „Sanatorium pod Klepsydrą" Brunona Schulza, „W polu" Stanisława Rembeka, „Marysieńka Sobieska" Tadeusza Boya-Żeleńskiego i „W czerwonej Hiszpanii" Ksawerego Pruszyńskiego. Arcydzieła polskiej prozy, eseju i reportażu. I które z nich, niech państwo zgadną, zyskało najwyższe uznanie szanownego jury?

Żadne. Nagrodę dostała książka Jeremiego Wasiutyńskiego „Kopernik". Czy ktoś z państwa słyszał o tej książce albo o jej autorze? Jeśli odpowiedź na drugie pytanie brzmi „tak", to śpieszę donieść, że zapewne myli go z Wojciechem Wasiutyńskim, wybitnym działaczem i publicystą endeckim, z którym poza przypadkową zbieżnością nazwisk nic autora „Kopernika" nie łączy. Być może nagrodzonej książki nie wznowiono już nigdy, aż do 2007 r., bo autor jeszcze przed wojną wyjechał do Norwegii, zajął się tam astrofizyką i pisał prace naukowe oraz filozoficzne po angielsku i norwesku – ale śmiem twierdzić, że gdyby było to dzieło równie wybitne i ważne, jak wcześniej wymienione, pokuszono by się o kolejne wydanie, czy to w PRL, gdzie temat był nader politycznie poprawny, czy na emigracji.

Nie można podejrzewać, żeby oczywista wtopa jury wynikała z lobbingu wydawców, nacisków politycznych, rywalizacji koterii – tak jak dzieje się to w tle dzisiejszych nagród literackich. Po prostu wybitne grono pod wybitnym patronatem kompletnie nie poznało się na arcydziełach, które miały pozostać w polskiej literaturze na zawsze, i przedłożyło ponad nie jednodniową sensację, tyle tylko, że solidną i przy okazji pokazującą niezbicie, że niemieckie próby zawłaszczenia dla siebie wielkiego polskiego astronoma oparte zostały na fałszowaniu historii i ukrywaniu podstawowych faktów z jego życiorysu. Może to właśnie – propaganda niemiecka była w tej kwestii dla ówczesnych Polaków bardzo irytująca – zaważyło na emocjach członków kapituły i wypaczyło ich ogląd?

W każdym razie – tak właśnie jest z próbami wyważania „obiektywnej wartości" w literaturze i w ogóle w sztuce. Powinni o tym pamiętać i nagradzani, i pomijani – jedni, by uchronić się przed nadmierna pychą, drudzy, by mieć dystans do wyróżnień i tytułów, pomocnych, owszem, w marketingu i reklamie twórcy oraz jego dorobku, ale nic poza tym. ©℗

/ Nie można podejrzewać, żeby oczywista wtopa jury wynikała z lobbingu wydawców, nacisków politycznych, rywalizacji koterii – tak jak dzieje się to w tle dzisiejszych nagród literackich

eprasa.pl 3de77bed4d



Piotr Semka

Ostatnie informacje o sprowadzeniu oddziałów północnokoreańskich na front rosyjsko-ukraiński skłaniają do szerszej refleksji na temat bardzo specyficznej tradycji kontaktów Koreańczyków z Moskwą.

Kiedy Rosja w ramach traktatu ajgúńskiego (1858) odebrała Chinom tereny położone wzdłuż rzeki Amur na Dalekim Wschodzie, szybko rozpoczęła się migracja Koreańczyków na te ziemie. Podobnie jak w przypadku wyjazdów Chińczyków i Japończyków do USA, tak w kwestii migracji Koreańczyków na tereny, które znalazły się pod władza caratu, decydowały czynniki ekonomiczne. Korea była wówczas bardzo ubogim krajem, a europejska władza, nawet w tak oddalonym od ideału modelu rosyjskim, zapewniała lepsze gwarancje bezpieczeństwa osobistego i praworządności.

/ Felieton

Koreańskie blizny

My znamy tę zbrodniczą akcję pod nazwą „operacji polskiej" NKWD, ale na Dalekim Wschodzie była to „operacja koreańska"

Ten ludzki strumień z Korei, który poprzez Chiny zaczął płynąć od początku lat 60. XIX w., został uregulowany traktatem rosyjsko-koreańskim z 1884 r. W jego myśl wszyscy Koreańczycy już mieszkający w dalekowschodnich guberniach Rosji otrzymali obywatelstwo imperium, ale kolejni przybysze mieli zgodę jedynie na pobyt nie dłuższy niż dwa lata. Następna fala Koreańczyków ruszyła ku rosyjskim ziemiom nad Pacyfikiem po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. Tym razem impulsem była brutalność Japończyków, którzy za pomocą okrutnych metod pacyfikowali opór w Korei. W rezultacie w latach 20. minionego wieku w sowieckiej Republice Dalekiego Wschodu mieszkało już ponad 100 tys. Koreańczyków. Tylko ok. 30 proc. z nich posiadało własną ziemię – reszta pracowała w usługach lub jako robotnicy najemni. Przez pewien czas planowano nawet powołanie Koreańskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, ale ostatecznie pomysł ten odrzucono w Moskwie.

Pierwsze problemy pojawiły się w czasie kampanii walki z kułakami na początku lat 30., kiedy to do łagrów wysłano koreańskich właścicieli indywidualnych gospodarstw. Niedługo potem Stalin zaczął dawać upust swojej obsesyjnej nieufności wobec Koreańczyków jako potencjalnych agentów Japonii. Wreszcie 17 lipca 1937 r. władze sowieckie wydały rezolucję, w której ziemie przygraniczne zostały uznane za „specjalne strefy obronne", i w związku z tym mieszkający na tych terenach Niemcy, Polacy i Koreańczycy musieli być deportowani. My znamy tę zbrodniczą akcję pod nazwą „operacji polskiej" NKWD, ale na Dalekim Wschodzie była to „operacja koreańska". 21 sierpnia 1937 r. Stalin i Mołotow podpisali dekret nakazujący deportację sowieckich obywateli koreańskiego pochodzenia do Kazachstanu i Uzbekistanu.

Wysiedlono 74,5 tys. Koreańczyków, do których dodano jeszcze hojną ręką 7 tys. sowieckich Chińczyków. Przepisy miewały swoje dziwactwa. W małżeństwach mieszanych, jeśli mąż był Koreańczykiem, cała rodzina podlegała deportacji. Jeżeli jednak mężczyzna był Rosjaninem, a jego żona Koreanką, to rodzinie pozwalano pozostać w domu. Dziś trudno zrozumieć to quasi-rasistowskie myślenie sowieckich enkawudzistów. Łącznie do końca 1937 r. deportowano 171 781 osób.

Ich los na terenach środkowej Azji był oczywiście tragiczny. Zarówno Kazachstan, jak i Uzbekistan były wtedy zdruzgotane masowym głodem z lat 1930–1934. Dla wysiedlonych, mimo obietnic, nie było odpowiedniej pracy. Rodziny cierpiały głód, a swoje żniwo zbierały też choroby zakaźne.

Z czasem Koreańczycy wtopili się jakoś w tamtejsze społeczeństwa i do dziś są sporą mniejszością etniczną w tamtym regionie.

Znając perwersyjne poczucie humoru Władimira Putina, być może zostanie on patronem oddziałów północnych Koreańczyków wysyłanych na front wojny z Ukrainą. Ale tradycja relacji koreańsko-rosyjskich jest tragiczna i przypomina, że rasizm miał się wcale nieźle również w kraju postulującym przyjaźń wszystkich narodów. ©℗

eprasa.pl 3de77bed4d



Marian Michniewicz FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

II RP / Konie, honor i kobiety

Jazda, ku przygodzie!



Piotr Włoczyk

Zbiór opowieści przedwojennych kawalerzystów powinien być lekturą obowiązkową w szkole średniej. Ukochane wojsko II RP było kwintesencją tradycyjnej polskości, za którą tak bardzo tęsknimy

Służba w kawalerii była w przedwojennej Polsce marzeniem tysięcy młodych mężczyzn. Ten fenomen mało kto opisywał równie pięknie jak rtm. Kornel Krzeczunowicz (1894–1988), dowódca 8. Pułku Ułanów ks. Józefa Poniatowskiego w czasie słynnej bitwy pod Komarowem z 1. Armią Konną Budionnego, autor książki „Ostatnia kampania konna”.

„Nie potrzebuję przypominać czytelnikowi-tradycjonaliście wyniosłego uczucia jeźdźca patrzącego z góry na świat, tym bardziej gdy pędzi cwałem i wiatr gwiżdże mu w uszach – pisał Krzeczunowicz w 1970 r. na emigracji w Londynie w przedmowie do swojej książki. – O ileż wznioślejsze jest ono, gdy widzisz przed sobą nie ogary czy charty pędzące za uciekającym zwierzem, lecz na równi z tobą uzbrojonego i groźnego przeciwnika, gdy stawką jest życie, odpowiedzialność za twoich ludzi, a czasem nawet więcej – los miłej Ojczyzny. W toku swojej długiej historii wojennej Polak zrósł się z koniem do tego stopnia, że piechota i inne bronie nieraz bywały w karygodnym zaniedbaniu. Przyczyną tego było pięć wieków walk z najeźdźcami ze Wschodu”.

Niemal na każdej stronie „Ostatniej kampanii konnej” widać nostalgię za utraconym światem, w którym honor oficerski cenniejszy był niż życie, a także nieokiełznaną miłość do kawalerii. Weźmy choćby to zdanie: „Szarża na czele całego pułku w rozwiniętym szyku, wzo-

eprasa.pl 3de77bed4d

rowo wyrównanym, była bezwzględnie najpiękniejszą chwilą mojego życia".

Do Grudziądza!

Mekką przedwojennych polskich kawalerzystów było słynne CWK w Grudziądzu. W sumie do wybuchu drugiej wojny światowej z murów Centrum Wyszkolenia Kawalerii wyszło prawie 5 tys. oficerów. Lata temu miałem przyjemność porozmawiać na ten temat z dwoma absolwentami CWK. Jeden z nich był już 100-latkiem, drugi był młodszy tylko o cztery lata, ale opowiadając mi o tamtych czasach, obaj dżentelmeni brzmieli, jakby znowu mieli po 20 lat.

Marian Michniewicz (1913–2018) po raz pierwszy pojawił się w Grudziądzu w 1934 r. Do CWK przyjechał z dyplomem Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej im. Józefa Piłsudskiego w Wilnie.

Jak opowiadał, nie wyobrażał sobie życia bez kontaktu z wierzchowcami. – Od małego kochałem się w koniach. Mój ojciec miał stadninę, więc od najmłodszych lat szalałem na koniach razem z parobkami – mówił weteran.

CWK składało się m.in. z rocznej Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii oraz dwuletniej Szkoły Podchorążych Kawalerii.

– Szkoła rezerwy była mieszaniną różnych typów ludzi. Część pochodziła z ubogich rodzin, a część z wyższych sfer. W moim plutonie znaleźli się dwaj arystokraci: Dominik Radziwiłł i Jan Zamoyski. Służba w kawalerii bardzo szybko jednak wybijała ludziom z głowy zadzieranie nosa. Czołganie się w błocie obowiązywało jednakowo bogaczy i biedaków – mówił 100-latek.

Jednym z takich arystokratów był książę Eustachy Seweryn Sapieha (1916–2004), który do podchorążówki w Grudziądzu trafił mniej więcej w tym samym czasie co Marian Michniewicz.

„Przyszła ostra zima, podczas której odbyły się dość krótkie manewry – wspominał książę w swojej autobiografii »Tak było«. – Dowództwo, opierając się na poprzednich doświadczeniach, bało się o opinię szkoły i o opinię moralną około 300 młodych ludzi, więc wpakowało nam do zupy jakieś tam chemikalia, które miały ostudzić ochoty podchorążych rozkwaterowanych po wsiach. Ostudzić może ostudziło, ale panowie oficerowie nie spodziewali się, że kucharze hojną ręką sypnęli podwójną dawkę nie tylko do żołnierskiej strawy, ale też do jedzenia w kasynie oficerskim. Pierwszego dnia nikt nie był zdolny do jakichkolwiek ćwiczeń. Jak daleko można było okiem sięgnąć, na ośnieżonych, pustych pomorskich polach kucały dziesiątki ludzkich postaci, trzymających konie na cuglach. Nie ominęło to i panów oficerów, z tą różnicą, że przy kucającym, powiedzmy rotmistrzu, jego konia trzymał kucający luzak. Kłopotów z panienkami nie było, ale i ćwiczeń też nie".



Uroczystości 15-lecia Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, 1936 r. FOT. NAC

Odznaka 5. Pułku Ułanów Zasławskich FOT. ONE BID



Rok po Marianie Michniewiczu w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii stawił się Zbigniew Makowiecki (1917–2017). Młody warszawiak od dziecka był zżyty z końmi dzięki wizytom u rodziny na wsi.

– W mojej rodzinie mężczyźni od pokoleń służyli w kawalerii, więc od razu po maturze zdecydowałem się pójść do wojska. Nie chciałem czekać na przymusowy pobór, który czekał każdego, kto skończył 21 lat – mówił Zbigniew Makowiecki.

Po drodze pojawił się jednak spory problem, który groził zakończeniem kariery kawalerzysty, jeszcze zanim się ona w ogóle zaczęła.

– Gdy tylko człowiek z komendy uzupełnień zobaczył, że noszę okulary, stwierdził, iż nie mogę pójść do kawalerii. Uklęknąłem więc przed nim i uderzyłem w błagalny ton: „Niech mi pan takiej krzywdy nie robi! Na litość boską, niech mi pan nie broni iść do wojska, bo żadna panna nie będzie chciała ze mną tańczyć" – weteran nie mógł powstrzymać śmiechu, wspominając scenę sprzed tylu dekad. Determinacja 18-latka dokonała jednak cudu – chłopak dostał zgodę.

– Grudziądz na zawsze już będzie mi się kojarzył z tradycją i elitarnością.

eprasa.pl 3de77bed4d



To był przepiękny okres mojej młodości – wspominał Zbigniew Makowiecki. – Nigdy nie zapomnę też jednak wycisku, który tam dostawaliśmy: codziennie pobudka o 5 rano i od razu biegiem do koni: czekało na nas poranne czyszczenie, pojenie i karmienie. To wszystko trwało do siódmej. Dopiero potem sami jedliśmy śniadanie i o ósmej szliśmy na zajęcia do klas lub wychodziliśmy w teren. Po powrocie znów oporządzaliśmy konie i dopiero po skończeniu wszystkich obowiązków siadaliśmy do kolacji.

„Also po temu"

Życie kawalerzystów było tak kolorowe, że powstało na ten temat mnóstwo arcyciekawych, często komicznych historii. Wiele z nich dotyczyło słynnego gen. Stefana de Castenedolo Kasprzyckiego, niegdyś oficera cesarza Franciszka Józefa. Opowieści o jego polszczyźnie świetnie ilustrują problem kawaleryjskiego korpusu oficerskiego, który wywodził się przecież z armii zaborczych.

– Nie brakowało u nas wykładowców, którzy po polsku mówili... dosyć dziwnie – wspominał Marian Michniewicz. – Nawet pierwszy dowódca CWK w Grudziądzu, gen. Stefan de Castenedolo Kasprzycki, mówił po polsku z dużymi problemami, wtrącając w zdania słowa „also po temu". I zdarzało się, że oficer wyszkolony jeszcze w zaborze rosyjskim nie mógł się dogadać z oficerem z austriackiej szkoły kawalerii.

Obaj moi rozmówcy zgodni twierdzili, że sami nie mieli na koncie wybryków, z którymi zazwyczaj kojarzymy zuchwałych kawalerzystów. Jednak w ich otoczeniu jak najbardziej dochodziło do takich sytuacji.

– Jeden z podchorążych wracający na „gazie" potraktował drzewka stojące wzdłuż ulicy jako łozy do ścinania galopem na koniu. Udawał więc, ku uciesze kolegów, że galopuje, ścinając jednocześnie drzewko po drzewku. Komendant jednak nie był zachwycony tym pomysłem. U nas nie było pobłażania w takich przypadkach. Trzeba było uważać, bo można było łatwo wylecieć ze szkoły za takie wybryki – mówił Marian Michniewicz.

– Pewnego razu po powrocie z wyjazdu do domu dowiedziałem się, że kolega z roku, którego przezywaliśmy „Kłak", przebił sobie udo, czyszcząc szablę. Dopiero po jakimś czasie koledzy powiedzieli mi, że w rzeczywistości ranę odniósł w pojedynku – obaj krewcy chłopcy podczas sprzeczki chwycili za szable i jeden drugiemu zrobił krzywdę. Oficjalnie zakwalifikowano to jako wypadek z bronią. Prawda nigdy nie wyszła na jaw – opowiadał Zbigniew Makowiecki, który po odbyciu jednorocznej służby wojskowej poszedł do Szkoły Głównej Handlowej.



Zbigniew Makowiecki (u góry) i Kornel Krzeczunowicz FOT. ARCHIWUM FUNDACJI NA RZECZ TRADYCJI JAZDY POLSKIEJ I COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA ORDERU WOJENNEGO VIRTUTI MILITARI, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Marian Michniewicz planował początkowo skończyć jedynie szkołę rezerwy, ale zaprzyjaźniony rotmistrz namówił go do kontynuowania nauki w CWK.

– Drugi etap był już zupełnie inny. Dwuletnia szkoła zawodowa była szkołą rycerską. Jej głównym zadaniem było przeszczepienie nam cech, które powinien posiadać każdy oficer służby czynnej. Formowano tam dojrzałych i odpowiedzialnych mężczyzn, dla których honor miał być czymś więcej niż tylko słowem – podkreślał Marian Michniewicz (CWK skończył w 1937 r., plasując się na szóstym miejscu na 70 podchorążych).

Łzy dziewczyny

Przez 10 wrześniowych dni 1939 r. 3. Pułk Strzelców Konnych, w którym służył Zbigniew Makowiecki, oraz 5. Pułk Ułanów Zasławskich, gdzie walczył Marian Michniewicza, prowadziły działania w ramach SGO „Narew". Ułani Zasławscy rozlokowali się przy granicy z Prusami Wschodnimi. W końcu przyszedł rozkaz, by wejść płytko na terytorium III Rzeszy i dokonać rozpoznania bojem.

– Na granicy Niemcy otworzyli do nas ogień z broni maszynowej. Czołgaliśmy się po łące pod silnym ostrzałem przeciwnika. Niektórzy z nas próbowali się nawet okopać za pomocą łopatek, żeby schować za czymś głowy – wspominał Marian Michniewicz. – Dowodzący nami rtm. Zbigniew Piotrowski zobaczył, że cały oddział zupełnie przylgnął do ziemi. W pewnym momencie wstał więc jak gdyby nigdy nic z fajką w zębach i ryknął: „Naprzód!". Ten widok od razu poderwał nas do walki.

Mimo że Polacy wygrali to starcie, to wobec pojawienia się niemieckich posiłków, musieli wycofać się na własne terytorium. Obaj kawalerzyści trafili w końcu do niewoli i całą wojnę przeżyli w oflagach.

Mimo wielu dramatycznych epizodów z września 1939 r. Zbigniew Makowiecki szczególnym sentymentem darzy wspomnienie pewnego na pozór zwyczajnego spotkania, do którego doszło w połowie miesiąca.

– Cudowna pogoda, jedziemy przez łąki, powoli zbliża się południe. W oddali widać wieś z żurawiem. Stwierdziłem, że czas napoić konie. Wjechaliśmy do wsi. Konie piją chciwie wodę. Wokół nas zebrali się okoliczni mieszkańcy, którzy z zaciekawieniem się nam przyglądali. W pewnym momencie z gęstniejącego

eprasa.pl 3de77bed4d

coraz bardziej tłumu wyszła w moim kierunku młoda dziewczyna. Niepewnym krokiem podeszła do mnie i oparła czoło o moje kolano. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Powtarzała w kółko: „Mój Boże, wy jeszcze pod bronią, wy jeszcze walczycie...". W tamtym okresie już wszyscy wiedzieli, że kampania jest przegrana. A tu nagle takie zdyscyplinowane wojsko pojawiło się w wiosce! Nie wiedziałem, jak się zachować. W myślach zacząłem przeglądać regulamin służby wewnętrznej, ale przecież nie ma tam żadnych wskazówek odnośnie do tego, co młody oficer powinien zrobić z dziewczyną, która całuje go po kolanach – śmiał się Zbigniew Makowiecki. – Uniosłem się w strzemionach i pochyliłem się w jej kierunku. Dotknąłem jej zalanej łzami twarzy i powiedziałem: „Jakże inaczej!". Dziewczyna odeszła do swoich, ja napoiłem konia i ruszyliśmy dalej.

Kornel Krzeczunowicz bił się na wierzchowcu w poprzedniej wojnie – z bolszewikami. Zanim jednak 31 sierpnia 1920 r. stanął pod Komarowem do boju, który miał się okazać ostatnią tak wielką bitwą kawaleryjską w historii (prof. Norman Davies napisał o tym starciu, że był to „spektakl, jakiego Europa nie oglądała już nigdy więcej"), słynny rotmistrz wziął udział w wyprawie kijowskiej. W swoich kapitalnych wspomnieniach bardzo barwnie opisuje ten czas. I wprost przyznaje, że co rusz odzywała się w nim wówczas młodzieńcza fascynacja arcydziełem Henryka Sienkiewicza.

„Trudno opisać entuzjazm wojska przekraczającego Słucz w ten wiosenny poranek – wojska maszerującego na oczach swego Naczelnego Wodza w głąb Ukrainy, ku historycznym kresom dawnej Rzeczypospolitej, do najbogatszego, najbujniejszego, mlekiem i miodem płynącego kraju, pachnącego zielem i kwieciem – pisał Krzeczunowicz.



Krzyż Walecznych
FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

– I nie tylko widok kwiatu jazdy polskiej i wiosenny krajobraz były przyczyną naszej radości. Nasza generacja, wszyscy oficerowie od dowódcy szwadronu w dół do ostatniego umiejącego czytać szeregowca, była wychowana na lekturze Trylogii Sienkiewicza. I teraz chętnie na skrzydłach lecielibyśmy ku tym stepom, na których mieliśmy powrócić do tradycyjnych konnych bojów (po czterech tragicznych latach »wielkiej wojny« w okopach), na ziemi pokrytej przedhistorycznymi kurhanami i zroszonej krwią naszych przodków, którzy tu właśnie pełnili swoje zadanie przedmurza chrześcijaństwa".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 3de77bed4d



Morzem, lądem i na skrzydłach / Podróże dookoła świata

Na zachód!

Replika „Victorii", jednego ze statków wyprawy Ferdynanda Magellana

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GNSIN



Tymoteusz Pawłowski

Wyprawa Ferdynanda Magellana przeszła do historii, ale sukcesu tego nie doczekało 93 proc. członków załogi, którzy zginęli po drodze. Aż do XX w. podróże dookoła świata były drogą przez mękę

Ziemia jest okrągła. W Europie ta oczywistość znana jest od czasów Pitagorasa. Jego młodszy o 300 lat kolega Eratostenes nie tylko zmierzył obwód Ziemi, lecz także wpadł na koncept podróży dookoła świata. Ta wiedza stopniowo docierała do innych cywilizacji. Dosyć późno do takiej wizji świata dali się przekonać Chińczycy: uczynili to jezuici dopiero w XVII w.

Współczesne przekonanie o tym, że w średniowieczu uważano, iż Ziemia jest płaska, to sprawka antykatolickiej propagandy z początków XIX w. Wedle tej czarnej legendy Kolumb był zdziwiony kulistością ziemi. To oczywista nieprawda: Kolumb, wyruszając na morze, chciał dopłynąć do Indii, docierając tam „od drugiej strony", zgodnie z pomysłem Eratostenesa.

W 1519 r. to samo postanowił zrobić Ferdynand Magellan, Portugalczyk na służbie hiszpańskiego króla. Wyprawa Magellana zdołała ominąć Amerykę od południa, dotarła do Indii, a tam uznano, że lepiej będzie wrócić do Europy, kontynuując podróż na zachód. W ten sposób po trzech latach żeglugi ludzie Magellana zdołali opłynąć Ziemię dookoła. Sukces bezpodstawnie przypisywany jest Magellanowi. Bezpodstawnie, ponieważ on sam zginął na Filipinach. Spośród 270 ludzi i pięciu okrętów Ziemię zdołało okrążyć jedynie 18 (na jednej jednostce), a dowodził nimi Juan Sebastián Elcano. Natomiast pierwszym człowiekiem, który zaplanował podróż wokół Ziemi, był Thomas Cavendish – zajęło mu to nieco ponad dwa lata (od 1586 do 1588 r.).

Koła w ruch!

Morskie wyprawy dookoła świata trwały z reguły dwa–trzy sezony, natomiast w podróże lądowe nikt się nie bawił chociażby z tego powodu, że najwygodniejszym środkiem transportu lądowego były… rzeczne statki i barki. Sytuacja – zarówno na lądzie, jak i wodzie – zmieniła się dopiero w połowie XIX w., gdy pojawił się silnik parowy. Napędzał on nie tylko pociągi, lecz także statki. Wyraźnym sygnałem znaczenia parowej rewolucji była wojna chińsko-brytyjska. W 1839 r. Chińczycy siłą wymusili posłuszeństwo na brytyjskich kupcach, będąc pewni swojej bezkarności, ponieważ sądzili, że przerzut żaglowcami korpusu ekspedycyjnego z Europy do Azji zająłby kilkanaście miesięcy. Brytyjczycy użyli wówczas jednak – po raz pierwszy na taką skalę – okrętów parowych. Przerzut wojsk zajął im raptem trzy miesiące i pewni swojej przewagi Chińczycy zostali zaskoczeni i pokonani.

eprasa.pl 3de77bed4d



Boeing 707 FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PHINALANJI

Parowce i lokomotywy sprawiły, że świat stał się nie tylko „mniejszy", lecz także bezpieczniejszy. Paweł Edmund Strzelecki, pierwszy Polak, który okrążył glob, uczynił to w celach turystycznych. Przy okazji zbadał wszystkie znane kontynenty, w tym bardzo dokładnie Australię, gdzie najwyższą górę nazwał Mount Kosciuszko. Nie spieszył się – podróż zajęła mu dziewięć lat (od 1834 do 1843 r.).

Można to było zrobić dużo szybciej, o ile dostępne były odpowiednie środki transportu. W 1869 r. zostały otwarte pierwsza transkontynentalna linia kolejowa w Stanach Zjednoczonych oraz Kanał Sueski. Dziennikarze na całym świecie zaczęli patrzeć w rozkłady jazdy pociągów oraz statków i wykalkulowali, że Ziemię można okrążyć w 77 dni i 21 godzin. Amerykanin William Perry Fogg zrealizował podobną podróż w roku 1870 – choć zajęła mu trzy razy więcej czasu – a trzy lata później Jules Verne napisał powieść „W 80 dni dookoła świata". Jej bohater, Phileas Fogg, miał spore trudności z kolejami w Indiach, ale zdołał zmieścić się w czasie: stawką był zakład o 20 tys. funtów, czyli kilkanaście milionów dzisiejszych złotych.

Osiemdziesięciodniowe podróże stały się w końcu XIX w. dość modne. Po otwarciu w 1904 r. Kolei Transsyberyjskiej, pozwalającej przejechać Azję w niespełna tydzień, można było je zresztą odbyć w czasie dwa razy krótszym. Pojawienie się samochodów początkowo nie zmieniło wiele. Zwycięzcy rajdu Pekin – Paryż, przeprowadzonego w 1907 r., przejechanie 15 tys. km zajęło równo miesiąc. Osiągane prędkości nie były zatem duże, ale trzeba pamiętać o braku dróg w dzisiejszym rozumienia tego słowa: asfaltowe i betonowe szosy miały stać się popularne dopiero kilkadziesiąt lat później. Pierwsza samochodowa podróż dookoła świata – oczywiście wliczając przeprawy morskie – trwała niemal dwa lata. Rozpoczęła się w maju 1927 r., a zakończyła w czerwcu 1929 r.

Na skrzydłach

Samolot jest o kilkanaście lat młodszy niż samochód, jednak drogą powietrzną okrążono świat wcześniej, bo w 1924 r. Lot – wraz z postojami – zajął aż 175 dni, a z czterech amerykańskich samolotów, które wystartowały, podróż ukończyły tylko dwa. Postęp w lotnictwie był jednak błyskawiczny: w 1931 r. jednooki pilot Wiley Post uczynił to w osiem dni i kilkanaście godzin, a dwa lata później powtórzył swój wyczyn w mniej niż osiem dni.

Jednak tylko śmiałkowie ryzykowali swoje życie na tak długich trasach. Loty pasażerskie i transportowe wciąż odbywały się właściwie jedynie na krótkich dystansach. W dalekie podróże wybierano się pociągami i statkami. Pociągi pasażerskie z łatwością osiągały prędkości powyżej 100 km/h, ale statki wcale nie były dużo wolniejsze – brytyjska „Mauretania" w 1909 r. pokonała Atlantyk, osiągając średnią prędkość 48,26 km/h. Ten rekord pobił nieznacznie włoski „Rex", a następnie konkurowały ze sobą francuska „Normandie" i brytyjska „Queen Mary". W 1952 r. wewnętrzny europejski spór ostatecznie rozstrzygnął amerykański „United States", osiągając 63,91 km/h. „Mauretania" pokonywała Atlantyk w 106 godzin, a United States – w 84.


William Perry Fogg
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W 1958 r. odrzutowe samoloty pasażerskie (Boeing 707 oraz Douglas DC-8) były już na tyle niezawodne, że zaczęły wykonywać regularne loty transatlantyckie. Statki pasażerskie straciły rację bytu i większość z nich szybko zezłomowano, ale niektóre zostały zamienione na wycieczkowce. W XXI w. można w ten sposób odbyć wakacyjną podróż dookoła świata, trwającą trzy miesiące i kosztującą kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Świat można oczywiście okrążyć dużo szybciej. W czasie zimnej wojny amerykańskie bombowce robiły to bez lądowania, co wymagało kilkukrotnego tankowania w locie, ale okrążenie Ziemi zajmowało raptem 45 godzin. Można również podróżować pod wodą – po raz pierwszy dokonał tego w 1960 r. amerykański okręt podwodny USS „Triton", a kilka lat później ten wyczyn powtórzyli arcywrogowie Amerykanów. Sowieci natomiast wyprzedzili ich w kosmicznym locie dookoła globu: 12 kwietnia 1961 r. dokonał tego Jurij Gagarin i zajęło mu to zaledwie 108 minut. Astronauci na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej robią to o kilkanaście minut szybciej.

Ziemię można okrążyć na wiele sposobów. Wzdłuż równika albo poprzez bieguny. Rowerem, motocyklem, balonem, pieszo albo jeszcze innym środkiem transportu. W mniejszej lub większej grupie albo w pojedynkę: Krystyna Chojnowska-Liskiewicz w połowie lat 70. została pierwszą kobietą, która samotnie opłynęła jachtem Ziemię. Przed nami oczekiwanie na opłynięcie Ziemi wpław, skoro udało się w ten sposób pokonać Atlantyk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d



Piotr Zychowicz

Syjonizm / Sabra broni Izraela

Nowy Wspaniały Żyd

Zgodnie z założeniami syjonizmu naród żydowski miał przejść w Palestynie metamorfozę. Słabego Żyda z diaspory miał zastąpić potężny Żyd wojownik



Na licznych syjonistycznych plakatach sabra przedstawiany był jako atletyczny mężczyzna FOT. YANKER COLLECTION/LIBRARY OF CONGRESS

Pierwszym celem syjonizmu było stworzenie narodu żydowskiego.

Drugim celem syjonizmu było uratowanie Żydów przed prześladowaniami: ewakuacja całego narodu z „antysemickiej Europy" w bezpieczne miejsce.

Trzecim celem syjonizmu było stworzenie w tym bezpiecznym miejscu państwa żydowskiego.

Ale był jeszcze cel czwarty, o którym mówi się znacznie mniej. Było nim... stworzenie nowego Żyda.

Kto wie, czy ten cel nie był najważniejszym elementem wielkiego eksperymentu inżynierii społecznej, który postanowili zrealizować syjoniści. Na pewno był najbardziej ambitny i najtrudniejszy do realizacji. Chodziło bowiem o zmianę psychiki, a nawet fizycznego oblicza milionów ludzi.

Zniknąć miał Żyd „galutowy" – Żyd wygnaniec, Żyd zniewolony. Wiecznie przestraszony, słaby i chorowity mieszkaniec sztetli wschodniej Europy. Człowiek, który przeprasza za to, że żyje. Wykorzeniony, skazany na marną egzystencję w diasporze. Trudniący się drobnym handlem, rzemiosłem i lichwą.

Zniknąć miał również ciemny, zacofany Żyd religijny. Noszący pejsy, chałat i futrzaną czapę chasyd. Człowiek zabobonny, zamknięty na nowoczesność i zacofany. Wykonujący posłusznie wszystkie zalecenia cadyka z Góry Kalwarii i kahału.

Te klasyczne „żydowskie typy" miał zastąpić typ nowy. Żydowski robotnik i chłop. Żydowski wojownik. W jednej ręce dzierżący pług, a w drugiej karabin. Dumny ze swojej tożsamości, odważny, silny i zdrowy. Chodzący z podniesionym czołem i patrzący innym prosto w oczy. Niespuszczający wzroku i nieschodzący z trotuaru na widok zbliżającego się z przeciwka goja.

Nowy Żyd miał być jednostką produktywną, a nie „pasożytującą" na innych. Człowiekiem, który ciężką fizyczną pracą dokonuje dzieła wewnętrznej przemiany. Własnym potem i krwią – które wsiąkają w piaski Palestyny – zdobywa prawo do Ziemi Obiecanej. Zyskuje szacunek innych i odzyskuje szacunek do siebie.

Zamiast suchotniczych, zapadniętych piersi – muskularne torsy. Zamiast ziemistej cery – brązowa opalenizna.

Zamiast tchórzostwa – odwaga.

Zamiast wolnomyślicielstwa – dyscyplina.

Zamiast jałowej dyskusji – czyn.

Zamiast kultu pieniądza – szlachetna asceza.

Zamiast ciasnych ruder w sztetlach Europy Wschodniej – jasne, przestronne mieszkania Tel Awiwu.

eprasa.pl 3de77bed4d



FOT. ADOBE STOCK

Zamiast religijnego wstecznictwa – postęp i nowoczesność.

Praca, praca i jeszcze raz praca.

Poglądy młodych, radykalnych syjonistów doskonale oddał w swoich wspomnieniach pisarz Arthur Koestler. Wiedział, o czym pisze, bo sam, w latach 20. podczas studiów w Wiedniu, związał się z ruchem syjonistycznym. I tak zapamiętał padające w tym gronie argumenty:

„Spory z antysemitami nie miały sensu, tym bardziej że Żydzi byli rzeczywiście chorym narodem, narodem bez państwa, niczym człowiek bez cienia. Struktura społeczna tego narodu przypominała odwróconą piramidę, z nieproporcjonalnie liczną warstwą adwokatów, kupców, uczonych, a bardzo niewielką liczbą rolników i robotników. Jedyną receptą był powrót do ziemi. Jeżeli Żydzi chcieli być tacy jak inne narody, musieli jak inne narody mieć własny kraj i podobną strukturę społeczną. Innego wyjścia nie było".

Według Koestlera syjonizm miał być „ucieczką z getta". Miał wyprowadzić Żydów na słoneczne równiny Palestyny, gdzie mogliby się moralnie i fizycznie odrodzić.

„Im lepiej poznawałem judaizm – wspominał Koestler – tym bardziej byłem przygnębiony. I tym żarliwszym stawałem się syjonistą. Państwo żydowskie było jedynym lekarstwem na chorobę, której nie potrafiłem nazwać ani zdefiniować, ale która wydawała mi się ściśle związana z tym, że Żydzi nie mają własnego państwa i flagi narodowej.

Muszą być gośćmi w czyimś domu i bez względu na to, czy są tolerowani czy prześladowani, zawsze uchodzą za obcych. Taka jest przyczyna ich choroby. Odrodzenie państwa żydowskiego od razu uleczyłoby tę chorobę i wszystko byłoby dobrze".

Żydowskość jako choroba... Syjonizm jako lekarstwo. Trudno pominąć milczeniem rzucający się w oczy paradoks, na który zwraca uwagę wielu badaczy syjonizmu. Otóż zwolennicy tej ideologii podzielali wiele antysemickich uprzedzeń charakterystycznych dla innych, nieżydowskich nacjonalistów swojej epoki.

Syjoniści nie znosili w Żydach tych samych cech, których nie znosili antysemici. I te same cechy chcieli ze swoich współbraci (i z samych siebie) wyplenić.

Zmienić Żyda galutowego w Żyda wojownika. Człowieka bezużytecznego w produktywnego robotnika. Łatwo powiedzieć. Ale jak to zrobić?

Jednym z narzędziem okazały się kibuce, syjonistyczne kolektywne gospodarstwa rolne będące syjonistycznym odpowiednikiem sowieckich kołchozów. W kibucach nie było mowy o prywatnej własności. Ziemia i narzędzia rolnicze były wspólne. Kibucnicy wspólnie wychowywali dzieci i wspólnie jadali w kibucowej stołówce. Nosili takie same, zgrzebne ubrania.

Wieczorami w świetlicy słuchali żarliwych syjonistycznych przemówień i z żarem w oczach śpiewali hebrajskie pieśni. Zwracali się do siebie per towarzyszu. Na ścianach świetlic często obok portretu Herzla wisiał portret Marksa. A w rogu sali stały karabiny, którymi strzeżono pól i gajów owocowych przed Arabami.

Kibuce kuźnią, w której wykuwano nowego człowieka, zdolnego udźwignąć na swoich barkach wielkie zadanie syjonizmu. Przez ich bramy wchodzili słabi Żydzi z diaspory, a wychodzili silni, pewni siebie Żydzi, których zadaniem była budowa państwa Izrael i walka o nie.

Syjonistycznym ideałem stał się sabra, Żyd urodzony już w Palestynie i przez nią ukształtowany. Wolny od „niewolniczego piętna" i pamięci o upokorzeniach diaspory.

Określenie „sabra" pochodzi od owocu kaktusów rosnących na palestyńskich pustyniach. Na licznych syjonistycznych plakatach sabra przedstawiany był jako atletyczny mężczyzna z topornymi rysami twarzy, do złudzenia przypominający robotników i chłopów z socrealistycznych płaskorzeźb z lat 50. Co ciekawe, sabrowie z syjonistycznych plakatów z reguły mieli blond włosy.

Ten mit był tak silny i sugestywny, że wielu – wydawałoby się racjonalnie myślących – ludzi uważało, iż Żydzi w Palestynie przeszli błyskawiczną ewolucję i sabrowie fizycznie różnią się od poprzednich pokoleń. Oddajmy jeszcze raz głos Arthurowi Koestlerowi, który tak pisał w swoim głośnym artykule „Israel: the native generation" („Izrael – rodzime pokolenie"):

„Dopiero w rodzimej młodzieży, urodzonej i wychowanej w kraju, zaczyna się zarysowywać przyszły profil Izraela jako narodu. Sabra z wyglądu jest prawie zawsze wyższy od swoich rodziców, solidnie zbudowany, przeważnie blond- lub brązowowłosy, często ma zadarty nos i niebieskie oczy. Najbardziej uderzającą cechą takiego młodego mężczyzny jest to, że wygląda zupełnie nieżydowsko.

Ogólnie rzecz biorąc, nie ma wątpliwości, że rasa ta przechodzi pewne dziwne przemiany biologiczne, prawdopodobnie wywołane nagłą zmianą klimatu, diety i proporcji składników mineralnych gleby.

Całe zjawisko jest uderzającym potwierdzeniem teorii, że środowisko bardziej nas kształtuje niż dziedziczność i że to, co powszechnie uważamy za cechy żydowskie, nie jest cechami rasowymi, ale produktem trwałej presji społecznej i specyficznego stylu życia.

To właśnie pokolenie sabrów w 1948 r. przystąpiło do krwawej rozprawy z Arabami i budowy Izraela.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3de77bed4d

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1900 ROKU LEONARD BUCZKOWSKI OD DZIECIŃSTWA MARZYŁ O TYM, ŻEBY ZOSTAĆ AKTOREM. POWOŁANIE DO SŁUŻBY WOJSKOWEJ NA JAKIŚ CZAS ZMIENIŁO JEGO PLANY. SŁUŻYŁ W 2. PUŁKU LOTNICZYM W KRAKOWIE, JEDNAK NIE ZAMIERZAŁ KONTYNUOWAĆ KARIERY LOTNICZEJ I POWRÓCIŁ DO SWEJ PASJI.



ZACZĄŁ GRYWAĆ EPIZODY, A PÓŹNIEJ NAWET GŁÓWNE ROLE, JEDNAK SZYBKO ODKRYŁ, ŻE BARDZIEJ NIŻ AKTORSTWO, FASCYNUJE GO REŻYSERIA ORAZ PRODUKCJA FILMOWA. ZOSTAŁ ASYSTENTEM REŻYSERA WIKTORA BIEGAŃSKIEGO, ZDOBYWAJĄC DOŚWIADCZENIE NA PLANACH TAKICH FILMÓW, JAK ,,GORĄCZKA ZŁOTEGO'' CZY ,,ORLĘ''. W KOŃCU W 1928 ROKU ZADEBIUTOWAŁ JAKO REŻYSER FILMEM ,,SZALEŃCY'', ZNANYM RÓWNIEŻ JAKO ,,MY PIERWSZA BRYGADA''.

TEN NIEMY FILM BYŁ OKREŚLANY JAKO PIERWSZA POLSKA SUPERPRODUKCJA. OBFITOWAŁ W SCENY BATALISTYCZNE ROZGRYWAJĄCE SIĘ NA FRONTACH I WOJNY ŚWIATOWEJ.



SUKCES ,,SZALEŃCÓW'' SPRAWIŁ, ŻE ZACZĄŁ REALIZOWAĆ KOLEJNY FILM O TEMATYCE WOJENNEJ, WYKORZYSTAŁ PRZY TYM SWOJE DOŚWIADCZENIE Z CZASÓW SŁUŻBY WOJSKOWEJ. BAZUJĄCY NA FAKTACH FILM ,,GWIAŹDZISTA ESKADRA'' OPOWIADAŁ O AMERYKAŃSKICH PILOTACH WALCZĄCYCH W CZASIE WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ W RAMACH 7. ESKADRY MYŚLIWSKIEJ IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI.

TO BYŁ NAJDROŻSZY POLSKI FILM TAMTYCH CZASÓW. WIDZOWIE BYLI ZACHWYCENI I SZTURMOWALI KINA, ALE NIE WSZĘDZIE FILM WZBUDZAŁ ENTUZJAZM.



W 1945 ROKU JÓZEF STALIN MÓGŁ ZREALIZOWAĆ SWÓJ ZAMIAR. WSZYSTKIE KOPIE ,,GWIAŹDZISTEJ ESKADRY'', KTÓRE PRZETRWAŁY WOJENNĄ ZAWIERUCHĘ, ZOSTAŁY WYWIEZIONE Z POLSKI DO ZSRR, A NASTĘPNIE TAM ZNISZCZONE.



PO WOJNIE LEONARD BUCZKOWSKI POSTAWIŁ SOBIE ZA CEL ODBUDOWĘ POLSKIEGO PRZEMYSŁU FILMOWEGO. W 1946 ROKU WYREŻYSEROWAŁ PIERWSZY POWOJENNY POLSKI FILM – ,,ZAKAZANE PIOSENKI''. DWA LATA PÓŹNIEJ DO KIN TRAFIŁ ,,SKARB'' W JEGO REŻYSERII – BĘDĄCY PIERWSZĄ POWOJENNĄ POLSKĄ KOMEDIĄ. NATOMIAST W 1953 ROKU BUCZKOWSKI ZREALIZOWAŁ PIERWSZY BARWNY POLSKI FILM ZATYTUŁOWANY ,,PRZYGODA NA MARIENSZTACIE''.



eprasa.pl 3de77bed4d

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA EWEN MONTAGU: „CZŁOWIEK, KTÓREGO NIE BYŁO. OPERACJA *MINCEMEAT* – NAJWIĘKSZE OSZUSTWO II WOJNY ŚWIATOWEJ"

Najsłynniejsza mistyfikacja kontrwywiadowcza II wojny światowej.

W kwietniu 1943 r. wody oceanu wyrzuciły na wybrzeże Hiszpanii ciało Williama Martina, majora Królewskiej Piechoty Morskiej. Przewoził on niezwykle cenną korespondencję pomiędzy najwyższymi dowódcami alianckimi. Niewielu wówczas wiedziało, że Martin to postać fikcyjna - główny pionek w wielkiej rozgrywce wywiadów nazwanej przewrotnie operacją „Mincemeat" - „Mielonka".

Martwe ciało spuszczone z pokładu okrętu podwodnego Królewskiej Marynarki Wojennej stanowiło kluczowy element zakrojonej na ogromną skalę akcji dezinformacyjnej. Jej celem było wprowadzenie Niemców w błąd, co do miejsca przyszłego lądowania wojsk sprzymierzonych w południowej Europie.

Detale operacji „Mincemeat" jeszcze długo po wojnie trzymano w ścisłej tajemnicy. Dopiero po latach Ewen Montagu, jako jeden z dwóch głównych pomysłodawców i wykonawców akcji, przedstawił jej przebieg. Znając całą sprawę od wewnątrz, ukazał fascynujące szczegóły i trudności napotykane podczas tworzenia osobowości człowieka, którego nigdy nie było. Podjęto wówczas ogromne ryzyko, a porażka mogła przynieść katastrofalne skutki. Jednak Major Martin odegrał swoją rolę wzorowo, skutecznie przekonując Niemców, że lipcowa inwazja pod kryptonimem „Husky" nie odbędzie się na Sycylii…

Historia Williama Martina momentalnie po opublikowaniu stała się sensacją i przedmiotem zainteresowania filmowców, którzy na jej podstawie kręcą kolejne obrazy mające upamiętnić największe udane oszustwo II wojny światowej.



153 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

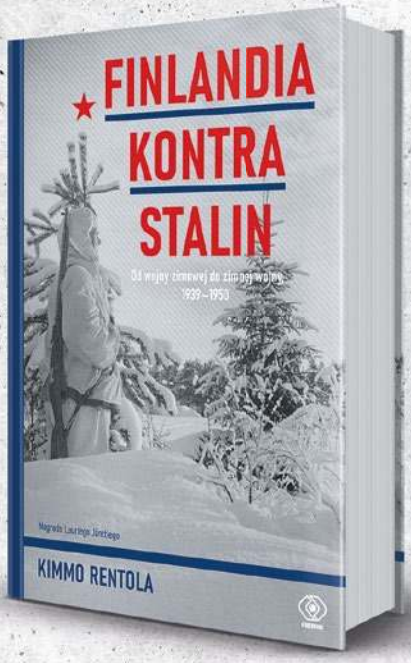
JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

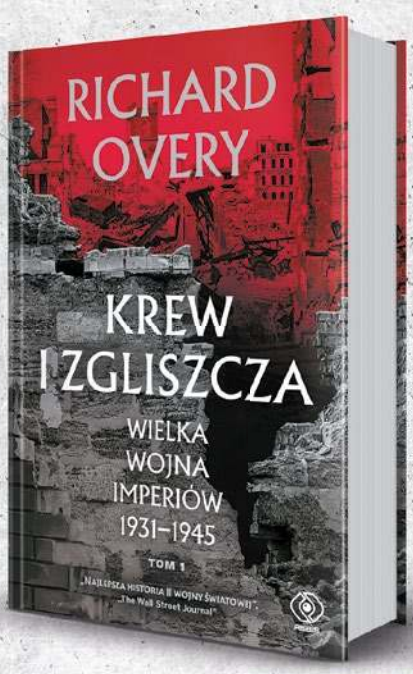
eprasa.pl 3de77bed4d

REBIS

HISTORIA W NAJLEPSZYM WYDANIU



Przełomowa praca o stosunkach radziecko-fińskich 1939-1950



„Wielka wojna imperiów" w błyskotliwej książce jednego z najsłynniejszych historyków drugiej wojny światowej



Czy Donald Trump był tajnym współpracownikiem KGB?



100 lat konfliktu z Palestyńczykami

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl FB/REBIS

eprasa.pl 3de77bed4d